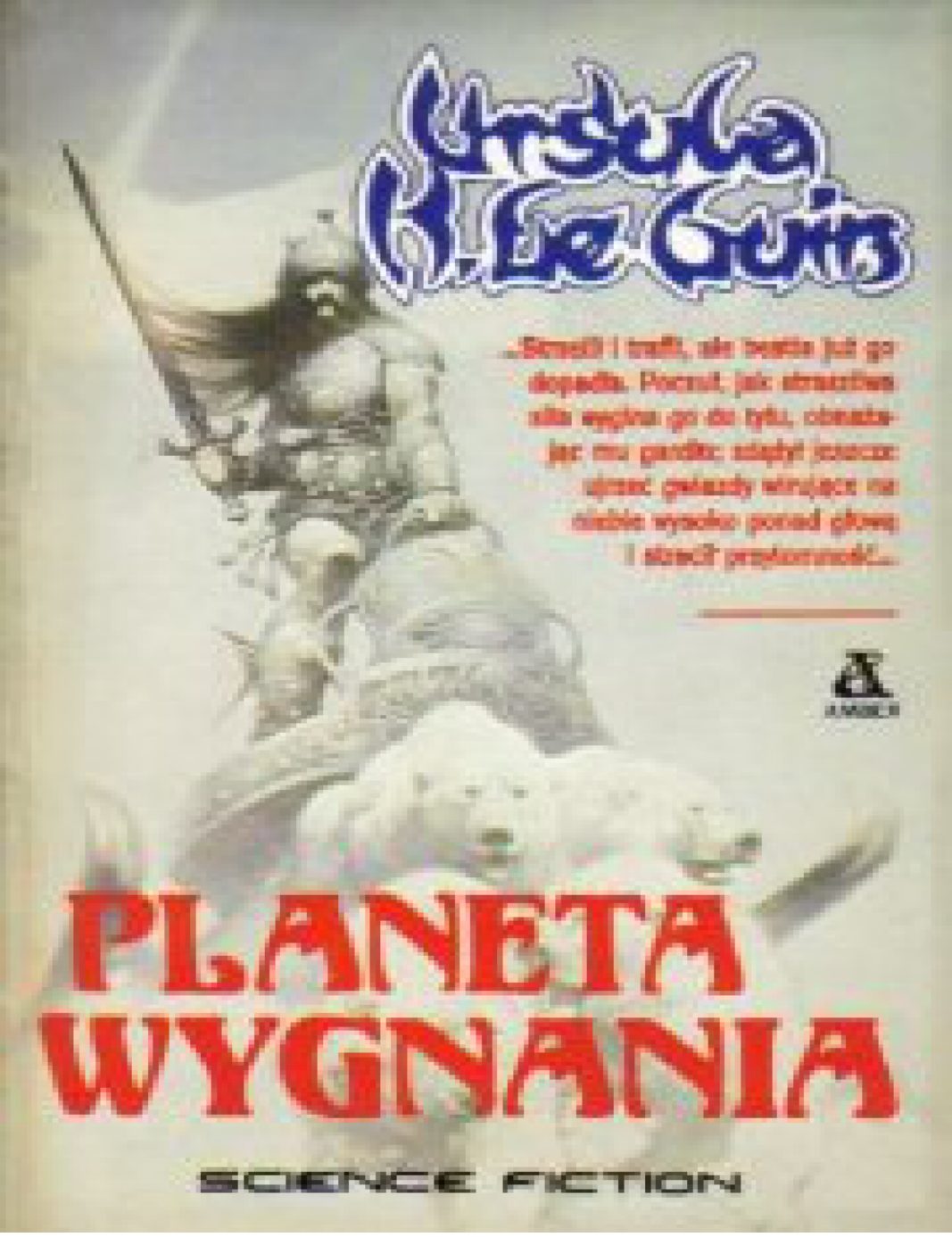

Ursula K. Le Guin

...Strzelił i trafił, ale teraz już go dopadła. Poczuł, jak straszliwa siła wyginа go do tyłu, obracając mu gardło, ciągnąc jeszcze dalej gwiazdy wirujące na niebie wysoko ponad głową i stawiając przeciwnościa...

ANDRZ

PLANETA WYGNANIA

SCIENCE FICTION

SHOUT
SHARE
IT

Annotation

Kolonia wysłanników Ligi Wszystkich Światów zmniejszyła się do zaledwie jednego miasta, Landinu. Minęło ponad dziesięć pokoleń odkąd przybyli na planetę krążącą wokół gwiazdy zwanej Eltatin, ale nadal czuli się tutaj obco. Byli przekonani, że Liga zapomniała o nich, ale wciąż żyli w izolacji od tubylczych plemion, choć sami utracili już większość ze swego Dziedzictwa. Czuli, że krok za krokiem, zmajestatyczną powolnością i pierwotnym uporem procesu ewolucji, ten świat ich zabijał. Tym razem z nadejściem długiej Zimy pojawiło się nowe zagrożenie: nadciągające w ogromnej liczbie hordy dzikich koczowników, ghalów. Aby przetrwać muszą zjednoczyć się przeciw ghalom z tubylczym plemieniem Askatewaru, lecz niełatwo przekonać do wspólnej walki plemię, które nie pamięta swej przeszłości.

- Ursula K. Le Guin
  - Rozdział 1
  - Rozdział 2
  - Rozdział 3
  - Rozdział 4
  - Rozdział 5
  - Rozdział 6
  - Rozdział 7
  - Rozdział 8
  - Rozdział 9
  - Rozdział 10
  - Rozdział 11
  - Rozdział 12
  - Rozdział 13
  - Rozdział 14

Ursula K. Le Guin
Planeta wygnania

Rozdział 1
Garść mroku

W ostatnich dniach ostatniego cyklu księżyca Jesieni nad ginącymi lasami Askatewaru wiał zimny wiatr z północnych kresów, przesycony zapachem dymu i śniegu. Młoda Rolery, podobna do dzikiego zwierzątka w swym jasnym futrzanym okryciu, przemykała zwinnie i niemal niepostrzeżenie między drzewami, przez kurhany zeschłych liści, zostawiając za sobą wznoszone kamień po kamieniu mury na stokach Tewaru i krzątanie przy ostatnich zbiorach na polach. Nikt za nią nie wołał. Szła samotnie na zachód ledwie przetartą ścieżką, pooraną niezliczonymi bruzdami przez ciągnące na południe ryjce, tu i tam zatarasowaną pniami powalonych drzew i wielkimi zaspami opadłych liści.

Na rozstajach, tam gdzie ścieżka rozwidlała się u podnóża Wzgórz Granicznych, poszła prosto, ale nie zdążyła zrobić nawet dziesięciu kroków, kiedy nadciągający z tyłu rytmiczny szelest kazał jej się szybko obejrzeć.

Szlakiem z północy pędził biegacz, ubijał nagimi stopami przybój liści, powiewając za sobą długą przepaską związującą mu włosy. Biegł z północy równym, wytrwałym, rozrywającym płuca krokiem; nie spojrzawszy nawet na Rolery, przemknął ze stłumionym tupotem obok niej i tyle go było. Wiatr poniósł go do Tewaru, jego i wieści, z jakimi spieszył: o burzy, o katastrofie, o Zimie, o wojnie… Rolery bez zaciekawienia odwróciła się i ruszyła w swoją stronę ledwie widoczną ścieżką, pnącą się zakosami pośród wielkich, martwych, pojękujących pni, aż wreszcie ze szczytu wzgórza ujrzała w oddali skrawek czystego nieba, a pod nim morze.

Zachodni stok Wzgórz oczyszczono z martwego lasu. Przycupnąwszy pod osłoną potężnego pnia, mogła sięgnąć wzrokiem aż po najdalszy opromieniony zachód, bezkresne połacie równiny przypływowej i — nieco poniżej miejsca, w którym siedziała, i odrobinę w prawo — otoczone murami, przykryte czerwonymi dachami, rozłożone na nadmorskim urwisku, miasto farbornów.

Wysokie, barwnie pomalowane domy z kamienia siały zamęt w głowie mnogością wyrastających, jedne ponad drugimi, okien i dachów, opadających wzdłuż pochyłości szczytu urwiska po sam jego brzeg. Na zewnątrz murów i u stóp klifu, tam gdzie na południe od miasta był on znacznie niższy, ciągnęły się milami pastwiska i pola, wszystkie otoczone groblami, wszystkie pocięte w tarasy, schludne jak wzorzyste kobierce. Od murów miasta na krawędzi urwiska, nad groblami i wydmami, prosto ponad brzegiem morza i połyskliwą

gładzią piasków zalewowych biegła na przestrzeni pół mili wsparta na gigantycznych, kamiennych, łukowych przęsłach droga łącząca miasto z dziwaczną czarną wyspą pośród piasków — ogromną, niedostępną morską skałą. Sterczała spośród lśniących równin i błyszczących płachci piasku smolista i kładąca smolisty cień, sroga i nieubłagana, o szczycie wyrzeźbionym w arkady i wieżyce bardziej fantastyczne niż jakiekolwiek dzieło wiatru i morza. Czym była — domem, fortem, pomnikiem, kurhanem? Jaka mroczna siła wydrążyła tę skałę i zbudowała ten niesamowity most, dawno w przedczasie, gdy farborni byli potężni i toczyli wojny.

Rolery nigdy nie brała sobie do serca posądzeń o czary, które nieodłącznie towarzyszyły każdej opowieści o farbornach. Teraz, patrząc na tę czarną wyspę pośród piasków, pojęła, że jest to coś rzeczywiście dziwnego — pierwsza naprawdę dziwna rzecz, jaką widziała w swoim życiu: zbudowana w zamierzchłym przedczasie, który był jej zupełnie obcy, rękami istot z obcej krwi i ciała, wymyślona przez obce umysły. Było w niej coś złowieszczo tajemniczego, coś co bardzo ją pociągało. Z fascynacją zaczęła obserwować maleńką postać idącą tym podniebnym wiaduktem, karzełka w zestawieniu z jego ogromną długością i szerokością; kropeczkę, ciemną plamkę pełznącą ku czarnym wieżycom bijącym w niebo spośród rozmigotanych piasków.

Z tej strony Wzgórz wiatr nie był tak przejmująco zimny. Słońce, świecące z bezkresnego zachodu przez szczelinę w grubej warstwie chmur, złociło ulice i dachy domów u jej stóp; miasto wabiło ją nieznanym. Ulegając nagłemu impulsowi, bez chwili wahania, zbiegła lekko i szybko po zboczu góry, przekroczyła wielką bramę.

Znalazłszy się w murach miasta, szła dalej — lekko jak przedtem, dziarsko-niedbale, bo tak nakazywała jej duma — ale kiedy pod stopami poczuła szare, idealnie gładkie kamienie bruku ulicy obcych, serce zaczęło jej walić w piersi. Zerkała ukradkiem na lewo i prawo, na wysokie domy ze spiczastymi dachami i oknami z przezroczystego kamienia — więc jednak ta opowieść okazała się prawdą! — całe zbudowane nad powierzchnią ziemi, i wąziutkie poletka przed niektórymi z nich, gdzie jaskrawopurpurowe i pomarańczowe liście kellem i hadun pięły się w górę po malowanych na niebiesko i zielono ścianach, tryskając barwami pośród szarej monotonii jesiennego krajobrazu. W pobliżu wschodniej bramy wiele domów stało pustych, nie miały błyszczących okien, a farba na ich kamiennych ścianach łuszczyła się i odpadała. Ale to tylko kilka ulic i ciągów schodów; dalej domy były już zamieszkane. Zaczęła mijać pierwszych farbornów.

Patrzyli na nią zupełnie otwarcie. Rolery słyszała, że farbornowie potrafią spojrzeć człowiekowi prosto w oczy, ale nie zdecydowała się

tego teraz sprawdzić. Najważniejsze, że nikt jej nie zatrzymywał. Ubraniem niewiele się od niej różnili, a niektórzy z nich — co wypatrzyła swymi ukradkowymi zerknięciami — nie mieli wcale skóry wiele ciemniejszej niż ludzie. Ale w twarzach, na które nie podnosiła wzroku, wyczuwała nieziemską ciemność oczu.

Nagle ulica zakończyła się szerokim otwartym placem, przestronnym i płaskim, pociętym przez chylące się ku zachodowi słońce w pasy cienia i złota. Z czterech stron stały cztery domy wielkości małych pagórków ozdobione od przodu ciągami wielkich arkad, a powyżej — płytami na przemian szarego i przezroczystego kamienia. Prowadziły tu tylko cztery ulice i wszystkie cztery można było zamknąć bramami, których skrzydła wisiały wkute w ściany czterech wielkich domów. W ten sposób plac tworzył coś w rodzaju fortu w forcie czy też miasta w mieście. Ponad tym wszystkim strzelała prosto w niebo część jednego z budynków i górowała nad całym placem jaśniejąc w promieniach słońca.

Było to warowne miejsce, lecz niemal zupełnie pozbawione mieszkańców.

W jednym z rogów placu, wysypanym piaskiem, wielkim jak pole, bawiło się kilku małych farbornów. Dwóch najstarszych toczyło z zaciętością i wielką wprawą walkę zapaśniczą, a grupka młodszych chłopców w ochronnych watowanych kurtkach i czapkach zawzięcie trenowała pchnięcia i cięcia drewnianymi mieczami. Zapaśnicy przedstawiali sobą cudowny widok, gdy tak obchodzili się nawzajem w powolnym, groźnym tańcu, po czym z zaskakującą zwinnością i wdziękiem przechodzili do zwarcia. Nie mogąc oderwać od nich wzroku, Rolery przystanęła obok jakiejś pary wysokich i milczących farbornów w futrach. Kiedy nagle większy z zapaśników przekoziołkował w powietrzu i wylądował płasko na obu muskularnych łopatkach, zaparło jej dech w piersi, niemal tak samo jak jemu i natychmiast roześmiała się ze zdumienia i podziwu.

— Świetny rzut, Jonkendy! — zawołał stojący obok niej farborn, a kobieta po przeciwnej stronie areny zaklaskała w ręce. Młodsi chłopcy, pochłonięci swą walką, nie widzący poza nią świata, ani na chwilę nie przestawali młynkować, ciąć i parować.

Nie wiedziała, że magowie wychowują swoich synów na wojowników ani że cenią sobie zręczność i siłę. Co prawda słyszała o tych ich zapasach, ale zawsze wyobrażała ich sobie mgliście jako pająkowatych garbusów, przesiadujących w mrocznych piwnicach nad kołami garncarskimi i wyrabiających te delikatne naczynka z białego i przezroczystego kamienia, które trafiały do namiotów ludzi. Poza tym krążyły o nich bajdy, pogłoski i strzępy podań. Myśliwy miewał „szczęście jak farborn”, pewien rodzaj rudy nazywano rudą magów, bo czarownicy bardzo ją sobie cenili i chętnie się na nią wymieniali.

Ale te strzępy to było wszystko, co wiedziała. Na długo przed jej przyjściem na świat Mężowie Askatewaru przewędrowali we wschodnie i północne rejony swojej dziedziny. Nigdy nie posyłano jej ze zbiorami do spichrzów pod Tewarem, toteż w ogóle nigdy nie była na tym zachodnim pograniczu, aż do tego cyklu księżyca, kiedy to Mężowie Dziedziny Askatewaru przeciągnęli ze swymi stadami i rodzinami, by nad ukrytymi w ziemi zapasami zbudować Zimowe Miasto. Prawdę mówiąc, nie wiedziała o obcych zupełnie nic. Kiedy uświadomiła sobie, że zapaśnik, który wygrał walkę, szczuplejszy od swego przeciwnika chłopiec, nazwany przez farborna Jonkendym, patrzy jej prosto w twarz, szarpnęła głową w bok i odskoczyła do tyłu ze strachu i zgorszenia.

Podszedł do niej, nagi, czarny i lśniący od potu.

— Jesteś z Tewaru, prawda? — spytał w języku ludzi, ale przekręcając połowę słów. Szczęśliwy z odniesionego zwycięstwa, otrzepał piasek ze swych gibkich ramion i uśmiechnął się do niej.

— Tak.

— Co możemy dla ciebie zrobić? Czy masz do nas jakąś sprawę?

Oczywiście nie mogła spojrzeć na niego z tak bliska, ale ton jego głosu był jednocześnie przyjazny i żartobliwy. Był to głos młodego chłopca. Pomyślała, że jest pewnie młodszy od niej. Nie mogła pozwolić, żeby sobie z niej żartował.

— Tak — odparła chłodno. — Chcę obejrzeć tę czarną skałę na piaskach.

— Proszę bardzo, możesz iść. Wiadukt jest otwarty. Odniosła wrażenie, że chłopiec próbuje jej zajrzeć w spuszczoną twarz. Odwróciła ją jeszcze bardziej.

— Gdyby ktoś próbował cię zatrzymać, powiedz, że przysyła się Jonkendy Li. Czy też może mam tam iść z tobą? Na to w ogóle nie godziło się odpowiadać. Z podniesioną wysoko głową i wzrokiem wbitym w ziemię pod nogami ruszyła w stronę ulicy prowadzącej do wiaduktu. Żaden z tych uśmiechających się pod nosem, czarnych niby-ludzi nie będzie sobie myślał, że się boi…

Nikt za nią nie szedł. Tych kilku farbornów, których minęła na krótkiej ulicy, chyba w ogóle nie zwróciło na nią uwagi. Dotarła do ogromnych filarów wiaduktu, zerknęła z ukosa przez ramię, po czym spojrzała z powrotem przed siebie i zastygła w bezruchu.

Most był ogromny — ogromny To była droga dla olbrzymów! Ze wzgórza wyglądał zwiewnie, sadził ponad polami, wydmami i piaskami, lekkimi, miarowymi susami swych przęseł. Z tego miejsca zobaczyła, że jest dość szeroki, by mogło nim przejść pierś w pierś dwudziestu ludzi i że prowadzi wprost do majaczących w oddali czarnych wrót skały-wieży. Żadna poręcz nie oddzielała tej gigantycznej drogi od powietrznej otchłani po obu jej stronach.

Pomysł, żeby wejść na ten most, był zupełnie niedorzeczny. Po prostu nie mogła tego zrobić; to nie była droga dla ludzkich stóp.

Jakaś boczna uliczka zaprowadziła ją do jednej z zachodnich bram miasta. Przeszła spiesznie obok długich, pustych zagród i obór i wymknęła się przez bramę z zamiarem obejścia wokół murów miasta i powrotu do domu.

W tym miejscu urwisko było znacznie niższe; wycięto w nim wiele schodów wiodących na sam dół, gdzie w popołudniowym słońcu żółciły się tchnące spokojem, wzorzyste pola. A dalej, tylko jeden krok przez wydmy i pojawia się szeroka plaża, gdzie można znaleźć wiecznie zielone morskie kwiaty, które kobiety Askatewaru trzymały w swoich komodach i wplatały sobie we włosy w dni świąt. Poczuła w powietrzu nieznany zapach morza. Jeszcze nigdy w życiu nie chodziła po plaży. Słońce wciąż stało dość wysoko. Zeszła długimi, kamiennymi schodami wykutymi w ścianie klifu, puściła się pędem przez pola, przez groble i wydmy i na koniec wybiegła na idealnie płaską równinę rozmigotanych piasków, ciągnącą się jak daleko sięgnąć wzrokiem na południe, północ i zachód.

Wiał wiatr, świeciło słabe słońce. Gdzieś z ogromnej dali na zachodzie dobiegał nieustannie jakiś odgłos — potężny, kołyszący, kojący pomruk. Pod stopami miała twardy, gładki, bezkresny piasek. Zaczęła biec dla samej radości pędzenia przed siebie. Po chwili przystanęła, roześmiała się upojona biegiem i spojrzała na ogromne przęsła wiaduktu kroczące z powagą tuż obok cieniutkiej, nierównej kreseczki odcisków jej stóp. Znów pobiegła i znów się zatrzymała, żeby nazbierać srebrzystych muszli na wpół zakopanych w piasku. Barwne niczym garść kolorowych kamyków miasto farbornów rozsiadło się za jej plecami na brzegu urwiska jak ptak na grzędzie. Nim sprzykrzył się jej słony wiatr, bezmiar przestrzeni i samotność, dotarła aż do wielkiej skały, która teraz wyrosła czarną ścianą między nią a słońcem.

W jej długim cieniu czaił się chłód. Wzdrygnęła się i by wydostać się z tego cienia, znów zaczęła biec, trzymając się jak najdalej od czarnej bryły skały. Chciała sprawdzić, czy słońce stoi już bardzo nisko i ile jeszcze musiałaby biec, żeby zobaczyć pierwsze fale morza.

Nagle z poszumu wiatru wyłowiła uchem jakieś słabe i niskie wołanie, wołanie tak dziwne i natarczywe, że stanęła jak wryta, obejrzała się ze strachem na wielką czarną wyspę wyrastającą spośród piasków. Czy to gniazdo czarowników przyzywało ją do siebie?

Z pozbawionego poręczy wiaduktu, sponad jednego z filarów, który wspierał się już na samej skale wyspy, hen, z daleka i wysoka wołała do niej jakaś maleńka, czarna postać.

Okręciła się na pięcie i rzuciła do ucieczki, gdy nagle coś kazało jej się zatrzymać i odwrócić. Owładnął nią paniczny strach. Chciała

uciekać, ale nie mogła zrobić ani kroku. Była śmiertelnie przerażona. Stała drżąc na całym ciele, słysząc w uszach narastający ryk. Czarownik z czarnej skały omotywał ją pajęczyną uroku. Z wyciągniętymi rękami powtarzał raz po raz coraz bardziej naglące, niezrozumiałe słowa, z trudem przebijające się przez szum wiatru, słowa jak krzyk morskich ptaków: „ska, ska, ska!" Ryk rozbrzmiewający jej w uszach przybrał na sile tak bardzo, że przypadła ze strachu do ziemi.

I raptem, zupełnie jasno i wyraźnie, w samym środku głowy usłyszała: „Biegnij! Wstań i biegnij! Do wyspy — szybko!" I nim się spostrzegła, stała już na nogach i biegła przed siebie. Wyraźny głos odezwał się znowu, żeby wskazać jej drogę. Nie widząc nic na oczy, chwytając łapczywie powietrze, dopadła czarnych schodów wyrąbanych w skale i ostatkiem sił zaczęła się po nich wspinać. Na pierwszym podeście ujrzała biegnącą ku niej czarną postać. Wyciągnęła rękę, postać chwyciła ją za nią i na wpół prowadząc, na wpół niosąc, pomogła jej pokonać jeszcze jedne schody i tam ją puściła. Rolery zatoczyła się pod ścianę, bo nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Czarna postać podtrzymała ją, pomogła wstać i powiedziała tym samym głosem, który przemawiał przedtem wewnątrz jej głowy: — Patrz! Nadciąga!

Spieniona woda runęła na skałę pod nimi z rykiem, od którego zatrzęsła się cała wyspa. Zmuszone do rozstąpienia się na boki fale zwarły się za nią z wściekłym sykiem i bulgocąc popędziły dalej, by rozbić się na długiej ławie wydm i tam dopiero uspokoić się i rozlać w bezmiar lśniących, rozkołysanych fal.

Rolery stała drżąca, przytrzymując się kurczowo kamiennej ściany. W żaden sposób nie mogła opanować tego drżenia.

— Przypływ nadciąga tutaj akurat trochę szybciej niż biegnący człowiek — usłyszała za plecami łagodny głos. — A kiedy się uspokoi, woda przy Skale ma około dwudziestu stóp głębokości… Chodźmy tędy… Dlatego właśnie w dawnych czasach tu mieszkaliśmy. Na pół dnia i nocy ta Skała zmienia się w wyspę. Wywabialiśmy wrogów na te piaski tuż przed przypływem i… Oczywiście tych, którzy nie bardzo wiedzieli, co to przypływ… Wszystko w porządku?

Rolery wzruszyła lekko ramionami, a ponieważ obcy wydawał się nie pojmować tego gestu, dodała: — Tak. — Rozumiała, co mówił, ale używał wielu słów, których nigdy przedtem nie słyszała, a prawie wszystkie pozostałe źle wymawiał.

— Jesteś z Tewaru?

Ponownie wzruszyła ramionami. Mdliło ją i chciało jej się płakać, ale nie pozwoliła sobie na to. Wchodząc na kolejne schody, zagarnęła sobie włosy na czoło i spod ich zasłony zerknęła na jedno mgnienie oka z ukosa w górę na twarz farborna. Była to silna, szorstka twarz o

ciemnych, groźnych, roziskrzonych oczach, mrocznych oczach obcych.

— Coś ty robiła na tych piaskach? Czy nikt cię nie ostrzegł przed przypływem?

— Nic nie wiedziałam — szepnęła.

— Przecież wasi Starsi wiedzą. Albo przynajmniej wiedzieli ostatniej Wiosny, kiedy wasz szczep mieszkał u tego wybrzeża. Macie jednak piekielnie krótką pamięć. — To, co mówił, nie było przyjemne, ale ani na chwilę nie podniósł głosu, który wcale nie był taki nieprzyjemny. — Teraz tędy. Nic się nie bój — tu nie ma żywego ducha. Już bardzo dawno noga żadnego z was nie postała na Skale…

Przeszli jakimiś drzwiami, potem ciemnym tunelem i znaleźli się w sali, która wydawała jej się ogromna, dopóki nie ujrzała następnej. Mijali bramy i dziedzińce pod gołym niebem, długie, zdobione arkadami galerie wysunięte daleko nad powierzchnię morza, pokoje i łukowato sklepione hole. Wszystkie były zupełnie puste i ciche — prawdziwa siedziba morskich wiatrów. Pomarszczone srebro powierzchni morza kołysało się teraz daleko w dole pod nimi. Rolery poczuła się oszołomiona i tak maleńka, jakby zupełnie przestała istnieć.

— Czy tu ktoś mieszka? — spytała cichutko.

— Teraz nie.

— To jest wasze Zimowe Miasto?

— Nie, my Zimą mieszkamy tam gdzie teraz. To zostało zbudowane jako fort. W dawnych czasach mieliśmy wielu wrogów… Co robiłaś na piaskach?

— Chciałam zobaczyć…

— Co zobaczyć?

— Piaski. Ocean. Najpierw byłam w waszym mieście… Ja tylko chciałam zobaczyć…

— Dobrze, już dobrze! Nic w tym złego. — Poprowadził ją galerią tak wysoką, że zakręciło jej się w głowie. Pod strzelistymi, spiczastymi arkadami przefruwały morskie ptaki. Potem jeszcze jeden wąski korytarz i znalazłszy się wreszcie za bramą wyszli po dzwoniącym moście z metalu. z jakiego robi się miecze, na wiadukt.

Szli w milczeniu, od wieży ku miastu, zawieszeni między niebem a ziemią, wychyleni pod wiatr, który spychał ich nieustannie w prawo. Rolery było zimno, czuła się onieśmielona wysokością i dziwnością tej drogi i obecnością ciemnego niby-człowieka idącego krok w krok tuż obok niej.

— Nie będę już więcej do ciebie przemawiał — powiedział nagle, kiedy weszli do miasta. — Wtedy nie miałem innego wyjścia.

— Kiedy kazałeś mi biec… — zaczęła i urwała, nie bardzo wiedząc, o czym on mówi ani co takiego właściwie wydarzyło się tam, na piaskach.

— Myślałem, że jesteś jedną z nas — powiedział jakby z gniewem, ale natychmiast się opanował. — Nie mogłem stać z założonymi rękami i przyglądać się, jak toniesz. Nawet jeśli sobie na to zasłużyłaś. Ale nie masz się czego martwić. Więcej tego nie zrobię. I nie dało mi to żadnej władzy nad tobą — bez względu na to, co ci powiedzą twoi Starsi. Możesz już iść, wolna jak wiatr i ciemna jak przedtem.

Szorstkość w jego głosie nie była udawana i wystraszyła Rolery. Zirytowana własnym strachem, głosem drżącym, ale i zuchwałym, spytała:

— A czy wrócić także mogę?

Na to pytanie farborn przyjrzał jej się uważniej. Wyczuła, bo oczywiście nie mogła na niego spojrzeć, że wyraz jego twarzy uległ zmianie.

— Oczywiście, możesz. Czy wolno mi poznać twoje imię, córko Askatewaru?

— Rolery z rodu Wolda.

— To Wold jeszcze żyje? Jesteś jego wnuczką? Córką? — Wold zamyka Kamienny Krąg — odparła dumnie, chcąc utrzeć mu nosa. Jak jakiś farborn, niby-człowiek, ktoś nie należący do żadnego rodu i stojący poza prawem mógł ją traktować tak ostro i wyniośle?

— Przekaż mu pozdrowienia od Jacoba Agata Alterry. Powiedz mu, że przyjdę jutro do Tewaru, żeby z nim porozmawiać. Bywaj, Rolery. — I wyciągnął rękę w geście pożegnania równych sobie, a ona bez chwili namysłu zrobiła to samo, przykładając otwartą dłoń do jego dłoni.

Potem odwróciła się i odeszła spiesznie stromymi ulicami i schodami, naciągając futrzany kaptur na oczy i odwracając twarz, gdy mijała nielicznych farbornów. Dlaczego oni tak się na człowieka gapią? Jak jakieś ryby albo trupy. Ciepłokrwiste zwierzęta i ludzie nie wybałuszają tak na siebie oczu. Kiedy wreszcie znalazła się za bramą od strony lądu, doznała wielkiej ulgi. W ostatnich czerwonawych promieniach słońca wdrapała się szybko pod górę, potem zbiegła przez umierający las i wyszła na ścieżkę do Tewaru. Gdy zmrok zaczął stapiać się z nocą, po drugiej stronie ściernisk dojrzała maleńkie gwiazdy ognisk przed namiotami wokół nie ukończonego jeszcze Zimowego Miasta na wzgórzu. Wydłużyła krok, bo spieszno jej było do ciepła, obiadu i towarzystwa ludzi. Ale nawet wtedy, gdy znalazła się już w wielkim kobiecym namiocie swego rodu, gdy klęcząc przy ognisku wśród reszty kobiet i dzieci zajadała duszone mięso, nie mogła zapomnieć tamtego dziwnego uczucia. W zwiniętej prawej ręce zaciskała garść mroku, tam gdzie czuła na niej dotyk jego dłoni.

Rozdział 2
W czerwonym namiocie

— Ta breja jest zimna — warknął i odsunął miskę, po czym, napotkawszy cierpliwe spojrzenie, z jakim stara Kerly zabrała jedzenie do odgrzania, zwymyślał się w duchu od zrzęd i starych durniów. Żadna z jego wielu żon — dziś pozostała mu już tylko ta jedna — żadna z jego córek, żadna ze wszystkich jego kobiet nie umiała ugotować miski bhanu tak jak Shakatany. Cóż to była za kucharka! I taka młoda — jego ostatnia młoda żona. Ale umarła, tam, na wschodzie dziedziny, umarła bardzo młodo, a on żył i żył i czekał na nadejście srogiej zimy.

Do namiotu podeszła jakaś dziewczyna w skórzanej tunice z trójlistnym znakiem jego klanu, pewnie któraś z wnuczek. Trochę podobna do Shakatany. Odezwał się do niej, choć nie mógł sobie przypomnieć jej imienia.

— Czy to ty spóźniłaś się wczoraj wieczorem, kobieto z mego rodu?

Rozpoznał to pochylenie głowy i ten uśmiech. To ta, z którą tak się przekomarzał, ta krnąbrna i bezczelna, taka miła i taka samotna. Dziecko urodzone nie w porę. Jakże ona, u licha, ma na imię?

— Przynoszę wiadomość, Najstarszy.

— Od kogo?

— Nazwał siebie wielkim imieniem — Jakat-abat-bolter-ra? Nie zapamiętałam tego wszystkiego.

— Alterra? Farbornowie nazywają tak swoich wodzów. Gdzie spotkałaś tego człowieka .

— To nie był człowiek, Najstarszy, tylko farborn. Przesyła pozdrowienia i wiadomość, że przyjdzie dzisiaj do Tewaru porozmawiać z Najstarszym.

— Co ty powiesz… — mruknął i skinął leciutko głową z podziwu dla jej zuchwalstwa. — I to ciebie uczynił swoim posłańcem?

— Tak się przypadkiem złożyło, że rozmawialiśmy ze sobą i…

— Tak, tak. Czy wiesz, kobieto z mego rodu, że u Mężów Dziedziny Pernmek niezamężna kobieta, która by rozmawiała z farbornem, zostaje… ukarana?

— Jak?

— Mniejsza z tym.

— Mężowie Pernmek to kloobożercy i golą sobie głowy. Co oni w ogóle mogą wiedzieć o farbornach? Nigdy nie przenoszą się na wybrzeże… Słyszałam kiedyś w którymś z namiotów, że Najstarszy mego rodu miał za żonę farbornkę. W dawnych dniach.

— To prawda… w dawnych dniach. — Dziewczyna stała czekając, a Wold cofnął się daleko wstecz, głęboko w inny czas. W przedczas, aż do Wiosny. Dawno wyblakłe barwy i zapachy, kwiaty, które nie kwitły już od czterdziestu cykli księżyca, niemal zapomniane brzmienie głosu… — Była młoda — mruknął w końcu. — Młodo umarła. Jeszcze przed nastaniem Lata. — A po chwili dodał: — A poza tym to zupełnie co innego niż kiedy niezamężna kobieta rozmawia z farbornem. To jest różnica, kobieto z mego rodu.

— Niby jaka?

Choć taka bezczelna, zasługiwała na odpowiedź. — Można by to wyjaśniać na wiele sposobów, lepiej albo gorzej. Głównie taka, że farborn bierze sobie tylko jedną żonę, więc gdyby prawdziwa kobieta wyszła za niego za mąż, nie mogłaby mieć synów.

— Dlaczego by nie mogła, Najstarszy?

— Czy w kobiecym namiocie już się zupełnie o niczym nie rozmawia? Czy wszystkie jesteście aż tak ciemne?! Dlatego, że ludzie nie mogą mieć dzieci z farbornami! Nigdy o tym nie słyszałaś? To związek albo zupełnie jałowy, albo są z tego tylko same przedwczesne połogi, niedonoszone, zdeformowane potworki. Moja żona, Arilia, która była farbornką, umarła w przedwczesnym połogu. Jej rasa nie zna żadnych zasad — kobiety są u nich jak mężczyźni, wychodzą za mąż za kogo chcą. Ale ludzie mają swoje prawa: nasze kobiety pokładają się z ludźmi, wychodzą za mąż za ludzi, rodzą ludzkie dzieci!

Wydawała się przybita tym, co usłyszała, i zasmucona. Przesunęła spojrzeniem po rozgardiaszu i krzątaninie przy murach Zimowego Miasta i po dłuższej chwili powiedziała: — To dobre prawo dla kobiet, które mają się z kim pokładać…

Wyglądała na jakieś dwanaście cykli księżyca, co znaczyło, że to właśnie ona była tą, która przyszła na świat po czasie, w samym środku Letniego Odłogu, kiedy nikt nie rodzi już dzieci. Synowie Wiosny byli już dwa albo i trzy razy starsi od niej, mieli żony, może nawet po kilka, i wiele potomstwa. Wszyscy urodzeni Jesienią, to wciąż jeszcze dzieci. Ale przecież jakiś wiosenniak weźmie ją jeszcze za trzecią czy czwartą żonę; nie miała się na co skarżyć. Może nawet mógłby coś w tej sprawie zrobić, ale to zależało od jej koligacji rodzinnych.

— Kto jest twoją matką, kobieto mego rodu? Spojrzała mu prosto w klamrę u pasa i powiedziała:

— Moją matką była Shakatany. Czy Najstarszy już o niej zapomniał?

— Nie, Rolery — odparł po chwili. — Nie zapomniałem… Słuchaj, moja córko, gdzie rozmawiałaś z tym Alterrą? Czy on miał na imię Agat?

— Taka była część jego imienia.

— To znaczy, że znałem jego ojca i ojca jego ojca. On pochodzi z rodu tej kobiety… tej farbornki, o której rozmawialiśmy. Jest pewnie synem jej siostry albo synem jej brata.

— A zatem twoim siostrzeńcem. I moim kuzynem — powiedziała dziewczyna i zupełnie niespodziewanie roześmiała się. Wold także się uśmiechnął rozbawiony groteskową logiką tego wywodu pokrewieństwa.

— Spotkałam go, kiedy poszłam zobaczyć ocean-wyjaśniła. — Tam, na tych piaskach. A przedtem widziałam biegacza z północy. Żadna kobieta nic o tym nie wie. Czy były jakieś wieści? Czy trek na południe zaraz się zacznie?

— Może, może… — mruknął Wold. Znów uleciało mu z pamięci, jak ona ma na imię. — Biegnij, dziecko, pomóż siostrom w polu — powiedział i zapomniawszy zarówno o niej, jak i o misce bhanu, na którą czekał, podniósł się ciężko i obszedł swój wielki czerwony namiot, by rzucić okiem na mrowie robotników kopiących ziemne domy i wznoszących mury Zimowego Miasta i popatrzeć ponad ich głowami na północ. Niebo nad nagimi wzgórzami było tego ranka wyjątkowo błękitne, czyste i mroźne.

Przed oczami odżył mu nagle obraz życia w tych ziemiankach o spiczastych dachach: skulone ciała setki śpiących, czuwające stare kobiety, rozniecanie ognia, którego ciepło i dym wciskały się we wszystkie pory skóry, zapach gotowanej zimowej trawy, hałas, smród, duszne ciepło Zimy spędzanej w tych norach pod zamarzniętą ziemią. I mroźny, lodowaty spokój świata ponad nimi, chłostanego wiatrem lub pokrytego śniegiem, kiedy wraz z resztą młodych myśliwych wyprawiał się daleko od Tewaru, by zapolować na śnieżne ptaki, korio i tłuste wespry ciągnące wzdłuż zamarzniętych rzek z najdalszej północy. A tam, dokładnie po przeciwnej stronie doliny, wyrósł nagle tuż przed nim zza jakiejś wielkiej zaspy przekrzywiony na bok łeb śniegołaka… A przedtem, przed nastaniem śniegów i lodu, i białych bestii Zimy, była już raz taka piękna pogoda — jasny dzień złocistego wiatru i błękitnego nieba, niebieszczącego się ponad wzgórzami zapowiedzią chłodu. I tamtego dnia on, nie mężczyzna, ale berbeć pośród innych berbeci i kobiet, zadzierał wzrok na płaskie białe twarze, czerwone pióra i derki z dziwnego, pierzastego, szarawego futra. Słyszał niezrozumiałe słowa rzucane warkliwym głosem leśnych bestii i stanowcze odpowiedzi Starszych Askatewaru i mężczyzn z jego rodu nakazujące płaskogębym odejść. A jeszcze przedtem zjawił się biegacz z północy z osmaloną i zakrwawioną twarzą wołając: „ghale, ghale! Przeszli przez nasz obóz w Peknie!”

Przez całe życie, przez te wszystkie sześćdziesiąt cykli księżyca dzielące go od tamtego berbecia patrzącego z zapartym tchem na

płaskogębych i słuchającego ich szczeknięć, dzielące tamten piękny dzień od tego pięknego dnia, to chrapliwe wołanie dźwięczało mu w uszach wyraźniej niż jakikolwiek głos, który słyszał w tej chwili. Gdzie się podziała Pekna? Zniknęła pod śniegami, rozmyły ją deszcze; a wiosenne roztopy starły z powierzchni ziemi kości zmasakrowanych, szczątki zbutwiałych namiotów, pamięć, nazwę.

Tym razem, kiedy ghalowie przeciągną na południe przez Dziedzinę Askatewaru, nie będzie żadnych rzezi i masakry. Dopilnował tego. To, że przetrwał ponad swój czas i pamiętał minione zagrożenia, miało pewne dobre strony. Ani jeden klan, ani jedna rodzina nie została na terenach letnich, by dać się zaskoczyć ghalom albo pierwszej śnieżnej zamieci. Wszyscy ściągnęli tutaj. Dwadzieścia setek dorosłych z małymi jesienniakami tłuściutkimi jak liście, plączącymi się wszędzie pod nogami: kobiety plotkujące na polach jak stado wędrownych ptaków i mężczyźni krzątający się przy budowie domów i murów Zimowego Miasta ze starych kamieni i na starych fundamentach, polujący na ostatnią wędrowną zwierzynę, wycinający bez końca drewno w lasach i bryły torfu z Suchego Bagniska, spędzający haynny do wielkich obór, gdzie będzie się je karmić, dopóki nie wzejdzie zimowa trawa. I przy tej pracy, która trwała już pół cyklu księżyca, wszyscy byli mu posłuszni, tak jak on był posłuszny prastarym Zwyczajom Człowieka. Kiedy nadciągną ghale, zamknie się bramy Miasta; kiedy nastaną zawieje, zamknie się drzwi ziemnych domów. I przetrwają do Wiosny. Przetrwają.

Usiadł powoli za namiotem, osuwając się ciężko na ziemię, i wystawił do słońca poskręcane, pokryte bliznami nogi. Maleńkie i blade wydawało się to słońce, chociaż niebo było nieskazitelnie czyste — jak pół wielkiego słońca Lata, mniejsze nawet od księżyca. „Słońce skurczyło się do księżyca, wkrótce nadejdzie zimnica…” Ziemia podsiąkła wodą od długich deszczy, które nękały ich przez cały ten cykl, tu i tam poorały ją bruzdami ciągnące na południe ryjce. O co to pytała go ta dziewczyna? Aha, o farbornów i biegacza. Zjawił się wczoraj — czy to aby na pewno było wczoraj? — z wieścią, że ghalowie zaatakowali Zimowe Miasto Tlokna, leżące dalej na północy, koło Gór Zielonych. Ale ta jego powiastka to bujda albo zwykłe panikarstwo. Ghalowie nigdy nie porywali się na mury z kamienia. Ci barbarzyńcy o płaskich nosach, brudni i wystrojeni w te swoje pióropusze, pierzchający na południe przed nadchodzącą Zimą jak bezdomne zwierzęta, nie potrafili zdobywać miast. Pekna była tylko małym obozem myśliwskim, a nie otoczonym murami miastem. Biegacz kłamał. Wszystko jest jak być powinno. Przeżyją. Gdzie ta głupia baba ze śniadaniem? Tu, w słońcu, było teraz tak ciepło…

Ósma żona Wolda podeszła do niego z miską parującego bhanu, zobaczyła, że śpi, westchnęła gderliwie i odniosła ją cicho z powrotem

na ognisko do warzenia strawy.

Po południu, kiedy w asyście groźnie wyglądającej eskorty i przy akompaniamencie wrzasków, szyderstw i drwin ciągnącej za nimi dzieciarni w jego namiocie zjawił sig ten farborn, Wold przypomniał sobie wypowiedziane ze śmiechem słowa tej dziewczyny: „Twój siostrzeniec, mój kuzyn". Toteż dźwignął się ociężale i wstał na jego powitanie, odwracając twarz i wyciągając przed siebie rękę w geście powitania równych sobie.

I jak równy z równym przywitał się z nim ten obcy, nawet się nie zawahawszy. Zawsze mieli w sobie tę butę, ten demonstracyjny sposób okazywania, że uważają się za nie gorszych od ludzi, bez względu na to, czy rzeczywiście w to wierzyli, czy nie. Ten był wysoki, dobrze zbudowany, wciąż jeszcze młody; trzymał się jak wódz. Gdyby nie ciemna skóra i czarne, nieziemskie oczy, można byłoby go wziąć za człowieka.

— Jestem Jacob Agat, Najstarszy.

— Witaj w moim namiocie i namiotach mego rodu, Alterro.

— Słucham cię całym sercem — odparł farborn, wywołując lekki uśmiech na twarzy Wolda. Od czasów jego ojca nikt już tak nie mówił. Dziwne, jak ci farborni zawsze pamiętają stare zwyczaje, odkopują rzeczy pogrzebane w zamierzchłym przedczasie. Skąd taki młody mężczyzna może znać zwrot, którego poza Woldem i może jeszcze kilkoma najstarszymi mieszkańcami Tewaru nikt już nie pamięta? To była właśnie jedna z tych niepojętych cech farbornów, przypisywanych czarom i napełniających ludzi strachem przed Ciemnymi. Ale Wold nigdy się ich nie bał.

— Kobieta z twego szlachetnego rodu mieszkała w moich namiotach, a Wiosną ja sam wiele razy chodziłem ulicami waszego miasta. Do dziś to pamiętam. I dlatego powiadam, że póki mego życia żaden mieszkaniec Tewaru nie złamie pokoju między nami.

— A póki ja żyję, nie złamie go także żaden mieszkaniec Landinu.

Stary wódz wzruszył się małą mową, którą sam przed chwilą wygłosił; łzy zakręciły mu się w oczach, a siadając na wielkiej skrzyni z malowanej skóry, odchrząknął i zamrugał oczami. Agat stał sztywno wyprostowany, odziany cały na czarno, z czarnymi oczami w ciemnej twarzy. Młodzi myśliwi z jego eskorty przestępowali nerwowo z nogi na nogę, dzieci strzelały z ukosa oczami, szepcąc i przepychając się pod uniesioną płachtą z boku namiotu. Na jeden gest Wolda zniknęły, jakby je wymiotło. Opuszczono bok namiotu, stara Kerly roznieciła wewnątrz ogień i natychmiast wymknęła się z powrotem, zostawiając go sam na sam z obcym.

— Siadaj — powiedział do swego gościa. Farborn nie usiadł.

— Ja ciebie słucham — odparł, nie ruszając się z miejsca. Skoro Wold nie zaproponował mu tego w obecności innych ludzi, to nie miał

zamiaru siadać, kiedy nikt tego nie widział. Wold nie mógł oczywiście o tym wiedzieć, nie był to też żaden jasno wysnuty wniosek — po prostu wyczuł to intuicyjnie przez skórę uwrażliwioną wieloma latami przewodzenia i rządzenia ludźmi.

Westchnął i tym samym łamiącym się ze starości basem zawołał:

— Żono!

Stara Kerly zjawiła się ponownie w wejściu do namiotu ze wzrokiem wbitym nieruchomo przed siebie.

— Siadaj — powtórzył do Agata, który tym razem usłuchał i usiadł ze skrzyżowanymi nogami przy ognisku. — Odejdź — warknął na żonę, która natychmiast zniknęła.

Milczenie. Mozolnie i z namaszczeniem rozsupłał mały skórzany mieszek, który nosił u pasa tuniki, wydobył z niego grudkę zakrzepłego olejku gezinowego, odłamał z niej jeszcze mniejszy kawałek, schował bryłkę z powrotem do mieszka i położył maleńki okruszek żywicy na rozżarzonych węglach na brzegu ogniska. W powietrze wzbiła się wirująca smużka cierpkiego zielonkawego dymu. Wold i obcy przymknęli oczy i zaciągnęli się głęboko dymem. Stary wódz wyprostował się, oparł plecami o wielki smołowany kosz na urynę i powiedział:

— Ja ciebie słucham.

— Otrzymaliśmy wieści z północy, Najstarszy.

— My też. Wczoraj przybył biegacz. — Czy to aby na pewno było wczoraj?

— Czy mówił wam o Zimowym Mieście Tlokna?

Wold zapatrzył się w ogień, wdychając głęboko powietrze, jakby nie chciał uronić ani odrobiny ostatnich smużek gezinowego dymu i żując wargi, z twarzą — doskonale zdawał sobie z tego sprawę — jak kloc drewna, pozbawioną wszelkiego wyrazu, starczą, zgrzybiałą.

— Nie chciałbym być zwiastunem złych nowin — dodał po chwili obcy tym swoim spokojnym, poważnym głosem. — Nie jesteś. Już je znamy. Widzisz, Alterro, w wieściach z dalekich stron, od innych plemion zamieszkujących odległe dziedziny, bardzo trudno odróżnić, co jest prawdą, a co nie. Z Tlokny do Tewaru jest osiem dni drogi nawet dla biegacza, a z namiotami i haynnami dwa razy tyle. Kto wie, jak tam było naprawdę? Kiedy wielki jesienny trek na południe dotrze tu do nas, bramy Tewaru będą gotowe do zamknięcia. A w tym waszym mieście, mieście, którego nigdy nie opuszczacie, nie trzeba chyba niczego naprawiać?

— Najstarszy, tym razem będą wam potrzebne bardzo potężne bramy. Tlokna miała mury, bramy i wojowników. Teraz nie ma tam już nic. To nie plotka. Mężowie z Landinu byli tam dziesięć dni temu; wypatrywali na granicach pojawienia się pierwszych plemion ghalów. Ale ghalowie nadciągnęli nagle wszyscy razem…

— Alterro, ja ciebie słyszałem… teraz ty posłuchaj mnie. Ludzie popadają czasami w panikę i uciekają, zanim jeszcze wróg w ogóle się pojawi. Słyszeliśmy i jego opowieść, i twoją. Ale ja jestem już stary, przeżyłem dwie Jesienie i widziałem, jak ghalowie ciągną na południe. Powiem ci, jak to wygląda naprawdę.

— Ja ciebie słucham — odparł obcy.

— Ghalowie zamieszkują na północy, poza najdalszymi dziedzinami ludzi mówiących naszym językiem. Jak głoszą podania, mają tam wielkie trawiaste tereny letnie u podnóża gór, z których szczytów spływają rzeki lodu. W połowie Jesieni z najdalszej północy, gdzie zawsze panuje Zima, zaczyna na ich ziemie nadciągać mróz, a z nim śnieżne bestie, i tak jak nasza zwierzyna ghalowie ruszają na południe. Zabierają ze sobą namioty, ale nie budują miast i nie robią zapasów ziarna. Przeciągają przez Dziedzinę Tewaru na przełomie Jesieni i Zimy, gdy gwiazdozbiór Drzewa wschodzi równo z zachodem słońca, ale zanim po raz pierwszy pojawi się na niebie Gwiazda Śniegu. Jeśli natkną się po drodze na rodziny wędrujące bez ochrony, na obozy myśliwych, nie strzeżone stada lub pola — mordują i kradną. Ale kiedy widzą wzniesione z kamienia Zimowe Miasto i wojowników na jego murach, omijają je, wymachując tylko dzidami i wrzeszcząc wniebogłosy, a my posyłamy za nimi kilka strzał, w zadki ostatnim maruderom… Ciągną dalej i dalej na południe i zatrzymują się dopiero hen, daleko stąd; niektórzy powiadają, że tam, gdzie zimują ghalowie, jest cieplej niż tu, ale kto to może wiedzieć. Tak właśnie wygląda wielki jesienny trek, Alterro. Ja to wiem, bo widziałem ich na własne oczy. I widziałem, jak z pierwszymi roztopami przeciągali tędy z powrotem na północ, w porze wschodzenia lasów. Ghalowie nie napadają na miasta z kamienia. Są jak woda, co rwie z hałasem przed siebie, ale rozbija się o głaz, który ani drgnie. Tewar jest właśnie takim głazem.

Młody farborn siedział z pochyloną głową, rozmyślając nad tym, co usłyszał, tak długo, że Wold zdecydował się spojrzeć mu na jedną chwilę prosto w twarz.

— Wszystko, co mówisz, Najstarszy, to prawda, szczera prawda, prawda wszystkich minionych Lat. Ale teraz… Czasy się zmieniły… Jestem w swoim mieście jednym z wodzów, tak jak ty jesteś wodzem w swoim. Przychodzę do ciebie jak wódz do wodza. Przychodzę po pomoc. Uwierz mi, wysłuchaj mnie — tym razem musimy się nawzajem wesprzeć. Wśród ghalów pojawił się wielki mąż, wielki wódz; zwą go Kubban czy też Kobban. Zjednoczył wszystkie ich plemiona i utworzył z nich wielką armię. Ghalowie nie kradną już zbłąkanych haynn, na które przypadkiem natkną się po drodze. Oblegają i zdobywają Zimowe Miasta we wszystkich dziedzinach wzdłuż całego wybrzeża; mężczyzn wycinają w pień, kobiety biorą w

niewolę i w każdym mieście zostawiają swoich wojowników, żeby je utrzymali przez Zimę. Kiedy nadejdzie Wiosna i ghalowie pociągną z powrotem na północ, nie powędrują już dalej, lecz zostaną tutaj. Te ziemie staną się ich ziemiami, te lasy, pola, tereny letnie i wszyscy ludzie — ci, którzy przeżyją — będą należeć do nich…

Starzec patrzył przez chwilę w bok, po czym odparł ponuro, ze złością:

— Ty mówisz, ja ciebie nie słucham. Mówisz, że zostaniemy pobici, wymordowani, że pójdziemy w niewolę. Ale ludzie to ludzie, a ty jesteś farbornem. Zachowaj sobie swoją czarną mowę, żeby swoim przepowiadać ten czarny los!

— Jeśli ludziom grozi niebezpieczeństwo, to nam tym bardziej ono grozi. Czy wiesz, Najstarszy, ilu nas w Landinie zostało? Mniej niż dwa tysiące.

— Tak mało? A co z innymi miastami? Za mojej młodości wasze plemię mieszkało wzdłuż całego wybrzeża aż na północ.

— Tych miast już nie ma. Resztki ich mieszkańców przeniosły się do nas.

— Wojna? Choroba? Przecież was choroby się nie imają — jesteście farbornami.

— Trudno żyć na świecie, do którego nie jest się stworzonym — odparł Agat, lakonicznie i ponuro. — Tak czy inaczej, zostało nas niewielu i stajemy się coraz mniej liczni. Prosimy Tewar, aby zechciał być naszym sprzymierzeńcem, kiedy nadciągną ghalowie. A nadciągną nie później niż za trzydzieści dni.

— Jeśli są już w Tloknie, to nawet szybciej. I tak się spóźniają. Śnieg spadnie teraz już lada dzień. Muszą się spieszyć.

— Oni się nie spieszą, Najstarszy. Ciągną powoli, bo zebrali się wszyscy razem — jest ich pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy!

Nagle z przerażającą wyrazistością Wold ujrzał to, o czym mówił farborn — nie kończącą się hordę najeźdźców, płynącą szereg za szeregiem przez górskie przełęcze, prowadzoną przez wysokiego płaskonosego wodza; ujrzał trupy mieszkańców Tlokny — czy też może był to Tewar? zaścielające pola wokół zburzonych murów miasta, i kałuże krwi ścinane igiełkami lodu… Potrząsnął głową, żeby uwolnić się od tych obrazów. Co się z nim dzieje? Nie odpowiadał dłuższą chwilę, żując w milczeniu wargi.

— Wysłuchałem cię, Alterro.

— Nie do końca, Najstarszy. — To było barbarzyńskie grubiaństwo, ale farborn to nie człowiek, a do tego ten tutaj był w końcu pośród swoich wodzem. Wold pozwolił mu ciągnąć dalej. — Mamy czas, żeby się przygotować. Jeśli mężowie Askatewaru, Allakskatu i Pernmeku zawrą przymierze i przyjmą naszą pomoc,

możemy stworzyć własną armię. Jeśli w pełnej sile, gotowi na przyjęcie ghalów, staniemy na północnej granicy waszych trzech Dziedzin, to może, zamiast stawiać czoło takiej potędze, ghalowie będą woleli skręcić w bok i zejść z gór szlakami na wschód. Nasze archiwa powiadają, że w poprzednich latach dwa razy wybrali tę właśnie drogę. Jest już późno, robi się coraz zimniej i zostało bardzo niewiele zwierzyny, więc jeśli napotkają na swej drodze gotowych do walki wojowników, mogą skręcić i ruszyć spiesznie dalej. Moim zdaniem, jedyna taktyka, jaką stosuje Kubban, to zaskoczenie i przygniatająca przewaga. Możemy go zmusić, żeby nas ominął.

— Mężowie Pernmeku i Allakskatu przenieśli się już do swoich Zimowych Miast, tak jak my. Czy do tej pory nie poznaliście jeszcze Zwyczajów Ludzi? Zimą nie toczy się wojen!

— Powiedz to ghalom, Najstarszy! Zrobisz, co uważasz, ale uwierz moim słowom! — Farborn zerwał się na równe nogi, dając się ponieść namiętności swej prośby i swego ostrzeżenia. Wold poczuł dla niego litość, jaka często go ogarniała w obecności młodych, którzy nie widzieli jeszcze, jak wszelkie namiętności i plany bez końca obracają się wniwecz, nie rozumieli, że marnotrawią życie i czyny szarpani z jednej strony żądzą, a z drugiej strachem.

— Ja ciebie wysłuchałem — odparł z niezmąconą uprzejmością. — Starsi mego plemienia usłyszą, co powiedziałeś. — Czy w takim razie mogę przyjść jutro, żeby się dowiedzieć…

— Jutro, pojutrze…

— Trzydzieści dni, Najstarszy! Co najwyżej trzydzieści dni!

— Alterro, ghalowie przyjdą i odejdą, a Zima nadciągnie i już pozostanie. Co by dało zwycięstwo w bitwie, gdyby wojownik miał z niej wrócić do nie ukończonego domu, a tymczasem ziemię skuł lód? Jak będziemy gotowi na nadejście Zimy, pomartwimy się o ghalów… A teraz usiądź. — Jeszcze raz sięgnął do swego mieszka po kawałek geziny na zakończenie rozmowy. — Czy twój ojciec też miał na imię Agat? Znałem go jako młodzieńca. A jedna z tych niecnot, moich córek, mówiła mi, że spotkała cię, kiedy poszła na piaski.

Farborn jakby nieco zbyt spiesznie podniósł wzrok.

— Tak, tam się poznaliśmy — powiedział. — Na piaskach między przypływami.

Rozdział 3
Prawdziwe imię słońca

Co wywoływało te przypływy wzdłuż wybrzeża, to potężne wdzieranie się i wycofywanie od piętnastu do pięćdziesięciu stóp wody? Żaden ze starszych Miasta Tewaru nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. W Landinie umiało na nie odpowiedzieć każde dziecko — to księżyc wywoływał przypływy, przyciąganie księżyca…

Księżyc i ziemia okrążały się nawzajem, a jeden ich pełny, stateczny obrót wokół siebie trwał całe czterysta dni — jeden cykl księżyca. Wspólnie, jako podwójna planeta, obiegały słońce, w wielkim, poważnym wirowym tańcu pośród bezmiernej pustki. Sześćdziesiąt cykli księżyca trwał ten taniec, dwadzieścia cztery tysiące dni, całe jedno ludzkie życie — Rok. A środek tego tańca — słońce nazywało się Eltatin, gamma Smoka.

Przed zapuszczeniem się pod szarą kopułę gałęzi lasu Jacob Agat podniósł wzrok na rozjarzoną kulę pogrążającą się w mgiełce nad łańcuchem gór na zachodzie i nazwał ją w myślach prawdziwym imieniem. Imię to znaczyło, że nie była ona po prostu Słońcem, a tylko jednym ze słońc — gwiazdą pośród innych gwiazd.

Z tyłu, ze zboczy Tewaru dobiegł go dźwięczny głos rozbawionego dziecka. Znów przypomniały mu się drwiące, ukradkowe spojrzenia, szydercze, podszyte strachem szepty i okrzyki za plecami: „Farborn, patrzcie, farborn! Chodźcie zobaczyć!” Między drzewami lasu, nareszcie sam, wydłużył krok, by jak najszybciej zostawić za sobą wspomnienie poniżenia. Bo między namiotami Tewaru doznał poniżenia i uczucia bolesnego osamotnienia. Od urodzenia żył wyłącznie wśród swoich, w małej społeczności, gdzie każdy znał każdego z imienia, twarzy i serca, i zupełnie nie potrafił znaleźć się wśród obcych. Zwłaszcza wśród wrogo nastawionych obcych innej rasy, w tłumie, na ich własnym terenie. Strach i uczucie poniżenia owładnęły nim nagle z taką mocą, że aż przystanął w pół kroku. „Niech mnie szlag trafi, jeśli tam jeszcze wrócę! — pomyślał. — Niech ten stary dureń robi, co mu się podoba, niech siedzi i wędzi się w tym swoim śmierdzącym namiocie, aż nadciągną ghalowie. Tępe, uprzedzone, kłótliwe wify! Mam po dziurki w nosie tych ich białych gąb i żółtych ślepiów! Niech ich wszystkich szlag trafi!”

— Alterro…

Przyszła za nim z Tewaru. Stała na ścieżce kilka jardów w tyle, oparta ręką o rowkowany, biały pień basuki. Żółte oczy w jednolicie białej twarzy sypały iskierkami podniecenia i kpiny. Agat nie ruszył się z miejsca.

— Alterro? — powtórzyła dźwięcznie i śpiewnie, patrząc w bok.

— Czego chcesz?

To ją trochę speszyło. — Ja jestem Rolery — powiedziała. — Tam na piaskach…

— Wiem, kim jesteś. Ale czy ty wiesz, kim ja jestem? Niby-człowiekiem, farbornem. Jeśli twoi współplemieńcy zobaczą nas razem, to jedno z dwojga: albo wykastrują mnie, albo ceremonialnie zgwałcą ciebie — nie wiem, które rozwiązanie stosujecie. Więc lepiej wracaj do domu!

— U nas tak się nie robi. A poza tym ty i ja jesteśmy ze sobą spokrewnieni — odparła z uporem, ale już nie tak pewna siebie.

Odwrócił się, żeby odejść.

— Siostra twojej matki umarła w naszych namiotach… — Na wieczną naszą hańbę — przerwał jej i ruszył dalej. Nie poszła za nim.

Skręcając w lewo na rozwidleniu u podnóża gór, na ścieżkę wiodącą na szczyt grzbietu, obejrzał się za siebie. Nic nie mąciło spokoju ginącego lasu, poza jednym zapóźnionym ryjcem, który teraz dopiero pełzł na południe, mozolnie, z pierwotnym uporem niższej rośliny, znacząc przebytą drogę cienką linią bruzdy.

Honor rasy zagłuszył w nim poczucie wstydu z powodu tego, w jaki sposób potraktował tę dziewczynę; szczerze mówiąc, doznał raczej ulgi i odzyskał pewność siebie. Będzie musiał przywyknąć do zniewag ze strony wifów i przestać zwracać uwagę na ich rasowe uprzedzenia. To było silniejsze od nich; taki rodzaj własnego pierwotnego uporu, płynący z samej ich natury. Ten stary wódz okazał mu, na swój własny sposób, naprawdę ogromną uprzejmość i wyrozumiałość. On, Jacob Agat, musi być równie wyrozumiały i równie uparty. Albowiem los jego rasy, los przedstawicieli ludzkości na tym świecie zależał od tego, co te plemiona wifów zrobią, a czego nie zrobią w ciągu najbliższych trzydziestu dni. Przed następnym nowiem księżyca historia jego rasy, historia licząca sześćset cykli księżyca, dziesięć Lat, dwadzieścia pokoleń, historia nieustającej walki i zmagań może dobiec końca. Jeśli nie będzie miał szczęścia, jeśli zabraknie mu cierpliwości.

Uschnięte, pozbawione liści, próchniejące od gałęzi ogromne drzewa tłoczyły się długimi na mile nawami wokół tych wzgórz, wczepione jeszcze butwiejącymi korzeniami w ziemię. Ale pierwszy silniejszy podmuch północnego wiatru i runą wszystkie, by przeleżeć pod lodem i śniegiem tysiące dni i nocy, zgnić w czasie długich, bardzo długich wiosennych roztopów i użyźnić ogromem swej śmierci połacie tej ziemi dla nasion, które spoczywały już pod jej powierzchnią, pogrążone w głębokim śnie. Cierpliwości, cierpliwości…

W podmuchach wiatru zszedł brukowanymi jasnym kamieniem

ulicami Landinu na Rynek, minął dzieci ze szkoły, ćwiczące się w zapasach na arenie, i wszedł do wysokiego, zwieńczonego wieżą budynku noszącego nadal prastarą nazwę Gmachu Ligi.

Tak jak pozostałe budynki wokół Rynku, zbudowano go przed pięciu Laty, kiedy Landin był stolicą silnego i kwitnącego państewka — w czasach potęgi. Cały parter zajmowała przestronna sala spotkań. Wokół jej szarych ścian biegły szerokie pasy delikatnych złotych ornamentów. Stylizowanemu słońcu w otoczeniu dziewięciu planet, zdobiącemu wschodnią ścianę, odpowiadał na ścianie zachodniej rysunek siedmiu planet, krążących wokół swego słońca po silnie wydłużonych elipsach. Trzecia planeta w obu układach była podwójna i wysadzono ją kryształami. Nad drzwiami i na przeciwległej ścianie sali okrągłe cyferblaty z delikatnymi i misternie rzeźbionymi wskazówkami obwieszczały, że ten dzień jest trzysta dziewięćdziesiątym pierwszym dniem czterdziestego piątego cyklu księżyca dziesiątego lokalnego Roku Kolonii Gamma Smoka III. Wskazywały także, że jest to dwieście drugi dzień roku 1405 Ligi Wszystkich Światów; i że w domu jest dwunasty sierpnia.

Wielu wątpiło, by Liga Wszystkich Światów jeszcze istniała, a kilku paradoksykalistów lubiło podawać w wątpliwość, czy w ogóle kiedykolwiek istniał jakiś dom. Ale zegary pracujące bez chwili przerwy od sześciuset ligowych lat tu — w Sali Zgromadzenia i w Sali Archiwów w podziemiach — swym pochodzeniem i niezawodnością zdawały się potwierdzać, że jakaś Liga musiała istnieć i że mimo wszystko musiał także istnieć jakiś dom, miejsce narodzin rasy istot ludzkich. Cierpliwie i wytrwale odmierzały czas płynący na planecie zagubionej w otchłani ciemności i lat. Cierpliwości, cierpliwości…

Pozostali Alterrowie czekali już na niego w bibliotece na piętrze lub nadeszli wkrótce po nim. Zebrali się wokół kominka, na którym płonęło drewno wyrzucone na brzeg przez fale; razem było ich dziesięcioro. Seiko i Alla Pasfal włączyły lampy gazowe i przykręciły płomienie. Mimo że Agat nie odezwał się jeszcze ani słowem, jego przyjaciel Huru Pilotson podszedł do niego do kominka i powiedział półgłosem:

— Nie daj im się, Jacob. Banda głupich, upartych koczowników — nigdy nie nabiorą rozumu.

— Czyżbym nadawał?

— Nie, oczywiście, że nie — roześmiał się cicho Huru. Był to bystry, szczupły i nieśmiały mężczyzna, absolutnie oddany Jacobowi Agatowi. O tym, że Huru był homoseksualistą, a Jacob Agat nie, wiedzieli doskonale zarówno oni obaj, jak i wszyscy ich znajomi — prawdę mówiąc, wiedzieli o tym dokładnie wszyscy mieszkańcy Landinu. W Landinie wszyscy wiedzieli o wszystkim i jedynym rozwiązaniem tego problemu, nadmiaru kontaktów międzyludzkich,

choć trudnym i męczącym, była otwartość i zupełna szczerość. — Po prostu za wiele spodziewałeś się po tej wizycie, to wszystko. Widać po tobie rozczarowanie. Ale nie bierz sobie tego tak do serca, Jacobie. To tylko wify.

Widząc, że pozostali przysłuchują się ich rozmowie, Agat zwrócił się do wszystkich zebranych.

— Powiedziałem temu staremu wszystko, co miałem mu do powiedzenia. Odparł, że powtórzy to Radzie. Ile z tego zrozumiał i w co uwierzył — nie mam pojęcia.

— Jeśli cię w ogóle wysłuchał, to i tak jest lepiej niż sądziłam — powiedziała Alla Pasfal, krucha kobieta o granatowoczarnej skórze i koronie siwych włosów nad pokrytą zmarszczkami, wyrazistą twarzą. — Wold patrzy na ten świat równie długo jak ja — a nawet dłużej. Trudno oczekiwać, że z radością powita zapowiedź wojen i zmian.

— Ale akurat on powinien być przychylnie do nas nastawiony — powiedział Dermat. — W końcu jedna z nas była jego żoną.

— Owszem, moja kuzynka Arilia, ciotka Agata — egzotyczny okaz w jego kobiecym zwierzyńcu. Pamiętam te jego zaloty — odparła Alla Pasfal z tak piekącym sarkazmem, że Dermatowi zrzedła mina.

— Nie podjął żadnych decyzji w sprawie udzielenia nam pomocy? Czy przedstawiłeś mu swój plan wyjścia ghalom naprzeciw na granicę? — spytał Jonkendy Li, jąkając się z przejęcia i rozczarowania. Był jeszcze bardzo młody i palił się do świetnej wojny z szumnymi przemarszami i graniem trąb. W czym niewiele się różnił od wszystkich pozostałych. Lepsze to niż dać się zagłodzić na śmierć albo żywcem spalić.

— Daj im trochę czasu — odpowiedział chłopcu z powagą Agat. — Zdecydują się.

— Jak cię Wold przyjął? — spytała Seiko Esmit. Była ostatnią przedstawicielką wielkiego rodu. Tylko potomkowie pierwszego przywódcy Kolonii nosili nazwisko Esmit. Na niej ród ten miał wygasnąć. Rówieśniczka Agata, piękna i delikatna, nerwowa, łatwo wpadająca w rozdrażnienie i zamknięta w sobie, w czasie spotkań Alterrów ani na chwilę nie spuszczała wzroku z Agata. Obojętnie kto zabierał głos, ona patrzyła na Agata.

— Przyjął mnie jak równego sobie.

Alla Pasfal skinęła z aprobatą i wtrąciła: — Zawsze miał więcej rozumu w głowie niż cała reszta tych ich mężów. — Ale Seiko ciągnęła dalej:

— A inni? Dali ci spokojnie przejść przez obóz? — Seiko zawsze potrafiła wydobyć na światło dzienne każde poniżenie, jakie go spotkało, choćby nie wiem jak głęboko je skrył i jak bardzo próbował je zapomnieć. Po dziesięciokroć z nim spokrewniona, siostra,

koleżanka, kochanka, towarzyszka życia natychmiast wyczuwała każdą jego słabość, każdy zadany mu ból i zamykała go w swym zrozumieniu, w swym współczuciu jak w pułapce. Byli sobie zbyt bliscy. Huru, stara Alla, Seiko — wszyscy byli sobie zbyt bliscy. Poczucie wyizolowania, które wytrąciło go tego dnia z równowagi, błysnęło mu także przed oczami powabem dystansu, samotności, obudziło w nim może jakąś uśpioną tęsknotę. Seiko ani na chwilę nie spuszczała z niego przenikliwego spojrzenia czułych, ciemnych oczu, reagującego na każdą zmianę jego nastroju, na każde jego słowo. Ta mała Rolery nie spojrzała na niego jeszcze ani razu, nigdy jeszcze nie spotkał jej wzroku. Zawsze patrzyła gdzieś w bok, w dal, zerkając na niego tylko ukradkiem, na jedno mgnienie — złocistooka, obca.

— Nie próbowali mnie zatrzymać — odparł lakonicznie. — Być może jutro podejmą decyzję w sprawie naszej propozycji. A może pojutrze. Jak tam dzisiaj szło uzupełnianie zapasów Skały?

Wywiązała się ogólna dyskusja, lecz mimo to ani na chwilę nie przestała koncentrować się wokół Agata. Każdy zabierający głos odruchowo zwracał się właśnie do niego. Jacob Agat był młodszy od kilkorga z nich, a wszyscy Alterrowie wybrani na swoje dziesięcioletnie kadencje w radzie mieli równe prawa, ale wyraźnie i w pełni świadomie uważali Jacoba Agata za swego przywódcę, za centrum, wokół którego się skupiali. Trudno to było przypisać jakiejkolwiek widocznej przyczynie, chyba żeby uznać za nią energię, z jaką się poruszał i mówił-czy władzę widać po człowieku, który ją posiada, czy też po ludziach z jego otoczenia? Natomiast skutki tego wyraźnie odcisnęły się na jego twarzy w postaci pewnego napięcia i powagi, efektów brzemienia odpowiedzialności, jakie dźwigał od długiego już czasu i które z dnia na dzień stawało się coraz cięższe.

— Popełniłem jeden błąd — powiedział do Pilotsona, kiedy Seiko z pozostałymi kobietami z rady zabrały się do parzenia i podawania małych, ceremonialnych filiżanek gorącego napoju z liści basuki, zwanego ti. — Tak bardzo starałem się przekonać tego starego o niebezpieczeństwie grożącym ze strony ghalów, że chyba na chwilę zacząłem nadawać. Nie werbalnie, ale wyglądał, jakby zobaczył upiora.

— Masz potężną zdolność projekcji doznań zmysłowych, a w sytuacjach napięcia kiepsko nad nią panujesz. Pewnie rzeczywiście zobaczył upiora.

— Od tak dawna nie mieliśmy żadnych kontaktów z wifami, tak bardzo tu wrośliśmy, żyjemy w takiej izolacji, że nie potrafię się już kontrolować. Najpierw przemawiałem do tej dziewczyny na plaży, zaraz potem nadaję do Wolda… Jak tak dalej pójdzie, znów nas okrzykną czarownikami czy magami, jak w pierwszych Latach. A przecież musimy zdobyć sobie ich zaufanie. I to w tak krótkim czasie.

Och, ile bym dał, żebyśmy dowiedzieli się o tych ghalach wcześniej!

— Moim zdaniem — odparł Pilotson, ostrożnie jak to on — i tak tylko twojej zdolności przewidywania zawdzięczamy to, że w ogóle zostaliśmy ostrzeżeni. Przecież to ty uznałeś, że skoro nie ma już żadnych innych ludzkich osad wzdłuż wybrzeża, trzeba wysłać zwiad na północ. Twoje zdrowie, Seiko — dodał, biorąc od niej maleńkie naczynko parującej ti.

Agat wziął ostatnią filiżankę z tacy i wypił duszkiem. Świeżo zaparzona ti podwyższała nieco wrażliwość zmysłów, toteż wyraźnie poczuł w gardle jej czystą, gorącą goryczkę, zaczął silniej odbierać badawcze spojrzenie Seiko, pustkę wielkiego, rozjaśnianego ogniem z kominka pokoju i zapadający za oknami zmierzch. Filiżanka z błękitnej porcelany, którą trzymał w ręku, była bardzo stara — wytwór piątego Roku. Stare były księgi w ręcznej oprawie stojące w szklanych gablotach. Nawet szyby w oknach były stare. Wszystkie przedmioty zbytku, wszystko, co czyniło z nich istoty cywilizowane, wszystko, dzięki czemu pozostali jeszcze Alterranami, było stare. Za czasów Agata, a i na długo przed jego narodzinami, nie starczało już energii i wolnych chwil na zawiłą i złożoną afirmację uzdolnień i intelektu człowieka. Dziś ledwie byli w stanie zachować to, co już mieli — trwać.

Z Roku na Rok, od co najmniej dziesięciu pokoleń, było ich coraz mniej; bardzo powoli, lecz systematycznie, malała liczba nowo narodzonych dzieci. Zwarli szeregi, zwrócili się ku samym sobie. Dawne marzenia o dominacji poszły w zapomnienie. Ściągnęli z powrotem — jeśli Zimom i wrogim plemionom wifów nie udało się wcześniej wykorzystać ich słabości — do starego centrum, pierwszej kolonii, do Landinu. Uczyli dzieci starych zwyczajów i przekazywali im wiedzę, ale też tylko starą, żadnej nowej. Z Roku na Rok żyli odrobinę biedniej, coraz częściej przedkładali prostotę nad zdobnictwo, spokój nad zmagania, odwagę nad zwycięstwo. Zamknęli się w sobie.

Zaglądając do filiżanki trzymanej w ręku, ujrzał w jej czystej, nieskazitelnej półprzejrzystości niedoścignięty artyzm jej twórców i kruchość materiału, z jakiego ją wykonano-coś w rodzaju kwintesencji wartości duchowych swojej rasy. Za strzelistymi oknami niebo miało ten sam odcień przejrzystego błękitu. Tyle że zimny. Zapadał zmierzch, błękitny, bezgraniczny i zimny. Ogarnął go dawny strach, strach z czasów dzieciństwa, który po wkroczeniu w dorosłe życie tłumaczył sobie tak: ten świat, na którym urodził się on i jego ojciec, świat, na którym urodziły się dwadzieścia trzy pokolenia jego dziadów i pradziadów, nie był jego domem. Jego rasa była tu obca. Gdzieś w głębi duszy zawsze mieli tego świadomość. Byli „farbornami”, „zrodzonymi daleko stąd”. I krok za krokiem, z majestatyczną

powolnością i pierwotnym uporem procesu ewolucji, ten świat ich zabijał — odrzucał przeszczep.

Być może ze zbytnią uległością podporządkowali się temu procesowi, zbyt ochoczo godzili się na wymarcie. Ale ten rodzaj uległości-żelaznego przestrzegania Praw Ligi-był od samego początku źródłem ich siły; nadal byli silni — każdy z osobna. Ale nie posiadali dostatecznej wiedzy ani umiejętności, żeby walczyć z bezpłodnością i poronieniami, które z pokolenia na pokolenie zmniejszały ich liczebność. Bo Księgi Ligi nie zawierały całej mądrości, a z dnia na dzień i Roku na Rok tracono kolejne jej cząstki, wypierane przez informacje dotyczące bardziej bezpośrednio naglących potrzeb, informacje dotyczące codziennego życia tu i teraz. I w końcowym efekcie nawet to, co księgi im mówiły, nie zawsze potrafili już zrozumieć. Co tak naprawdę pozostało im jeszcze z Dziedzictwa? Czy gdyby kiedyś — jak przepowiadały to stare wierzenia i podania — rzeczywiście z gwiazd opadł na słupach ognia kosmiczny statek, to czy ludzie, którzy by z niego wysiedli, rozpoznaliby w nich jeszcze ludzi?

Ale żaden statek nigdy nie przyleciał i nigdy nie przyleci. A oni w końcu wymrą do ostatniego; ich obecność tutaj, ich długie wygnanie, ich walka o przetrwanie na tym świecie dobiegnie końca, rozpryśnie się jak naczynko z gliny.

Odstawił ostrożnie filiżankę na tacę i otarł pot z czoła. Seiko nie spuszczała z niego wzroku. Gwałtownym szarpnięciem odwrócił od niej głowę i zaczął przysłuchiwać się rozmowie Jonkendy'ego z Dermatem i Pilotsonem. Spoza zalewu ponurych przeczuć błysnęło mu na jedno mgnienie oka, na pozór w zupełnym oderwaniu, a jednak stanowiąc jakby i wyjaśnienie, i znak, wspomnienie małej Rolery wyciągającej do niego rękę z ciemnych, zatapianych przez morze głazów.

Rozdział 4
Smukli młodzi mężczyźni

Odgłos uderzania kamieniem o kamień, twardy i bezdźwięczny, niósł się spomiędzy dachów i nie ukończonych murów Zimowego Miasta aż do rozbitych wokół niego wysokich, czerwonych namiotów. Długo rozlegał się pojedynczym ak ak ak ak, gdy wtem dołączył do niego w zgrzytliwym kontrapunkcie drugi stukot — kadak ak ak kadak. Potem następny, wyższy, wprowadzający kłótliwy rytm, i jeszcze jeden, i jeszcze, aż wielka miarowość uderzeń zagubiła się w jednej lawinie nieustającego grzechotu, wysokim łoskocie kamieni grzmocących o kamień, w którym wszystkie indywidualne rytmy uderzeń uległy zupełnemu zatraceniu, stały się nie do odróżnienia.

Kiedy otępiające dźwięki toczyły się już niepowstrzymaną lawiną, Najstarszy z Mężów Dziedziny Askatewaru stanął w wejściu do swego namiotu i ruszył wolnym krokiem między namiotami i ogniskami do warzenia strawy, bijącymi dymem w chylące się ku wieczorowi późne popołudnie i późnojesienne niebo. Przeszedł sztywno i ociężale przez obóz swego plemienia, przekroczył bramę Zimowego Miasta i wąską ścieżką czy też uliczką wijącą się między zbudowanymi na kształt namiotów, drewnianymi dachami domów o ścianach skrytych całkowicie pod ziemią, dotarł na otwartą przestrzeń pośrodku pola spiczastych stożków. Szerokim kręgiem siedziało tu w kucki, z kolanami pod brodą, około stu mężów. Każdy z nich uderzał kamieniem o kamień, bił w zapamiętaniu, w hipnotycznym transie głuchego dudnienia. Wold usiadł na ziemi, zamykając Krąg. Wziął do ręki mniejszy z dwóch leżących przed nim sporych, wygładzonych przez wodę kamieni, zważył w dłoni jego przyjemny ciężar i trzasnął nim w ten większy: klak klak klak! Na prawo i na lewo od niego rozlegał się nadal poprzedni łoskot, jazgotliwy harmider przygodnych dźwięków, z którego co jakiś czas dawało się wyłowić cień jakiegoś rytmu. Rytm ten zanikał i powracał, niczym zupełnie przypadkowe współbrzmienie tonów. Kiedy znów się pojawił, Wold podchwycił go, wzmocnił i podtrzymał. Dla niego zdominował on teraz ogólną hałaśliwą kakofonię. Chwilę później ten sam rytm podjął sąsiad po lewej i oba ich kamienie zaczęły wznosić się i opadać dokładnie w tej samej chwili. Teraz sąsiad po prawej. Teraz już i inni po drugiej stronie kręgu wybijali ten sam rytm, uderzali wszyscy razem. Wypłynął wyraźnie ponad ogólny łoskot, pokonał go, zmusił wszystkie przeciwstawne głosy do podchwycenia swej prostej, nieprzerwanej miary, do zgody. Dudnił twardym pulsem serca Mężów Askatewaru, coraz głośniej i potężniej — bez końca.

To była cała ich muzyka, cały ich taniec.

W końcu jeden z mężów poderwał się z ziemi i stanął wewnątrz kręgu. Był nagi do pasa, ręce i nogi zdobiły mu namalowane czarną farbą pręgi, twarz okalała mu chmura czarnych włosów. Rytm osłabł, przycichł i zamarł. Cisza.

— Biegacz z północy przyniósł wieści, że ghalowie ciągną szlakiem wzdłuż wybrzeża, i to w wielkiej sile. Dotarli już do Tlokny. Czy wszyscy o tym słyszeli?

Pomruk potwierdzenia.

— Słuchajcie więc tego, który zwołał ten Kamienny Krąg — zakrzyknął szaman-herold. Wold podniósł się z trudem z ziemi. Stanął w miejscu ze wzrokiem wbitym wprost przed siebie, potężny, poorany bliznami, zastygły w bezruchu: człowiek-głaz.

— Do mego namiotu przyszedł farborn — odezwał się

w końcu niskim, starczym głosem. — Tam, w Landinie, jest wśród swoich wodzem. Powiedział, że farbornowie stali się nieliczni i chcą prosić ludzi o pomoc.

Pomruk wszystkich głów rodów i rodzin, siedzących kołem z kolanami pod brodą, w zupełnym bezruchu. Wysoko ponad kręgiem mężów, wysoko ponad drewnianymi dachami wokół nich, wysoko w chłodnym, złocistym blasku słońca zatoczył koło jakiś śnieżnobiały ptak, zwiastun Zimy.

— Farborn ten powiedział, że ghalowie ciągną na południe nie rodami i plemionami, jak dawniej, ale jedną wielką hordą prowadzoną przez jednego wielkiego wodza.

— A skąd on to wie? — ryknął któryś z mężów. Podczas Kamiennego Kręgu w Tewarze nie przestrzegano zbyt rygorystycznego ceremoniału; Tewarem nigdy nie rządzili szamani, jak to bywało u niektórych innych plemion.

— Wysłał zwiad na północ! — odkrzyknął mu Wold. — Powiedział, że ghalowie oblegają Zimowe Miasta i je zdobywają. Dokładnie to samo mówił biegacz o Tloknie. Farborn powiada, że wojownicy Tewaru powinni połączyć się z farbornami oraz wojownikami Pernmeku i Allakskatu, wyruszyć na północną granicę naszej dziedziny i zepchnąć ghalów w bok, na szlak przez góry. To wszystko powiedział, a ja tego wysłuchałem. Czy wy także tego wysłuchaliście?

Tym razem pomruk potwierdzenia był nierówny, burzliwy i nie zdążył jeszcze przebrzmieć, gdy jeden z przywódców klanów zerwał się na równe nogi. — Najstarszy! Z twoich ust zawsze słyszymy prawdę. Ale kiedy to prawdę mówił jakiś farborn? Od kiedy to ludzie słuchają farbornów? Ja nie słyszę niczego, co ten farborn powiedział! Nawet gdyby ghalowie mieli zdobyć ich miasto — no to co? Przecież tam nie ma ludzi. Niech je sobie zdobywają i plądrują. Wtedy my

będziemy mogli przejąć dziedzinę farbornów.

Mówcą był Walmek, wysoki, ciemnowłosy mężczyzna, dla którego każda okazja była dobra, żeby popisać się swoim krasomówstwem. Wold nigdy go nie lubił i tę niechęć dało się słyszeć w jego odpowiedzi.

— Słyszałem, co powiedział Walmek — nie pierwszy już raz. Czy farbornowie są ludźmi, czy nie… Kto to może wiedzieć? Może naprawdę spadli z nieba, jak głosi podanie. A może nie. Żaden z nich nie spadł z nieba w tym Roku… Wyglądają jak ludzie, walczą jak ludzie. Ich kobiety są jak prawdziwe kobiety — ja wam to mówię! Mają swoją mądrość. Lepiej ich wysłuchać…

Na wzmiankę o kobietach farbornów siedzący z powagą w kręgu mężowie uśmiechnęli się pod nosem, a Wold poniewczasie ugryzł się w język. Głupio zrobił przypominając im w takim momencie o swoich starych związkach z farbornami. A i nie wypadało tego robić… W końcu była jego żoną…

Zmieszany, usiadł z powrotem na ziemi, oznajmiając w ten sposób, że nie ma już nic więcej do powiedzenia. Ale kilku innych mężczyzn, na których wieści przyniesione przez biegacza i ostrzeżenia Agata zrobiły spore wrażenie; wdało się w dyskusję z tymi, którzy w nie nie wierzyli i skłonni byli je zlekceważyć. Jeden z synów Wolda urodzonych na wiosnę, uwielbiający zbrojne zaczepki i wypady Umaksuman, wypowiedział się wprost za przyjęciem propozycji Agata, by wyruszyć na granicę Askatewaru.

— To zwykły podstęp! Damy się wysłać na północ dziedziny i tam zaskoczyć pierwszym śniegom, a tymczasem oni tutaj rozkradną nam nasze stada, kobiety i zapasy! To nie są ludzie! Im źle z oczu patrzy! — perorował Walmek. Rzadko trafiał mu się tak dobry temat do wygłaszania peror.

— Tylko o to im zawsze chodziło — o nasze kobiety! Nic dziwnego, że jest ich coraz mniej i powoli wymierają; Przecież rodzą im się same potworki. Chcą się dobrać do naszych kobiet, żeby móc wychowywać ludzkie dzieci na swoje własne! — Popierał go z przejęciem jeden z młodszych przywódców rodzin. — Agh!

Wold zazgrzytał zębami, rozeźlony tym pomieszaniem z poplątaniem plotek i bzdurnych informacji, ale nie ruszy się z miejsca, zostawiając usadzenie ciemniaka Umaksuma nowi.

— A jeśli farborn mówił prawdę? — zaripostował Umaksuman. — Co będzie, jeśli ghalowie nadciągną tutaj wszyscy razem, jedną, wielotysięczną hordą? Czy jesteśmy w stanie ich pokonać?

— Ale mury jeszcze nie ukończone, bramy nie zamknięte, zbiory nie zwiezione z pól — wtrącił jakiś starszy mężczyzna. Raczej właśnie to, a nie nieufność wobec obcych, stanowiło sedno sprawy. Jeśli sprawni mężczyźni pomaszerują na północ, to czy kobiety, dzieci i

starcy dadzą radę doprowadzić do końca przygotowania Miasta do Zimy przed nastaniem śnieżyc i mrozu? Może tak, a może nie. Podjęcie takiej decyzji na podstawie słowa farborna było mocno ryzykowne.

Sam Wold nie miał zamiaru jej podejmować, wolał zdać się w tej sprawie na Starszych. Lubił farborna Agata i nie sądził, by łatwo go było wprowadzić w błąd lub też by mógł sam świadomie kłamać — ale czy to w ogóle można być czegoś pewnym? Czasami i człowiek człowiekowi bywa obcy, a co tu mówić o istotach obcych naprawdę. Nigdy nic nie wiadomo. Może to i prawda, że ghalowie nadciągają jedną wielką armią. Ale Zima nadciąga na pewno. I który wróg groźniejszy?

Starsi zaczęli skłaniać się ku temu, żeby nie podejmować żadnych działań, ale frakcja Umaksumana zdołała odnieść pewien sukces. Udało jej się przeforsować decyzję o wysłaniu gońców do sąsiednich Dziedzin, Allakskatu i Pernmeku, z misją wysondowania opinii ich mężów na temat wspólnej obrony. I to była jedyna decyzja, jaką podjęto. Szaman puścił wolno wychudłą haynnę, schwytaną na wypadek powzięcia postanowienia o wojnie — które wymaga przypieczętowania rytualnym ukamienowaniem — i Starsi rozeszli się do namiotów.

Wold zasiadał właśnie z mężami swego rodu do miski dobrego, gorącego bhanu, kiedy na dworze wybuchło jakieś zamieszanie. Umaksuman wyszedł na zewnątrz, ryknął, żeby się wszyscy natychmiast rozeszli… i wrócił do wielkiego namiotu z farbornem Agatem.

— Witaj, Alterro — powiedział starzec, zerkając z ukosa na swoich dwóch wnuków. — Czy siądziesz z nami do jedzenia?

Lubił szokować ludzi; zawsze to robił. Dlatego właśnie za dawnych dni tak często biegał do farbornów. A tym gestem uwolnił się od skrytego poczucia wstydu, jakie go nękało od chwili, gdy w obecności innych mężczyzn wspomniał o dziewczynie, która dawno, dawno temu była jego żoną.

Agat przyjął zaproszenie z tym samym spokojem i powagą co zawsze i jadł na tyle długo, by zademonstrować, że wziął sobie do serca ten dowód gościnności. Odczekał, aż wszyscy ukończą posiłek, a żona Ukweta wyjdzie z namiotu z resztkami bhanu, i dopiero wtedy powiedział:

— Ja słucham, Najstarszy.

— Nie bardzo jest czego — odparł Wold z głośnym beknięciem. — Wyślemy biegaczy do Pernmeku i Allakskatu. Ale za wojną mało kto się opowiadał. Teraz już z dnia na dzień robi się coraz zimniej. Bezpieczeństwo nakazuje zamknąć się wewnątrz murów, pod dachami. My nie, wędrujemy po przedczasie tak jak wy, ale znamy

Zwyczaje Ludzi, wiemy, jakie były i są, i ich nie odstępujemy.

— Macie dobre zwyczaje — odparł farborn. — Nawet tak dobre, że ghalowie je od was przejęli. W poprzednie Zimy byliście silniejsi od nich, bo wszystkie wasze rody występowały przeciwko nim wspólnie. Ale teraz oni także się: nauczyli, że siła w jedności.

— Jeśli te wieści są rzeczywiście prawdziwe — odezwał się Ukwet, jeden z wnuków Wolda, ale starszy od Umaksumana, jego syna.

Agat popatrzył na niego bez słowa. Ukwet natychmiast umknął wzrokiem przed tym bezpośrednim, ciemnym spojrzeniem.

— Jeśli to nieprawda, to dlaczego ghalowie tak bardzo się spóźniają? — spytał Umaksuman. — Co ich zatrzymuje? Czy kiedykolwiek do tej pory czekali, aż plony zostaną zwiezione z pól?

— A kto to może wiedzieć? — powiedział Wold. — Ostatniego Roku nadciągnęli na długo przed wzejściem Gwiazdy Śniegu — to pamiętam. Ale któż może pamiętać, co było jeszcze Rok wcześniej?

— Może poszli szlakiem przez góry — podsunął drugi wnuk — i w ogóle nie pojawią się w Askatewarze.

— Biegacz mówił, że zdobyli Tloknę — odparował ostro Umaksuman — a Tlokna leży na północ od Tewaru na szlaku wzdłuż wybrzeża. Dlaczego mu nie wierzymy? Dlaczego ociągamy się z działaniem?

— Bo kto walczy Zimą, ten nie dożywa Wiosny — warknął Wold.

— Ale jeśli nadejdą…

— Jeśli nadejdą, to będziemy walczyć.

Zapadła chwila milczenia. Przynajmniej raz farborn nie patrzył na żadnego z nich, lecz spuścił swe mroczne spojrzenie jak człowiek.

— Ludzie powiadają — przerwał ciszę Ukwet z nutą drwiny w głosie, wietrząc zwycięstwo — że farbornowie mają dziwne moce na swe usługi. Ja nic o tym nie wiem, urodziłem się na terenach letnich i do tego cyklu księżyca nigdy nie widziałem żadnego farborna, nie mówiąc już o siedzeniu z nim przy posiłku. Ale jeśli naprawdę są czarownikami i mają taką władzę, to po co im nasza pomoc w walce z ghalami?

— Ja tego nie słyszałem! — zgromił go Wold, dysząc ciężko, czerwony na twarzy. Ukwet ukrył twarz w dłoniach. Rozsierdzony tym znieważeniem gościa, którego podejmował w swoim namiocie i własnym niezdecydowaniem nie pozwalającym mu opowiedzieć się po żadnej ze stron, Wold wbił rozognione, załzawione oczy w swego wnuka i dłuższą chwilę patrzył mu prosto w zasłoniętą rękami twarz.

— Teraz ja mówię — przerwał w końcu milczenie donośnym, tubalnym głosem wolnym na chwilę od chropawości, jakim zmatowiła go starość. — Teraz ja mówię — słuchajcie! Szlakiem wzdłuż wybrzeża pobiegną biegacze i będą biegli dotąd, aż napotkają ghalów.

A w dwa dni po nich, ale tylko do granicy naszej dziedziny wyprawią się wojownicy — wszyscy mężczyźni urodzeni między Śródwiośniem a Letnim Odłogiem. Jeśli ghalowie nadciągną jedną hordą, wojownicy zepchną ich na wschód, na szlak przez góry. Jeśli nie, wrócą do Tewaru.

Umaksuman roześmiał się głośno i zawołał: — Tylko ciebie nam słuchać, Najstarszy!

Wold burknął coś pod nosem, czknął i opadł z powrotem na pięty.

— Ale wojownicy słuchać będą ciebie — odparł ponuro. — My możemy wysłać trzystu pięćdziesięciu mężczyzn — powiedział spokojnie jak zwykle Agat, który już dość długo nie zabierał głosu. — Pomaszerujemy starą drogą wzdłuż plaży i połączymy się z wami na granicy Askatewaru. — Wstał i wyciągnął przed siebie rękę. Stary wódz, który jeszcze nie ochłonął z gniewu, a już zaczynał być zły, że zmuszono go do podjęcia tego zobowiązania, udał, że tego nie widzi. Umaksuman w jednej chwili zerwał się z ziemi i przyłożył dłoń do dłoni farborna. Stali tak naprzeciw siebie w świetle ogniska niczym dzień i noc. Agat ciemny, ocieniony, mroczny — Umaksuman jasnoskóry, jasnooki, promienny.

W ten sposób decyzja zapadła, a Wold wiedział, że zdoła ją narzucić Starszym. Wiedział także, że to ostatnia decyzja, jaką podjął w swoim życiu. On, Wold, mógł ich wysłać na wojnę, ale to Umaksuman z niej powróci jako wódz wojowników, a tym samym najpotężniejszy przywódca Mężów Askatewaru. Podjęcie przez niego tej decyzji równało się abdykacji. Nowym wodzem zostanie młody Umaksuman. To on będzie zamykał Kamienny Krąg, to on poprowadzi polowania Zimą, zwiady Wiosną, wielkie wędrówki długich dni Lata. Jego Rok się właśnie rozpoczynał…

— Idźcie już — warknął na wszystkich obecnych. — Zwołaj na jutro Kamienny Krąg, Umaksuman. Powiedz szamanowi, żeby wybrał jakąś haynnę, tylko tłustą, żeby miała trochę krwi. — Do Agata nie miał już ochoty się odzywać. Wyszli z namiotu, wszyscy smukli i młodzi. Zostawili go przykucniętego na zdrętwiałym zadku, wpatrzonego w żar węgli ogniska, niby w jądro minionego blasku, bezpowrotnie utracony płomień Lata.

Rozdział 5
Zmierzch w lasach

Farborn wyszedł z namiotu Umaksumana i przystanął jeszcze na chwilę porozmawiać z młodym wodzem. Obaj patrzyli na północ, mrużąc oczy przed porywistym wiatrem. Agat przesuwał wyciągniętą ręką, jakby mówił o górach. Podmuch wiatru doniósł słowo czy dwa do miejsca, z którego Rolery ich obserwowała, na ścieżkę prowadzącą do bramy Miasta. Kiedy usłyszała głos Agata, w całym ciele poczuła delikatne mrowienie, nagły przypływ mrocznego strachu w żyłach, przywodzący wspomnienie tamtego głosu, który przemówił wewnątrz jej myśli, wewnątrz jej ciała, wołając ją do siebie.

Zaraz potem, niby zniekształconym echem, powrócił do niej z pamięci ostry rozkaz, niedwuznaczny jak policzek, kiedy na ścieżce w lesie naskoczył na nią, żeby sobie poszła i zostawiła go w spokoju.

Ni stąd, ni zowąd postawiła na ziemi koszyki, które niosła. Przeprowadzali się właśnie z czerwonych namiotów jej koczowniczego dzieciństwa do mrowiska spiczastych dachów, podziemnych sal, tuneli i uliczek Zimowego Miasta i wszystkie jej kuzynki, ciotki i siostrzenice krzątały się jak w ukropie, przekrzykując się nawzajem i biegając w tę i z powrotem od namiotów do bram Miasta z futrzanymi derkami, pudłami, sakwami, koszykami i garnkami. Postawiła swoje kosze tam, gdzie stała, tuż obok ścieżki, i ruszyła pewnym krokiem w kierunku lasu.

— Rolery! Ro-o-olery! — rozległo się za nią jazgotliwe nawoływanie, to samo, które ścigało ją zawsze i wszędzie, oskarżycielskie, ponaglające, zrzędne. Nawet się nie obejrzała. Kiedy znalazła się już dobrze w głębi lasu, puściła się biegiem. Zwolniła dopiero wtedy, gdy wszystkie inne dźwięki zagłuszyła szumliwa, jękliwa cisza powyginanych wiatrem drzew i nic nie przypominało o istnieniu obozu jej plemienia poza nikłym, gorzkawym zapachem dymu z palonych drew.

Tu i tam tarasowały teraz ścieżkę wielkie pnie powalonych drzew. Szarpały ją sztywnymi, zeschniętymi gałęziami za kaptur i rozdzierały ubranie, gdy mozolnie drapała się przez nie górą lub przepełzała pod nimi dołem. W taką wichurę las nie był bezpiecznym miejscem; teraz też gdzieś dalej na wzgórzach rozległ się stłumiony łoskot drzewa padającego pod naporem wiatru. Ale Rolery nic to nie obchodziło. Chciała tylko jak najszybciej znaleźć się z powrotem na tych szarych piaskach, stanąć w bezruchu, absolutnym bezruchu, i patrzeć, jak spada na nią trzydziestostopowa ściana spienionej wody… I tak nagle jak przedtem zaczęła iść, tak teraz nagle zatrzymała się i stanęła

pośrodku ścieżki w zapadającym zmroku.

Wiatr dął, cichł i dął od nowa. Skłębione, sine chmury sunęły nisko ponad pajęczyną bezlistnych gałęzi. W miejscu, gdzie stała, było już niemal zupełnie ciemno. W jednej chwili opuściła ją cała złość i zapomniawszy o swym postanowieniu, zastygła sparaliżowana strachem, kuląc się przed wiatrem. Coś białego mignęło ledwie kilka kroków przed nią. Krzyknęła przerażona, ale nie ruszyła się z miejsca. Jeszcze raz to samo mignięcie, po czym na ułamanej gałęzi nad jej głową znieruchomiała jakaś biała plama — wielkie zwierzę czy ptak, skrzydlate, idealnie białe, białe z wierzchu i od spodu, z krótkim, ostrym, kłapiącym dziobem zamiast pyska i wyłupiastymi, srebrzystymi ślepiami. Trzymając się gałęzi czterema nagimi szponami, stwór wpatrywał się w Rolery, a ona w niego. Żadne się nie poruszyło. Srebrzyste ślepia nawet nie mrugnęły. Nagle stwór rozpostarł wielkie białe skrzydła, szerzej niż na wysokość człowieka, i zaczął tłuc nimi o gałęzie, łamiąc je z suchym trzaskiem. Łopotał białymi skrzydłami, wydając z siebie przeciągły krzyk, po czym jak podmuch wiatru wzbił się ociężale w powietrze i odfrunął rozpływając się między dachem gałęzi a sunącymi nisko chmurami.

— Zwiastun śniegu — rozległ się na ścieżce kilka jardów za nią głos Agata. — Podobno sprowadza śnieżyce. Ogromny srebrzysty stwór śmiertelnie ją przeraził. Nagły przypływ łez, towarzyszący u ludzi wszystkim silnym emocjom, na moment ją oślepił. Miała zamiar wydrwić go, wyszydzić, widziała niechęć kryjącą się pod tą jego pełną arogancji swobodą, kiedy ludzie w Tewarze traktowali go z góry, tak jak powinni, jako istotę gorszego rodzaju. Ale ten biały stwór, zwiastun śniegu, tak ją wystraszył, że straciła panowanie nad sobą i patrząc mu prosto w oczy, tak jak przedtem wpatrywała się w srebrzyste ślepia, zawołała:

— Nienawidzę cię, ty nie jesteś człowiekiem! Nienawidzę cię!

Wtedy łzy przestały jej płynąć, odwróciła wzrok i przez długą chwilę stali oboje w milczeniu.

— Rolery — usłyszała miękki głos — spójrz na mnie. Nie spojrzała. Podszedł do niej, a ona szarpnęła się do tyłu i z wykrzywioną twarzą krzyknęła przeraźliwie jak zwiastun śniegu:

— Nie dotykaj mnie!

— Opanuj się — powiedział. — Masz, weź mnie za rękę, no, bierz! — Chwycił ją, gdy próbowała mu się wyrwać, i przytrzymał za oba nadgarstki. Znów zastygli w bezruchu.

— Puść mnie — powiedziała w końcu normalnym głosem. Puścił ją natychmiast.

Wzięła głęboki oddech.

— Mówiłeś do mnie — słyszałam cię wewnątrz siebie. Tam, na piaskach. Czy umiałbyś to zrobić jeszcze raz? Popatrzył na nią

uważnie i spokojnie.

— Tak — skinął głową. — Ale obiecałem ci wtedy, że już nigdy tego nie zrobię.

— Wciąż to słyszę. Czuję twój głos. — Przycisnęła ręce do uszu.

— Wiem… i jest mi przykro. Kiedy cię zawołałem, nie. wiedziałem, że jesteś wifem, że przyszłaś z Tewaru. To: sprzeczne z Prawem. A poza tym w ogóle nie powinno mi się. było udać…

— Co to jest wif?

— Tak właśnie was nazywamy.

— A jak nazywacie siebie?

— Ludźmi.

Rozejrzała się dokoła, powiodła spojrzeniem po mroczniejącym, jęczącym lesie, szarych kolumnadach drzew, dachu kłębiących się chmur. Ten szary, pełen ruchu świat był bardzo dziwny, ale nie czuła już strachu. Jego dotyk,: fizyczny dotyk jego dłoni, usunął w cień natarczywe i nieuchwytne wrażenie jego obecności i tchnął w nią spokój, który w miarę tego, jak rozmawiali, coraz bardziej się pogłębiał. Pojęła teraz, że przez ostatni dzień i noc chodziła jak na wpół obłąkana.

— Czy wy wszyscy potraficie to robić… tak mówić?

— Niektórzy. To umiejętność, której można się nauczyć. Tylko trzeba dużo ćwiczyć. Chodź tutaj, usiądź na chwilę. Ledwie stoisz na nogach. — Mówił szorstko jak zwykle, ale w jego głosie pojawiła się teraz jakaś nowa nuta, cień czegoś zupełnie innego. Jakby natarczywość, z jaką wołał ją tam, na piaskach, przeobraziła się w tłumione z całych sił błaganie, nieskończenie delikatne wyciągnięcie ręki.

Usiedli na pniu przewróconej basuki kilka jardów w bok od ścieżki. Obserwując, jak się porusza i siedzi, Rolery uzmysłowiła sobie, że robi to zupełnie inaczej niż mężczyźni jej rasy; kształt jego sylwetki, suma gestów były zupełnie obce. Najsilniej uderzyły ją splecione między kolanami, ciemnoskóre dłonie.

— Wy także moglibyście się nauczyć rozmawiać w myślach, gdybyście chcieli — ciągnął. — Tylko że nigdy nie chcieliście. Nazywacie to chyba czarami… Nasze księgi: powiadają, że my sami nauczyliśmy się tego dawno, dawno temu od pewnej rasy zamieszkującej inny świat zwany Rokananem. To w równej mierze umiejętność co dar.

— A czy gdybyś chciał, mógłbyś słuchać moich myśli? — To zabronione — odparł z taką stanowczością, że zupełnie wyzbyła się obaw, które nagle ją ogarnęły.

— Naucz mnie tego — poprosiła natarczywie jak małe dziecko.

— To by ci zajęło całą Zimę. — A tobie zajęło całą Jesień?

— I jeszcze trochę Lata — odparł z lekkim uśmiechem.

— Co to znaczy wif?

— To słowo z naszego dawnego języka. Znaczy: wysoko inteligentna forma życia.

— Gdzie jest ten inny świat?

— Och, jest ich bardzo wiele. Tam. Poza słońcem i księżycem.

— To znaczy, że jednak naprawdę spadliście z nieba? Po co? Jak się dostaliście stamtąd, zza słońca, tu, na to wybrzeże?

— Powiem ci, jeśli chcesz wiedzieć, Rolery, ale to nie jest baśń. Wielu rzeczy sami nie rozumiemy, ale to, co o swojej historii wiemy, jest prawdą.

— Ja ciebie słucham — wyszeptała zwyczajową formułę, wyraźnie pod wrażeniem jego słów, ale niezupełnie pokornie.

— Tam, między gwiazdami, było wiele światów i zamieszkiwało je wiele rodzajów ludzi. Zbudowali statki, które potrafiły żeglować przez ciemność między światami i nieustannie podróżowali, by handlować i poznawać dalsze światy. Zawiązali przymierze zwane Ligą, tak jak wasze rody zawiązują przymierze; aby utworzyć Dziedzinę. Ale Liga Wszystkich Światów miała wroga. Wroga pochodzącego z bardzo daleka. Nie wiemy z jak daleka. Nasze księgi zostały napisane dla ludzi, którzy wiedzieli znacznie więcej niż my…

Ciągle używał słów, które brzmiały jak słowa, ale zupełnie nic nie znaczyły; Rolery zastanawiała się, co to znaczy „statek”, co to znaczy „księga”. Ale poważny, pełen ból ton, jakim snuł swoją opowieść, wywierał na niej ogromne wrażenie. Słuchała go jak urzeczona.

— Liga długo przygotowywała się do walki z wrogiem. Silniejsze światy pomagały słabszym uzbroić się i przygotować do wojny. Trochę na podobieństwo tego, jak my tutaj staramy się przygotować na nadejście ghalów. Wiemy, że słuchanie myśli było jedną z umiejętności, jakich wówczas uczono, a księgi powiadają, że istniały także bronie ogniste, którymi można palić całe planety, rozsadzać gwiazdy… W tym właśnie czasie przybyliśmy ze swego rodzinnego świata tutaj. Nie było nas wielu. Przybyliśmy zawrzeć z wami przyjaźń i dowiedzieć się, czy chcecie przystąpić do Ligi, do walki ze wspólnym wrogiem. Ale wróg nagle zaatakował. Statek, który nas przywiózł, wrócił tam, skąd przyleciał, by wziąć udział w walkach, a wraz z nim odleciała część członków wyprawy i… maszyna do rozmawiania na odległość, za pomocą której można się było porozumiewać między światami. Ale reszta ekspedycji pozostała tutaj, albo też po to, by pomóc temu światu, gdyby wróg was napadł, albo też dlatego, że po prostu nie mogli wrócić — nie wiemy. Archiwa powiadają tylko, że statek odleciał. Włócznia: z białego metalu, dłuższa niż całe miasto, wznosząca się na pióropuszach ognia. Zachowały się rysunki. Moim zdaniem; spodziewano się jego rychłego powrotu… To było dziesięć Lat temu…

— A co z wojną z tamtym wrogiem?

— Nie wiemy. Nie wiemy absolutnie nic, co wydarzyło się od dnia odlotu statku. Jedni z nas uważają, że wojna musiała zostać przegrana, inni, że wygrana, ale ledwie, ledwie, i że w czasie jej trwania zapomniano o garstce ludzi pozostawionych tu, na tym świecie. Kto to jednak może wiedzieć? Jeśli przetrwamy, pewnego dnia dowiemy się jak było; jeśli nikt po nas nie przybędzie, sami zbudujemy statek i polecimy sprawdzić… — W jego głosie dźwięczała i tęsknota, i gorzka ironia. Rolery czuła zawrót głowy od tych niezmierzonych , przepaści czasu i przestrzeni, rzeczy zupełnie niepojętych.

— Ciężko żyć z czymś takim — powiedziała w końcu. Agat roześmiał się jakby zaskoczony.

— Nie, to nam daje poczucie dumy — powiedział. — Ciężko jest przeżyć na świecie, do którego nie jest się stworzonym. Jeszcze pięć Lat temu byliśmy potężnym ludem. Spójrz na nas dziś.

— Powiadają, że farbornowie nigdy nie chorują. Czy to prawda?

— Tak. Nie zapadamy na wasze choroby i nie przywieźliśmy ze sobą żadnych własnych. Ale kiedy się skaleczymy, krwawimy zupełnie tak samo jak wy… I wyobraź sobie, że starzejemy się i umieramy… Jak ludzie.

— To przecież jasne — odparła z niesmakiem.

— Problem w tym, że u nas rodzi się za mało dzieci — powiedział, dając spokój poprzedniemu sarkazmowi. — Jest wiele poronień, wiele dzieci rodzi się martwych, — a tylko nieliczne udaje się donosić.

— Słyszałam o tym. I trochę myślałam. U was wszystko jest takie dziwne. Płodzicie dzieci o każdej porze Roku, nawet w czasie Zimowego Odłogu. Dlaczego?

— Nic na to nie możemy poradzić — roześmiał się i spojrzał na nią z ukosa, ale dziewczyna mówiła najzupełniej poważnie. — Tacy już jesteśmy.

— Ja też urodziłam się nie w porę — powiedziała cicho. — W czasie Letniego Odłogu. To się czasami u nas zdarza, ale bardzo rzadko. I widzisz — kiedy Zima się skończy, będę za stara, żeby urodzić wiosenne dziecko. Nigdy nie będę miała syna. Pewnego dnia jakiś staruch weźmie mnie za piątą żonę, ale nastała już pora Zimowego Odłogu, a na Wiosnę będę już za stara… Więc umrę bezdzietna. Dla kobiety lepiej się w ogóle nie urodzić, niż urodzić się nie w porę tak jak ja… Powiedz mi jeszcze: czy to prawda, że farbornowie mają tylko po jednej żonie?

Skinął głową. Ten gest musiał najwyraźniej oznaczać to samo co jej wzruszenie ramionami.

— No to nic dziwnego, że wymieracie!

Uśmiechnął się rozbawiony, ale Rolery obstawała przy swoim. — Dużo żon to dużo synów. Gdybyś był jednym z nas, miałbyś już pięcioro czy dziesięcioro dzieci! A ty ile masz?

— Żadnego, nie jestem żonaty.

— A czy nigdy nie pokładałeś się z kobietą?

— No, owszem — mruknął, po czym odzyskując pewność siebie dodał: — Oczywiście że tak! Ale u nas kiedy ktoś chce mieć dzieci, to się żeni.

— Gdybyś był jednym z nas…

— Ale nie jestem — wszedł jej w słowo.

Zapadło dłuższe milczenie. Przerwał je w końcu, tym razem znacznie łagodniejszym tonem:

— Rzecz nie w zwyczajach i ilościach. Nie wiemy dokładnie, o co chodzi, ale problem tkwi w nasieniu. Niektórzy lekarze przypisują to temu, że tutejsze słońce różni się od tego, pod którym narodziła się nasza rasa, i oddziałuje na nas w jakiś sposób, zmieniając powoli nasze nasienie. I ta zmiana zabija.

Znów zapadła dłuższa chwila milczenia. — A jaki był ten inny świat — wasz dom?

— Mamy pieśni, które mówią, jaki on był — odparł, ale kiedy zapytała go nieśmiało, co to za pieśni, nie odpowiedział.

W domu świat leżał znacznie bliżej słońca — podjął po chwili — i cały rok był tam krótszy niż jeden cykl księżyca tutaj. Tak powiadają księgi. Możesz to sobie wyobrazić? Cała zima trwałaby tylko dziewięćdziesiąt dni…

Na tę myśl oboje się roześmieli.

— Człowiek by nie zdążył dobrze rozpalić ognia — zawołała rozbawiona.

W szarówkę zmierzchu zasnuwającego las zaczynała się sączyć prawdziwa noc. Końce ścieżki rozpływały się w ciemności, znikając w czarnych szczelinach między drzewami: po lewej w kierunku jej miasta, po prawej w kierunku jego. Tu, pośrodku, był tylko wiatr, mrok, poczucie osamotnienia. Noc nadciągała coraz szybciej. Noc, Zima i wojna, czas umierania.

— Boję się Zimy — powiedziała cichutko.

— Wszyscy się jej boimy — odparł. — Jaka ona będzie? Znamy przecież tylko słońce Lata…

Nikomu z jej współplemieńców nigdy nie udało się przełamać jej zamknięcia w sobie, zamknięcia nie znającego strachu ani troski o innych. Z braku rówieśników, a także z własnego wyboru, zawsze trzymała się sama, chadzała własnymi drogami, nie przywiązała się właściwie do nikogo. I oto teraz, kiedy z dnia na dzień świat robił się coraz bardziej szary, kiedy nic nie niosło żadnej obietnicy poza obietnicą śmierci, spotkała jego, ciemną figurkę na wieży-skale

górującej ponad morzem i usłyszała głos przemawiający do niej pulsem krwi tętniącej w jej własnych żyłach.

— Dlaczego nigdy na mnie nie spojrzysz? — spytał.

— Jeśli będziesz chciał, to spojrzę — powiedziała cicho, ale nie podniosła oczu, choć czuła na sobie jego dziwny, mroczny wzrok. W końcu wyciągnęła rękę, a on ujął jej dłoń.

— Masz takie złociste oczy — powiedział. — Chciałbym… chciałbym… Ale gdyby oni się dowiedzieli, że jesteśmy tu razem…

— Twoi?

— Twoi. Moich to nic nie obchodzi.

— A moi nie muszą się o tym dowiedzieć. — Oboje mówili niemal szeptem, ale szybko, natarczywie, bez chwili przerwy.

— Rolery, za dwa dni wyruszam na północ. — Wiem.

— Jak wrócę…

— A jak nie wrócisz! — krzyknęła w przypływie panicznego strachu, jaki ogarnął ją nagle na myśl o końcu Jesieni, mrozie i śmierci.

Przytulił ją do siebie, tłumacząc łagodnie, że wróci. Kiedy to mówił, czuła, jak im obojgu biją serca.

— Chcę zostać z tobą — powiedziała w tej samej chwili, w której on powiedział: — Chcę zostać z tobą.

Zrobiło się już ciemno. Wstali i ruszyli powoli w szarawą noc. Szła z nim, w stronę jego miasta.

— Dokąd możemy pójść? — spytał z zaprawionym goryczą śmiechem. — Nie ma to jak kochać się Latem… Tam, na wzgórzach jest szałasik myśliwski… W Tewarze będą cię szukali.

— Nie — szepnęła — nikt nigdy mnie nie szuka.

Rozdział 6
Snieg

Zwiadowcy pobiegli na północ: jutro Mężowie Askatewaru wymaszerują w ślad za nimi szerokim, ledwie przetartym szlakiem, wiodącym przez środek ich Dziedziny, gdy tymczasem mniejsza grupka z Landinu wyruszy starą drogą wzdłuż wybrzeża. Umaksuman przychylał się do poglądu Agata, że aż do przededniu walki lepiej trzymać obie armie osobno. Jednoczył je tylko autorytet Wolda. Wielu wojowników Umaksumana, choć zaprawionych w licznych potyczkach i podjazdach w okresie poprzedzającym zimowy rozejm, niechętnie wyruszało teraz na wyprawę w porze, gdy nie prowadzi się wojen; a pokaźna frakcja, do której należeli nawet członkowie jego własnego rodu, z tak wielką niechęcią odnosiła się do przymierza z farbornami, że gotowi byli mieszać gdzie i jak się da. Ukwet i jego poplecznicy zapowiadali wręcz, że kiedy skończą z ghalami, zabiorą się do magów. Agat zlekceważył te pogróżki, przewidując, że zwycięstwo złagodzi ich uprzedzenia, a klęska położy im kres; ale Umaksumana, który nie wybiegał myślami tak daleko w przód, mocno to niepokoiło.

— Nasi zwiadowcy cały czas będą was mieli na oku. W końcu wcale nie jest powiedziane, że ghalowie będą na nas czekać na granicy.

— Długa Dolina pod Białą Turnią byłaby wymarzonym miejscem na bitwę — powiedział Umaksuman, błyskając zębami w uśmiechu. — Powodzenia, Alterro!

— Powodzenia, Umaksumanie. — Rozstali się jak przyjaciele u stóp spojonej gliną kamiennej bramy Zimowego Miasta. Kiedy Agat odwracał się, żeby odejść, nad łukiem bramy zamigotało coś na tle pochmurnego popołudniowego nieba, zadrżało niepewnie w podmuchu wiatru. Zaskoczony podniósł wzrok, po czym odwrócił się z powrotem do Umaksumana. — Popatrz!

Tewarczyk wyszedł spomiędzy murów i przystanął na chwilę obok niego, żeby po raz pierwszy w życiu zobaczyć to, co znał tylko z opowieści starców. Agat wyciągnął rękę dłonią zwróconą ku górze. Wirująca biała plamka osiadła na jego palcach i zniknęła. Szeroka dolina rżysk i spasionych pastwisk, przełęcz z ciemnym językiem lasów i wszystkie wzgórza ciągnące się dalej na zachód i południe zdawały się leciutko drżeć, wycofywać za rzadką przesłonę płatków prószących z niskich chmur, kręcących się wokół siebie i opadających ukośnie, choć wiatr wyraźnie przycichł.

Spomiędzy spiczastych, drewnianych dachów za ich plecami dobiegły piski podnieconych dzieci.

— Śnieg jest mniejszy niż myślałem — powiedział w końcu Umaksuman, jakby w rozmarzeniu.

— Ja myślałem, że będzie zimniej. A tymczasem jest chyba nawet cieplej niż przedtem… — Agat siłą wyrwał się spod groźnego, urzekającego czaru, jaki rzucały na niego wirujące drobiny bieli. — Do zobaczenia na północy — powiedział i otulając się szczelnie futrzanym kołnierzem przed dziwnym, przenikliwym dotykiem maleńkich płatków, ruszył ścieżką do Landinu.

Pół kiloma w głębi lasu ujrzał słabo oznakowaną ścieżkę prowadzącą do szałasu myśliwskiego i mijając ją poczuł się tak, jakby w żyłach zatętniło mu płynne światło. — Spokój, przestań się wygłupiać — skarcił się głośno, zirytowany tym nawrotem utraty panowania nad sobą. W ciągu tych kilku chwil, które mógł tego dnia poświęcić na rozmyślania, wszystko sobie jasno wytłumaczył. Wczoraj — to wczoraj.

W porządku, zaszło co zaszło, i tyle. I na tym koniec. Abstrahując od faktu, że ona była wifem, a on człowiekiem, i tak nie miało to żadnej przyszłości, było bezsensowne z wielu innych powodów. Od pierwszej chwili kiedy ujrzał jej twarz, tam, na stopniach wykutych w czarnej skale, nad falami przypływu, myślał o niej bezustannie, ze wszystkich sił pragnął ją znowu ujrzeć, jak jakiś wyrostek usychający z tęsknoty za swą pierwszą w życiu dziewczyną; a jeśli czegoś nienawidził, to właśnie ogłupienia, uporczywego ogłupienia, w jakie wpędza człowieka nieopanowana namiętność. Otępienia, które dla ulotnego zaspokojenia żądz każe podejmować szaleńcze ryzyko, zaprzepaszczać naprawdę ważne sprawy, które odbiera człowiekowi zdolność panowania nad swymi czynami. Toteż właśnie po to, żeby to panowanie zachować, poszedł z nią wczoraj; to było jedyne sensowne wyjście — mieć ten napad już za sobą. Idąc teraz spiesznie w tańczącym wokół rzadkim śniegu, jeszcze raz powtórzył sobie cały ten wywód. Wieczorem znów się z nią spotka, z tego samego powodu. Na myśl o tym przez całe ciało przepłynęła mu fala ciepłego blasku i rozpierającej do bólu radości, ale Agat ją zignorował. Jutro wyrusza na północ i jeśli wróci, będzie dość czasu, by wyjaśnić dziewczynie, że trzeba skończyć z tymi nocami, z tym wylegiwaniem się obok siebie na futrzanej szubie w szałasie w samym sercu lasu, pod wygwieżdżonym niebem… a wkoło tylko chłód i przeogromna cisza… Nie, nie — dość tego! Pełnia szczęścia, jakie mu dała, zalała go niczym wezbrane fale przypływu, topiąc w swym nurcie wszelkie myśli. Szedł szybko wyciągniętym krokiem w zasnuwającym las zmroku i nie zdając sobie z tego sprawy, zaczął nucić pod nosem jakąś pieśń, pradawną pieśń miłosną swojej skazanej na życie na obczyźnie rasy.

Śnieg tylko z rzadka przedostawał się przez dach gałęzi. Kiedy zbliżał się do rozwidlenia ścieżki, przyszło mu do głowy, że bardzo

wcześnie zaczęło się ściemniać; była to ostatnia rzecz, jaką zdążył pomyśleć, bo w tej samej chwili coś chwyciło go w pół kroku za kostkę i runął przed siebie jak długi. Wylądował na rękach i właśnie zaczynał się podnosić, kiedy cień po jego lewej stronie przeistoczył się w mężczyznę, srebrzystobiałego w panującym mroku, który jednym ciosem obalił go znowu na ziemię. Oszołomiony dzwonieniem w uszach, zaczął się szamotać, żeby zrzucić z siebie coś, co go przytrzymywało i jeszcze raz spróbował wstać. Był tak zdezorientowany, że zupełnie nie mógł pojąć, co się dzieje. Miał niejasne wrażenie, że już się to kiedyś zdarzyło, a jednocześnie, że to, co się dzieje, nie dzieje się naprawdę. Zjawiło się jeszcze kilku srebrzystobiałych mężczyzn z pasami na rękach i nogach, chwycili go, przytrzymali za ramiona, wtedy podszedł do niego jeszcze jeden i uderzył go czymś w twarz. Ciemność przeszyła błyskawica bólu i wściekłości. Oszalałym i zwinnym skrętem całego ciała wyrwał się srebrzystym postaciom, trafiając jedną z nich pięścią w szczękę i odrzucając ją do tyłu w ciemność, lecz napastników wciąż przybywało. Nie był w stanie wyswobodzić się po raz drugi. Zasypali go gradem ciosów, a kiedy osłonił twarz rękami i wtulił ją w błoto ścieżki, zaczęli go kopać po bokach. Leżał wciśnięty w błogosławione błoto, próbując się w nim ukryć, zakopać; wtedy usłyszał nad sobą przedziwne dyszenie; a poprzez ten dźwięk dobiegł go głos Umaksumana. A więc i on… Ale nic go to już nie obchodziło, byle tylko wreszcie odeszli, zostawili go w spokoju. Tak wcześnie zaczęło się ściemniać.

Ze wszystkich stron otaczała go ciemność, smolista ciemność. Resztką sił zaczął pełznąć przed siebie na czworakach. Chciał się dostać do domu, do swoich, oni mogli mu pomóc. Było tak ciemno, że nie widział własnych rąk. Niewidzialny w tej idealnej czerni śnieg sypał bezgłośnie na błoto wokół niego i kupki zeschniętych liści. Było mu bardzo zimno. Próbował wstać, nie mógł się zorientować gdzie wschód, a gdzie zachód, lecz pokonany bólem wtulił głowę w ramiona.

„Przyjdźcie po mnie!” — zawołał w mowie myśli Alterran, ale wołanie tak daleko w ciemność przekraczało jego siły Łatwiej było po prostu leżeć bez ruchu. Najłatwiej.

W wysokim kamiennym domu w Landinie, Alla Pasfal poderwała nagle głowę znad książki, którą czytała przy kominku. Odniosła wyraźne wrażenie, że Jacob Agat do niej przemawia, lecz nie odebrała żadnej wiadomości. Dziwne. Mowa myśli niosła ze sobą aż nazbyt wiele dziwnych efektów ubocznych, nieprzewidzianych następstw, niewytłumaczalnych skutków; tu, w Landinie, wiele osób w ogóle jej nie opanowało, a ci, którzy umieli się nią posługiwać, robili to tylko sporadycznie. Na północy, w kolonii Atlantika, skąd przybyła z resztą

pozostałych przy życiu uchodźców, przemawiano do siebie znacznie częściej. Pamiętała, jak w czasie straszliwej Zimy jej dzieciństwa bez przerwy porozumiewała się z innymi w ten właśnie sposób. A kiedy jej rodzice umarli z głodu, jeszcze przez cały cykl księżyca po ich śmierci, wciąż i wciąż od nowa czuła, że do niej przemawiają, czuła w myślach ich obecność; ale tylko tyle — nie było żadnej wiadomości, żadnych słów, tylko milczenie.

„Jacob!" — zawołała go w myślach, przeciągle i z całych sił, ale odpowiedzi nie było.

W tym samym czasie w arsenale, podczas kolejnego przeglądu wyposażenia ekspedycji, Huru Pilotson dał nagle upust niejasnemu złemu przeczuciu, które nękało go cały dzień i wybuchnął:

— Co ten Agat sobie wyobraża? Co on wyprawia?!

— Rzeczywiście mocno się spóźnia — potwierdził chłopak ze zbrojowni. — Znów poszedł do Tewaru?

— Cementować przyjaźń z bladymi mordami — odparł Pilotson z niewesołym śmiechem, po czym znów się nachmurzył. — No dobra, chodź, sprawdzimy futrzane płaszcze.

Tymczasem, w pokoju wyłożonym drewnem jak bladokremowym atłasem, Seiko Esmit wybuchła niepohamowanym, cichym szlochem i załamując ręce, z całych sił zmagała się ze sobą, żeby nie nadawać, żeby nie przemówić do niego, żeby nawet najcichszym szeptem nie zawołać: „Jacob!"

W tym samym czasie Rolery była w myśliwskim szałasie.

Jej myśli zasnuła na chwilę zupełna ciemność. Po prostu przykucnęła w bezruchu tam, gdzie była.

Do tej pory sądziła, że w całym zamieszaniu z przeprowadzką z namiotów do mrowiska rodowych domostw miasta nikt nie spostrzegł jej wczorajszego bardzo późnego powrotu do domu. Ale dziś to zupełnie inna sprawa. Znów zaprowadzono porządek i jej zniknięcie musiało zostać zauważone. Wyszła zatem do lasu jeszcze dobrze za widna, tak jak to często robiła, mając nadzieję, że nikt nie zwróci na to szczególnej uwagi. Klucząc szerokim kołem, dotarła do myśliwskiego szałasu, zwinęła się w kłębek w swoich futrach i czekała aż zapadnie ciemność i on wreszcie nadejdzie. Zaczął sypać śnieg; od przyglądania się wirującym płatkom ogarnęła ją senność. Przyglądała im się i zastanawiała sennie, co będzie jutro. Bo on pomaszeruje na północ. A wszyscy w całym rodzie dowiedzą się, że całą noc spędziła poza domem. Ale to dopiero jutro. Samo się jakoś ułoży. Teraz było dziś, a dziś wieczorem… Zapadła w lekki sen, z którego raptem coś ją wyrwało; z zupełną pustką w głowie, ciemną pustką, przykucnęła na chwilę na podłodze.

Nagle zerwała się na równe nogi i za pomocą krzesiwa zapaliła wyplatany kaganek, który przyniosła ze sobą. Przy jego nikłym świetle

zaczęła schodzić ze wzgórza, póki nie natknęła się na ścieżkę, tam zawahała się na chwilę, po czym skręciła na zachód. Raz przystanęła na moment i ledwie słyszalnym szeptem zawołała: — Alterro…! — Otaczający las odpowiedział jej niezmąconą nocną ciszą. Ruszyła dalej. przed siebie, aż znalazła go leżącego w poprzek ścieżki.

Śnieg sypał teraz gęściej, dzielił na smugi mętny, przyćmiony blask lampki. Nie topił się już na ziemi, lecz do niej przywierał; oblepił mu dokładnie białym puchem cały podarty płaszcz i nawet całe włosy. Dłoń — jej najpierw dotknęła — była zupełnie zimna. Nie żył. Usiadła w mokrym, oblamowanym śniegiem błocie i położyła sobie jego głowę na kolanach.

Drgnął i wydał z siebie jakby dziecięce kwilenie, które wyrwało Rolery z tępego odrętwienia. Przestała bezmyślnie wyczesywać mu śnieg z włosów i kołnierza, wyprostowała się na moment w pełnym skupieniu. Potem położyła go powoli z powrotem na ziemi, wstała, odruchowo próbując zetrzeć z ręki lepką krew i przy świetle kaganka zaczęła rozglądać się po poboczach ścieżki. Znalazła to, czego szukała, i zabrała się do roboty.

Do pokoju wpadały ukośnie słabe, delikatne promienie słońca. Grzały tak kojąco, że trudno się było obudzić, toteż wciąż na nowo pogrążał się w wodach snu, jak w głębokim, nie marszczonym nawet jedną falą jeziorze. Ale to światło za każdym razem wydobywało go na powierzchnię. Kiedy się w końcu obudził na dobre, ujrzał wokół siebie wysokie, szare ściany i wpadające przez szyby smugi słońca.

Leżał bez ruchu, wiodąc wzrokiem za słupem wodniście złocistego blasku, który przygasał i rozjaśniał na nowo, prześliznął się z podłogi na przeciwległą ścianę i rozlał się na niej czerwieniejącą, pełznącą w górę plamą. Do pokoju weszła Alla Pasfal. Ujrzawszy, że nie śpi, szepnęła do kogoś za plecami, żeby nie wchodził. Zamknęła drzwi, podeszła i uklękła obok niego.

Domy Alterran były skąpo umeblowane; sypiali na materacach położonych bezpośrednio na wysłanej filcem podłodze, a za krzesła służyły im najczęściej cienkie poduszki.

Tak więc Alla uklękła i spojrzała na Agata, a w czerwonawym blasku słońca jej czarna twarz wydawała mu się teraz znacznie jaśniejsza. Patrzyła na niego, ale na tej twarzy nie pojawił się nawet ślad współczucia. Za dużo przeżyła, w zbyt młodym wieku, by odruch współczucia i troski o innych drzemiący gdzieś w głębi jej duszy zdołał się kiedykolwiek przebić na światło dzienne i na starość zrobiła się zupełnie nieczuła. Pokręciła lekko głową i powiedziała cicho:

— Jacob… coś ty najlepszego zrobił…

Agat zebrał się w sobie, żeby coś z siebie wykrztusić, ale stwierdziwszy, że sprawia mu to ogromny ból i że właściwie nie

bardzo ma co powiedzieć, dał za wygraną.

— Coś ty najlepszego zrobił…

— Jak się znalazłem w domu? — spytał w końcu, z takim trudem wymawiając słowa rozbitymi ustami, że Alla gestem ręki nakazała mu milczenie.

— Jak się tu dostałeś? O to pytałeś? Ona cię tu przywiozła. Ta dziewczyna z Tewaru. Zrobiła z gałęzi i swojego ubrania coś w rodzaju prymitywnych noszy czy też sań, wtoczyła cię na nie i przywlokła przez Wzgórza do Bramy Lądowej. W śnieżycę, w środku nocy. W samych spodniach, bo tunikę musiała podrzeć na pasy, żeby mieć cię czym przywiązać. Te wify są twardsze od skór, które noszą. Mówi, że po śniegu łatwiej było ciągnąć… Teraz po śniegu nie zostało już ani śladu. To było przedwczoraj. Biorąc wszystko pod uwagę, wcale szybko przyszedłeś do siebie.

Nalała mu kubek wody z dzbanka stojącego na tacy przy łóżku i pomogła mu się napić. Jej twarz pochylona nad nim wydawała się z bliska bardzo stara, delikatna, jakby wiek uczynił ją kruchą. Przemówiła do niego z niedowierzaniem: — Jak mogłeś coś takiego zrobić? Zawsze miałeś poczucie godności!

Odpowiedział jej w ten sam sposób, myślą. Ujęta w słowa znaczyła ona: — Nie mogę bez niej żyć.

Stara kobieta szarpnęła się do tyłu, jakby siłą swej namiętności zadał jej fizyczny cios i broniąc się przed nim zawołała na głos: — Dobry moment wybrałeś sobie na miłostki i romansowanie! Wszyscy polegają na tobie, a ty…

Powtórzył jeszcze raz to samo, bo to była prawda i jedyne, co miał jej do powiedzenia. Odparła mu szorstko w mowie myśli: — Ale przecież się z nią nie ożenisz, więc lepiej naucz się radzić sobie bez niej.

— Nie. — To było wszystko, co mógł odpowiedzieć. Opadła na pięty i siedziała przez chwilę w milczeniu. Kiedy znów otworzyła przed nim swe myśli, znalazł w nich całą otchłań goryczy. — No cóż, rób co chcesz, co to za różnica. Na tym etapie wszystko, co robimy, każde z osobna czy też wszyscy razem, jest bez sensu. Tej jednej, jedynej sensownej rzeczy zrobić nie potrafimy. Widać taki już nasz los. Możemy tylko dalej popełniać samobójstwo, powoli, po troszku, jedno po drugim. Aż nikt z nas nie zostanie, aż nie będzie Alterran, aż umrze ostatni wygnaniec…

— Allo… — przerwał jej na głos, wstrząśnięty głębią jej rozpaczy. — Czy… mężczyźni wyruszyli?

— Jacy mężczyźni? Nasi? — spytała z gorzkim sarkazmem. — Czy wymaszerowali wczoraj na północ? Bez ciebie?

— Pilotson…

— Gdyby Pilotson ich gdzieś poprowadził, to do ataku na Tewar.

Żeby cię pomścić. Odchodził od zmysłów z wściekłości.

— A oni…

— Wify? Nie, oczywiście, że nigdzie się nie ruszyli. Kiedy się rozniosło, że córka Wolda biega do lasu sypiać z farbornem, stronnictwo Wolda zostało odrobinę ośmieszone i zdyskredytowane… To chyba dość jasne. Oczywiście łatwiej to dostrzec po fakcie, ale wydawałoby się, że ty…

— Na miłość boską, Allo!

— No dobrze. Nikt nie wyruszył na północ. Siedzimy tutaj i czekamy, aż ghalom spodoba się przyjść do nas. Jacob Agat leżał zupełnie nieruchomo, starając się nie zapaść w tył, głową do przodu w próżnię, jaka się pod nim otwierała. Pustą i prawdziwą otchłań swojej własnej dumy, aroganckiego samooszukiwania się, z którego wynikały wszystkie jego czyny — otchłań kłamstwa. Gdyby sam miał w niej utonąć, to mniejsza z tym. Ale co z ludźmi, których zawiódł?

Po chwili Alla przemówiła do niego ponownie:

— W najlepszym wypadku był to tylko nikły promień nadziei, Jacobie. Zrobiłeś wszystko, co było w twojej mocy. Ludzie i nieludzie nie są w stanie ze sobą współpracować. Sześćset domowych lat ciągłych niepowodzeń powinno cię było o tym przekonać. Twój szalony postępek był dla nich tylko dogodnym pretekstem. Gdyby nie on, bardzo szybko znaleźliby sobie jakiś inny powód, żeby wystąpić przeciwko nam. Oni są dla nas takimi samymi wrogami jak ghalowie. Czy Zima. Czy jak cała ta planeta, która nas nie chce. Jedyne przymierza, w jakie możemy wchodzić, to przymierza między sobą. Jesteśmy zdani na siebie. Nigdy nie wyciągaj ręki do żadnego stworzenia należącego do tego świata…

Odciął się od jej myśli, nie mogąc znieść bezmiaru jej rozpaczy. Próbował wycofać się w głąb własnych myśli; zamknąć się w sobie, ale coś uporczywie nie dawało mu spokoju, nękało go natarczywie gdzieś w głębi świadomości, aż nagle szarpnęło nim z taką ostrością, że zbierając wszystkie siły usiadł i wyjąkał:

— Gdzie ona jest? Chyba nie odesłaliście jej z… Siedziała obok niego w białej szacie Alterran, nieco dalej niż przedtem Alla Pasfal. Alli nie było. Wydawała się bez reszty pochłonięta jakąś robótką, chyba naprawianiem sandała. Nie zwróciła żadnej uwagi na to, że się odezwał; może zresztą mówił tylko we śnie. Ale w następnej chwili odezwała się swoim dźwięcznym głosem:

— Ta stara cię zdenerwowała. Mogła poczekać. Co teraz możesz zrobić? Coś mi się wydaje, że nikt tutaj nie umie bez ciebie zrobić nawet sześciu kroków.

Ostatnie, czerwone promienie słońca kładły się na ścianie za plecami Rolery rozmytą aureolą. Na jej twarzy malował się spokój, oczy miała spuszczone jak zawsze, sprawiała wrażenie zupełnie

zaabsorbowanej naprawianiem sandała.

Jej obecność złagodziła zarówno ból, jak i poczucie winy i sprowadziła je do właściwych proporcji. Przy niej znów był sobą. Wymówił głośno jej imię.

— Och, śpij teraz, mówienie sprawia ci ból — powiedziała z nieśmiałą nutką żartobliwości.

— Zostaniesz tu?

— Tak.

— Jako moja żona — nalegał, z konieczności i bólu ograniczając się do samej istoty sprawy. Wyobrażał sobie, że jej współplemieńcy zabiliby ją, gdyby do nich wróciła; wcale nie był pewien, co mogą jej zrobić jego właśni rodacy. Tylko on jeden mógł jej zapewnić ochronę i chciał, żeby ta ochrona była solidna.

Pochyliła głowę jakby w geście potwierdzenia; nie poznał jeszcze znaczenia jej gestów na tyle dobrze, by być tego pewnym. Zastanawiał go jej obecny spokój. Przez cały krótki okres ich znajomości była zawsze popędliwa w działaniu i okazywaniu emocji. Ale przecież znali się tak krótko… Kiedy tak siedziała zajęta swoją robótką, ten jej spokój zaczął mu się powoli udzielać i poczuł nagle, że wraz z nim odzyskuje swoją dawną siłę.

Rozdział 7
Trek

Wysoko ponad dachami płonęła jasno gwiazda, której wzejście oznaczało początek Zimy, równie jasno i posępnie; jak przed sześćdziesięciu laty, w czasach dzieciństwa Wolda. Nawet wielki, cienki sierp księżyca w nowiu wydawał się przy Gwieździe Śniegu jakiś blady. Rozpoczął się nowy cykl księżyca i nowa pora Roku. Ale pod gwiazdą, która nie wróżyła niczego dobrego.

Czy to prawda, co mówili farborni, że księżyc jest takim samym światem jak Askatewar i inne dziedziny, tyle że bez żywych stworzeń, że gwiazdy także są światami, na których żyją ludzie i zwierzęta i gdzie nastaje Lato i Zima? Jacy ludzie mogliby mieszkać na Gwieździe Śniegu? Wyobraźnia podsuwała Woldowi obraz jakichś straszliwych stworów, białych jak śnieg, o bladych, bezwargich gębach i rozjarzonych ślepiach. Potrząsnął głową, próbując skupić się na tym, co mówili inni Starsi. Zwiadowcy wrócili z północy już po pięciu dniach, przynosząc wiele różnych wieści. Starsi kazali rozpalić ognisko na wielkim podwórcu Tewaru i zwołali Kamienny Krąg. Wold zjawił się ostatni i zamknął go, bo nikt inny nie ośmielił się tego zrobić; ale to już nie miało żadnego znaczenia, było tylko upokarzające. Bo wojna, którą ogłosił, nie wybuchła, wojownicy, których na nią wysłał, nigdzie nie wyruszyli, przymierze, które zawarł, zostało zerwane.

Obok niego, równie milczący jak on sam, siedział Umaksuman. Pozostali przekrzykiwali się nawzajem i kłócili, co nie prowadziło donikąd. Bo i czego się właściwie spodziewali? Z łoskotu kamieni uderzających o kamień nie wyłonił się żaden rytm, do końca pozostał jedynie zgrzytliwym, skłóconym jazgotem. Jakże potem można było oczekiwać, że dojdą do jakiegokolwiek porozumienia? „Głupcy, głupcy” — myślał Wold, wpatrując się ponuro w ogień, płonący zbyt daleko, żeby go ogrzać. Pozostali byli w większości znacznie młodsi, rozgrzewała ich młodość i wrzeszczenie nawzajem na siebie. Ale on był już stary i na dworze, pod płonącą Gwiazdą Śniegu, w porywach zimowego wiatru, same futra już mu nie wystarczały. W nogach rwało go od zimna, w piersiach czuł przeszywający ból i ani nie wiedział, ani wcale go to nie obchodziło, o co właściwie się kłócą. Nagle Umaksuman zerwał się na równe nogi.

— Słuchajcie! — ryknął co sił w płucach, a jego donośny jak huk gromu głos — „Ma go po mnie”, pomyślał Wold — wymusił mu posłuch, choć tu i tam rozległy się wyraźne pomruki i drwiące szepty. Do tej pory, chociaż wszyscy dość dokładnie wiedzieli co się wydarzyło, temat bezpośredniej przyczyny czy też wymówki do

zerwania stosunków z Landinem nie został poruszony poza ścianami rodowego domostwa Wolda. Ogłoszono po prostu, że Umaksuman nie poprowadzi wyprawy, że żadnej wyprawy w ogóle nie będzie, natomiast należy się spodziewać ataku ze strony farbornów. W tych rodach, gdzie nic nie wiedziano o Agacie i Rolery, szybko domyślono się, co się za tym kryje — sądzono, że są to rozgrywki o władzę w łonie najpotężniejszego rodu. Przewijało się to w zawoalowany sposób we wszystkich mowach wygłaszanych teraz podczas Kamiennego Kręgu, a odnoszących się nominalnie do problemu, czy napotkanych poza murami miasta farbornów należy traktować jak wrogów.

— Słuchajcie, Starsi Tewaru — odezwał się Umaksuman. — Mówicie to i tamto, ale o czym tu właściwie gadać! Ghalowie nadchodzą. Za trzy dni staną pod murami Tewaru. Zamilknijcie więc, idźcie ostrzyć swe włócznie i pilnować bram, bo wróg nadciąga i lada chwila na nas uderzy!

Patrzcie! — Wyrzutem ręki wskazał na północ, a jego retoryka i gest były tak sugestywne, że wielu powiodło wzrokiem na tamtą stronę, jakby spodziewali się ujrzeć hordę ghalów wdzierających się w tym właśnie momencie przez mury miasta.

— Trzeba ci było pilnować bramy, kiedy wymykała się przez nią kobieta z twego rodu, Umaksumanie.

Teraz już zostało powiedziane.

— To także twój ród, Ukwecie — odparował gniewnie Umaksuman.

Jeden z nich był jego synem, drugi jego wnukiem; rozmawiali o jego córce. Po raz pierwszy w życiu Wold poczuł wstyd, nagi wstyd przed najlepszymi mężami swego plemienia. Siedział nieruchomo ze spuszczoną głową.

— Tak, to prawda, i dzięki mnie hańba, jaką splamiła nasz ród, została zmazana! Ja i moi bracia wybiliśmy zęby tej brudnej mordzie, z którą się pokładała, i już mieliśmy go sprawić jak się sprawia samce, ale tyś nam w tym przeszkodził swoim głupim gadaniem, Umaksumanie…

— Przeszkodziłem wam, ty głupcze, żebyśmy oprócz ghalów nie mieli na karkach jeszcze i farbornów! Ona jest już dość dorosła, może sobie sypiać z kim chce! To nie powód, żebyśmy…

— Ale nie z farbornem, krewniaku! A ja nie jestem żadnym głupcem!

— Właśnie że jesteś, Ukwecie, bo skorzystałeś z pierwszej okazji, żeby skłócić nas z farbornami i pozbawić jednej szansy zepchnięcia ghalów w bok!

— Nie słyszę tego, co mówisz! Ty kłamco, ty zdrajco! Chwycili za toporki i z dzikim rykiem doskoczyli do siebie pośrodku kręgu. Wold podniósł się z ziemi. Siedzący najbliżej spojrzeli na niego

wyczekująco, spodziewając się, że jako Najstarszy i głowa rodu przerwie tę walkę. Ale on tego nie zrobił. Odwrócił się tyłem do zerwanego Kręgu i w ciszy, jaka zapadła, powlókł się sztywnym, ociężałym krokiem ścieżką wijącą się pod wystającymi okapami spiczastych, wysokich dachów do domostwa swego rodu.

Zszedł mozolnie po wyciętych w ziemi schodach do dusznej, ciepłej, przesiąkniętej dymem wielkiej izby ziemianki. Chłopcy i kobiety obstąpili go ze wszystkich stron, pytając, czy Kamienny Krąg został zakończony i dlaczego wrócił sam.

— Umaksuman bije się z Ukwetem — odparł, żeby dali mu spokój, i usiadł przy ogniu, przysuwając nogi do samego paleniska. Nic dobrego nie mogło z tego wyniknąć. Teraz już z niczego nie mogło wyniknąć nic dobrego.

Kiedy zapłakane kobiety wniosły ciało jego wnuka, Ukweta, znacząc drogę szeroką smugą krwi cieknącej z jego rozłupanej toporem czaszki, podniósł wzrok bez ruchu i bez słowa.

— Zabił go. Umaksuman go zabił! Swego krewniaka, swego brata! — zawodziły mu przeraźliwie nad głową żony Ukweta, ale Wold nawet jej nie podniósł. Na koniec potoczył po nich ciężko wzrokiem, jak stare zwierzę osaczone przez myśliwych, i wychrypiał łamiącym się głosem:

— Zamilknijcie… czy choć na chwilę nie możecie zamilknąć…

Następnego dnia znów zaczął padać śnieg. Pochowali Ukweta, pierwszego zmarłego tej Zimy, a śnieg zasypał zwłokom twarz, nim zdążyli przykryć je ziemią. I wtedy, i później Wold nie przestawał myśleć o Umaksumanie, wypędzonym z miasta, kryjącym się gdzieś w górach, samotnie, w sypiącym śniegu. Którego z nich bardziej żałować?

Nie miał ochoty do nikogo się odzywać, zupełnie jakby język stanął mu w gębie kołkiem. Nie ruszał się od ogniska i chwilami nie bardzo wiedział, czy to dzień, czy noc. Spał bardzo źle; miał wrażenie, że właściwie w ogóle nie zasypia, tylko bez przerwy się budzi. Właśnie znów się obudził, kiedy na zewnątrz, na dworze wybuchło jakieś zamieszanie.

Z bocznych korytarzy wpadły do izby z krzykiem jakieś kobiety, chwytając na ręce swoje małe jesienne dzieci.

— Ghale! Ghale! — rozległ się przeraźliwy wrzask. Ale zaraz inne, ze spokojem, jaki przystał kobietom wielkiego rodu, zaprowadziły porządek i wszystkie usiadły w oczekiwaniu.

Nikt nie przyszedł po Wolda.

Wiedział, że nie jest już wodzem; ale czy to znaczyło, że przestał być także mężczyzną? Że musi siedzieć przy ogniu z dzieciarnią i kobietami, w wygrzebanej w ziemi norze?

Zniósł pohańbienie przed swoimi współplemieńcami, lecz utraty

własnego poczucia godności znieść nie mógł; wstał trzęsąc się trochę i zaczął grzebać w swojej starej, malowanej skrzyni, szukając skórzanego kubraka i swej ciężkiej włóczni, włóczni, którą dawno, dawno temu sam, w pojedynkę, zabił śnieżnego ghala. Teraz zrobił się sztywny i ociężały, najlepsze dni miał już za sobą, lecz przecież wciąż był tym samym człowiekiem, tym samym mężczyzną, który tą włócznią zabijał w śniegach innej Zimy. Czy tak nie było? Nie powinni byli zostawić go tu, przy ognisku, kiedy nadciągnął wróg.

Jego głupie kobiety otoczyły go z piskiem i biadoleniem, przez co wszystko zaczęło mu się plątać i jeszcze bardziej go to rozeźliło. Stara Kerly szybko je przepędziła, oddała mu włócznię, którą jedna z nich zabrała, i zapięła mu pod szyją opończę z futra szarych korio, którą uszyła dla niego Jesienią. Tylko ona jedna wiedziała jeszcze co to mężczyzna. Przyglądała mu się w milczeniu z pełną smutku dumą, więc on idąc trzymał się najprościej jak potrafił. Kerly była starą zrzędliwą babą, a on głupim staruchem, ale ich duma pozostała. Wspiął się po schodach, wyszedł na dwór i w mroźnym powietrzu jasnego dnia usłyszał dobiegające spoza murów nawoływania obcych głosów.

Mężczyźni zebrali się na prostokątnej platformie nad dymnikiem Domu Niebycia. Rozstąpili się przed nim, gdy z największym trudem wdrapał się po drabinie. Tak się zasapał i trząsł ze zmęczenia, że przez moment nic nie widział na oczy. Kiedy po chwili odzyskał zdolność widzenia, to co ujrzał wprawiło go w takie osłupienie, że zapomniał o całym świecie.

Dolina u podnóża Tewaru, wijąca się z północy na południe aż do rzeki na wschód od lasów, wezbrała po brzegi, jak górski potok Wiosną, zaroiła się, wypełniła ludźmi. Ludzka ciżba płynęła na południe falami burej powodzi, leniwie i ospale, rozlewała się szeroko i zwężała, przystawała, kłębiła się w miejscu i ruszała dalej, a wszystko przy wtórze krzyków i wrzasków, skrzypienia drewna, trzasków batów, ochrypłego ryku haynn, płaczu niemowląt i jednostajnego nawoływania się ciągnących prymitywne nosze. Tu i ówdzie błyskał kolorem zwinięty wojłokowy namiot, malowany kobiecy naramiennik, kita piór, ostrze włóczni. Ten smród, ten zgiełk, ten ruch, ciągły, nieustający ruch to wielki jesienny trek. Nigdy jeszcze w całym przedczasie nie było takiego treku, nigdy nie ciągnęło ich tylu naraz. Wypełniali rozszerzającą się ku północy dolinę aż po same jej krańce i wciąż wlewali się do niej nieprzerwaną falą, której nie było widać końca. A to tylko kobiety, dzieci i tabory…

Przy tej ospale toczącej się ludzkiej lawinie Tewar był nic nie znaczącym pyłkiem. Ziarnkiem piachu na brzegu rzeki w czasie powodzi.

Z początku Wold podupadł na duchu, ale już w następnej chwili

nabrał otuchy i powiedział:

— To cudowne… — Bo i rzeczywiście ta wędrówka wszystkich ludów północy przedstawiała sobą cudowny widok. Był rad, że dane mu było ją ujrzeć. Stojący obok niego mężczyzna, jeden ze Starszych, Anweld z rodu Siokmana, wzruszył ramionami i odparł cicho: — Ale to nasz koniec.

— Jeśli się tu zatrzymają.

— Ci nie. Ale za nimi nadejdą wojownicy.

Czuli się tak silni, tak bezpieczni w swej liczebności, że wojownicy szli nie z przodu, lecz z tyłu…

— Żeby nakarmić dziś wieczorem to mrowie, będą im potrzebne nasze zapasy i stada — ciągnął Anweld. — Jak tylko ci tutaj przejdą, od razu nas zaatakują.

— W takim razie natychmiast wyślijcie kobiety i dzieci na Wzgórze na zachodzie. Wobec takiej potęgi to miasto znaczy tyle co nic.

— Ja ciebie słucham — odparł Anweld z aprobującym wzruszeniem ramion.

— Tylko szybko, zanim nas okrążą.

— Powiedziałeś, a ja cię wysłuchałem. Ale inni obstają, że nie możemy wysyłać kobiet i dzieci bez żadnej ochrony, gdy sami pozostaniemy ukryci za murami miasta.

— To niech idą z nimi! — warknął Wold. — Czy mężowie Tewaru nie potrafią już podjąć żadnej decyzji?

— Brak im wodza — odparł Anweld. — Słuchają tego i tamtego i nie słuchają nikogo. — Gdyby dodał coś jeszcze, można by to było uznać za obwinianie Wolda i jego rodu. Toteż nic więcej nie powiedział, tylko zakończył ponuro: — I dlatego siedzimy tu i czekamy, aż nas zniszczą.

— Ja swoje kobiety wysyłam — powiedział Wold, rozdrażniony spokojnym godzeniem się Anwelda z beznadziejnością sytuacji, i opuścił wstrząsający spektakl przemarszu ghalów. Zszedł powoli po drabinie i ruszył z powrotem do domu swego rodu nakazać wszystkim, żeby ratowali się póki jeszcze można. Miał zamiar opuścić miasto razem z nimi: Walka przy tak nierównych szansach nie miała najmniejszego sensu i trzeba było zrobić wszystko, żeby choć część, choćby tylko kilku mieszkańców Tewaru zdołało przeżyć.

Ale młodzi mężczyźni z jego rodu nie podzielali jego zdania i nie chcieli słuchać jego rozkazów. Chcieli zostać i walczyć.

— Tu wszyscy zginiecie — odparł Wold. — Atak przynajmniej kobiety i dzieci… mogłyby ujść z życiem… gdybyście je odesłali. — Znów poczuł, że język drętwieje mu jak kołek: Ledwie pozwolili mu skończyć.

— Odeprzemy ghalów! — zawołał jeden z młodszych wnuków. —

Jesteśmy wojownikami!

— Tewar jest warownym miastem, Najstarszy — przekonywał drugi, próbując wziąć go pod włos. — Przecież to ty nam pokazałeś, sam nas nauczyłeś, jak go zbudować.

— To miasto może się oprzeć Zimie — odparł Wold. — Ale nie dziesięciu tysiącom wojowników. Wolałbym, żeby moje kobiety pomarły z zimna pośród nagich wzgórz, niż żeby zachowały życie jako nałożnice ghalów. — Ale oni wcale nie słuchali tego co mówił, tylko czekali niecierpliwie, aż wreszcie skończy.

Ponownie wyszedł na dwór, lecz teraz nie miał już siły, żeby jeszcze raz wdrapać się po drabinach na platformę. Wyszukał sobie miejsce, gdzie mógł spokojnie przeczekać, nie plącząc się pod nogami biegających w tę i z powrotem, wąskimi przejściami wojowników — małą niszę obok przypory przy południowym murze, niedaleko od bramy. Wdrapawszy się po pochyłej przyporze z glinianych cegieł, mógł wyjrzeć przez mur i obserwować sunącą dołem rzekę ghalów. A kiedy wiatr wdzierał mu się pod opończę, wystarczyło przykucnąć, wtulić brodę w kolana i wcisnąć się głębiej w kąt, który dawał nieco osłony. Przez jakiś czas padały tu nawet promienie słońca. Usiadł wygodniej, by pogrzać się w ich cieple, nie myśląc właściwie o niczym. Raz czy dwa rzucił okiem na słońce, zimowe słońce, stare i słabe słabością starczego wieku.

Ze zdeptanej ziemi pod murami strzelały już w górę pierwsze źdźbła zimowych traw, sezonowych, pospiesznie zakwitających roślinek, które rosły bujnie w przerwach między śnieżycami aż do połowy Zimy, kiedy to śnieg przestawał się już topić i przeżyć mogły tylko pozbawione korzeni śnieżniki. Tu zawsze coś żyło, w ciągu długiego Roku każda istota wybierała sobie odpowiednią porę, by wzejść, rozkwitnąć i zamrzeć w oczekiwaniu na jej ponowne nadejście.

Długie godziny wlokły się bardzo powoli.

W północno-wschodnim narożniku murów wybuchł rwetes i zgiełk. Ulice małego miasta, tak wąskie, że mógł nimi przejść tylko jeden człowiek i tylko schylając się pod wystającymi okapami, zaroiły się od biegnących wojowników. Chwilę później podobny zgiełk rozległ się za plecami Wolda i za bramą po jego lewej ręce. Wysoka drewniana brama, opuszczana i podnoszona od wewnątrz za pomocą długich lin, zatrzęsła się w swych ościeżnicach. Walono w nią grubą kłodą drewna. Wold z trudem podniósł się z ziemi; na tym zimnie tak cały zdrętwiał, że zupełnie nie czuł nóg. Wsparł się na chwilę na swojej włóczni, a potem zajął pozycję plecami do przypory, trzymając włócznię w pogotowiu, nie do rzutu, ale do zadania ciosu w walce wręcz.

Ghalowie musieli używać drabin, bo sądząc po hałasie

dobiegającym skądś od strony północnej, wdarli się już do miasta. Jakaś włócznia poszybowała wysoko ponad dachami, rzucona ze zbyt dużą siłą. Brama znów zadygotała. W dawnych czasach nie mieli drabin i taranów, nadciągali nie tysiącami, lecz pojedynczymi szczepami odartych łachmaniarzy, tchórzliwych dzikusów, zmykających na południe przed mrozem, nie pozostających, by żyć i umrzeć w ojczystej dziedzinie jak prawdziwi ludzie…

Nagle ujrzał jednego z nich; miał szeroką białą gębę, czerwone pióro wetknięte w róg wysmarowanych smołą włosów i biegł do bramy, by otworzyć ją od wewnątrz. Wold zrobił krok do przodu i zawołał: — Stój! — Ghal obejrzał się i w tej samej chwili stary wódz wbił mu czystym pchnięciem swoją sześciostopową, okutą żelazem włócznię dokładnie pod żebra. Nie zdążył jeszcze wyrwać jej z drgającego w konwulsjach ciała, kiedy usłyszał za plecami trzask ustępującej bramy. Widok drewnianych bali pękających jak zbutwiała skóra i wyłaniającej się z wybitej w nich dziury potężnej kłody tarana był czymś potwornym. Wold zostawił swoją włócznię w brzuchu ghala i rzucił się biegiem, sapiąc ciężko i potykając się co krok, w stronę domostwa swego rodu.

Całe miasto spiczastych drewnianych dachów stało w ogniu.

Rozdział 8
W mieście obcych

Najdziwniejszą ze wszystkich dziwnych rzeczy w tym domu był rysunek na ścianie w wielkiej sali na dole. Kiedy Agat wyszedł i wszystkie pokoje zaległa głucha cisza, stanęła przed tym rysunkiem i wpatrywała się weń dotąd, aż stał się dla niej całym światem, a ona ścianą. Świat ten był siecią; siecią rozciągającą się w głąb, jak plątanina gałęzi w lesie, jak przecinające się nawzajem nurty w rzece, srebrzystoszaro-czarną siecią, rozbłyskującą tu i tam plamami zieleni, różu i słonecznej żółci. Kiedy się człowiek dobrze przyjrzał tej przepastnej sieci, mógł w niej wypatrzyć, w jej okach i nitkach, wprzędzione w nią i ją snujące małe i duże wzory i figurki — drzew, traw, zwierząt i jeszcze innych istot, mężczyzn i kobiet, jednych podobnych do farbornów, a innych nie; i inne przedziwne rzeczy, pudła na okrągłych nogach, ptaki, topory, srebrne włócznie z pióropuszami ognia, twarze nie będące twarzami, skrzydlate kamienie i drzewa o liściach z gwiazd.

— Co to jest? — spytała farbornki, pod której opieką Agat ją zostawił, kobiety z jego rodu, a ta siląc się na uprzejmość odparła: — Obraz, taki rysunek… Wy przecież też robicie rysunki, prawda?

— Tak, czasami. O czym on opowiada?

— O innych światach i naszym rodzinnym domu. Widzisz tych ludzi? Dawno, dawno temu, w pierwszym Roku naszego wygnania, namalował go jeden z synów Esmita.

— A to, co to jest? — spytała, wskazując palcem z pełnego szacunku dystansu.

— Budynek… Gmach Ligi pewnego świata zwanego Davenant.

— A to?

— Erkar.

— Słucham cię jeszcze raz — powiedziała grzecznie Rolery (pilnowała się teraz, żeby ani na chwilę nie zapomnieć o najlepszych manierach). Widząc jednak, że Seiko Esmit najwyraźniej nie rozumie tego grzecznościowe zwrotu spytała: — Co to jest erkar?

Farbornka wydęła lekko wargi i odparła obojętnym tonem: — Taki pojazd… to znaczy coś, czym się jeździ. Jak wasze… Hm, przecież wy nie używacie jeszcze nawet kół W jaki sposób mogłabym ci to wytłumaczyć? Czy widziałaś nasze ciągnione wozy? Tak? No więc, erkar to taki wóz tylko do latania po niebie.

— Czy teraz także potraficie robić takie wozy? — spyta Rolery z czystego podziwu, ale Seiko opacznie ją zrozumiała.

— Nie — odparła z urazą — nie potrafimy. Jakże moglibyśmy

zachować tu takie umiejętności, skoro Prawo zakazuje nam wznosić się ponad wasz poziom? Przecież wy przez sześćset lat nie zdołaliście nawet nauczyć się posługiwania kołami!

Osamotniona w tym przedziwnym domu, skazana na wygnanie przez swój ród, a do tego opuszczona jeszcze teraz przez Agata, Rolery czuła strach przed Seiko Esmit, przed każdą nową osobą i rzeczą jakie napotykała. Ale niedoczekanie, żeby szydziła z niej jakaś zazdrosna, stara baba.

— Pytam dlatego, że nie wiem — powiedziała. — Ale wydaje mi się niemożliwe, żebyście byli tu od sześciuset Lat. — Sześćset naszych ojczystych lat to dziesięć Lat tutaj — odparła Seiko Esmit, a po chwili ciągnęła dalej: — Widzisz, nie wiem zbyt wiele o erkarach i różnych innych rzeczach, którymi niegdyś się posługiwaliśmy, bo kiedy nasi przodkowie przybyli na tę planetę, przysięgli przestrzegać prawa Ligi, zakazującego używania wszystkiego, co wyraźnie wyprzedza poziom rozwoju tubylców. Nazywało się to Embargo Kulturowe. Z czasem mieliśmy was nauczyć wytwarzania różnych przedmiotów — takich jak na przykład wozy. Ale statek odleciał. Zostało nas tu mało, bez żadnej łączności z Ligą, a do tego w owych czasach wiele waszych plemion wrogo się do nas odnosiło. Było nam trudno przestrzegać praw Ligi i jednocześnie zachować to, co mieliśmy i wiedzieliśmy. Więc pewnie zatraciliśmy wiele umiejętności i wiedzy, jaką niegdyś posiadaliśmy. Dziś nikt już nie wie, jak to było naprawdę.

— To dziwne prawo — mruknęła Rolery.

— Ustanowiono je dla waszego dobra, nie naszego — powiedziała Seiko z twardym, wyraźnym akcentem farbornów, tym samym, z jakim mówił Agat. Wyrzucała z siebie słowa jedno za drugim, jakby się ciągle dokądś spieszyła. — W Kodeksie Ligi, którego uczymy się już w dzieciństwie, napisano: „Zakazuje się szerzenia jakiejkolwiek religii i teorii harmonii, nauczania praw i technik wytwarzania, przenoszenia wzorców i zasad kulturowych; a także komunikowania się metodą parawerbalną z jakimikolwiek nie znającymi jej wysoko inteligentnymi formami życia. Zakaz ten dotyczy wszystkich bez wyjątku planet kolonialnych, a uchylić go może jedynie Rada Sektora i tylko za zgodą całego Plenum, uznając, że dana planeta dojrzała do sprawowania pełni władzy na swym terenie lub do ubiegania się o status członkowski Ligi…” Widzisz, oznacza to, że musieliśmy żyć dokładnie na takim samym poziomie jak wy. Każde odstępstwo od tej zasady oznacza łamanie praw Ligi.

— Ani nam, ani wam nie przyniosło to nic dobrego — powiedziała Rolery.

— Nie ty będziesz nas osądzać — osadziła ją z chłodną urazą Seiko, po czym opanowując się jeszcze raz, dodała: — Czeka nas mnóstwo roboty. Idziesz ze mną?

Potulnie udała się za Seiko Esmit. Wychodząc spojrzała jeszcze raz ukradkiem na obraz. Nic, co do tej pory widziała w swoim życiu, nie tworzyło tak wspaniale zamkniętej całości. Jego mroczna, srebrzysta, niepokojąca pełnia działała na nią podobnie jak obecność Agata; ale kiedy on był przy niej, bała się tylko jego, niczego więcej. Niczego i nikogo.

Wojownicy Landinu wyruszyli z miasta. Mieli nadzieję, że za pomocą zasadzek i nagłych wypadów uda im się skłonić ghalów, żeby zostawili Landin w spokoju i pospieszyli dalej na południe na tereny zamieszkane przez mniej agresywne Ludy. Była to jednak nadzieja bardzo nikła, toteż kobiety przygotowywały miasto do oblężenia.

Seiko i Rolery zgłosiły się w Gmachu Ligi przy wielkim placu i zostały przydzielone do spędzania stad haynn z pastwisk ciągnących się daleko od miasta. Wysłano po nie dwadzieścia kobiet, przy wyjściu z Gmachu każda z nich otrzymała pajdę chleba i gomółkę haynniego sera, bo miało im to zająć cały dzień. W miarę tego jak ubywało paszy, zwierzęta zapuszczały się coraz dalej na południe między plaże i nadbrzeżne wzgórza. Kobiety wyprawiły się mniej więcej osiem mil w tę właśnie stronę, po czym zawróciły i przeczesując cały teren zakosami, zaczęły zbierać i pędzić w stronę miasta coraz większe stado małych, cichych, kosmatych zwierząt.

Rolery ujrzała teraz kobiety farbornów w zupełnie nowym świetle. Do tej pory ich miękkie, jasne stroje, żywość mowy i myśli sprawiały, że wydawały się delikatne i dziecinne. Tutaj, na oszronionych ścierniskach Wzgórz, ubrane jak kobiety ludzi w futra i spodnie, pędziły wspólnie powolne, kudłate stada pod wiatr wiejący od północy, wykazując ogromny spryt i determinację. Fantastycznie radziły sobie ze zwierzętami — raczej wiodły je niż poganiały, zupełnie jakby miały nad nimi jakąś tajemną władzę. Było już po zachodzie słońca, gdy wreszcie zbliżyły się do miasta drogą od Morskiej Bramy — garstka kobiet wśród kosmatej rzeki biegnących truchtem zwierząt o zadartych zadach. Ujrzawszy mury Landinu, jedna z kobiet podniosła głos i zaczęła śpiewać.

Rolery nigdy jeszcze nie słyszała tej zabawy głosu z wysokością brzmienia i rytmem. Zamrugała oczami, poczuła dziwny ucisk w gardle, a jej stopy podchwyciły na ciemnej drodze takt melodii. Podjęły ją zaraz inne głosy z przodu i z tyłu; śpiewały o utraconym domu, którego nigdy nie znały, o tkaniu sukna i wyszywaniu go klejnotami, o wojownikach poległych na wojnie. Jedna z pieśni mówiła o dziewczynie, która zakochana do szaleństwa skoczyła do morza: „O, fale, co pędzicie w dal przed przypływu grzywaczem…”

Podeszły ze stadami do bram miasta — dwadzieścia kobiet nucących w wietrznej ciemności rzewnymi głosami pieśń zrodzoną ze smutku. Ponad wydmami po lewej stronie kołysał się z leniwym

poszumem czarny bezmiar przypływu. Pochodnie na wysokich murach płonęły jasno przed nimi, czyniąc z miasta wygnania wyspę światła.

Całą żywność zaczęto ściśle racjonować. Posiłki jadano wspólnie w jednym z wielkich budynków przy Rynku, chyba że ktoś wolał zabrać swoje racje do domu. Kobiety, które pędziły stada, zjawiły się w tym dziwacznym budynku zwanym Thiatrem mocno spóźnione. Po zjedzonym naprędce obiedzie Rolery poszła z Seiko Esmit do domu Alli Pasfal. Wolałaby co prawda wrócić do pustego domu Agata i zostać sama, ale robiła wszystko co jej kazano. Nie była już młodą dziewczyną i nie była już wolna. Była żoną Alterry i tolerowanym więźniem. Po raz pierwszy w życiu okazywała pełne posłuszeństwo.

W kominku nie płonął ogień, a mimo to w wysokim pokoju było ciepło; w szklanych klatkach na ścianach paliły się lampy bez knotów. W tym wielkim domu, większym niż domostwo całego rodu w Tewarze, mieszkała samotnie tylko jedna stara kobieta. Jak oni znosili tę samotność? I w jaki sposób zatrzymywali w swoich domach światło i ciepło Lata? W domach, w których mieszkali cały Rok, całe życie, z których nigdy nie przenosili się do namiotów rozbitych hen, na krańcach dziedziny, żeby wędrować po rozległych terenach letnich… Żeby wędrować… Poderwała głowę, która opadła jej na piersi i zerknęła ukradkiem na starą, na tę Pasfal, żeby sprawdzić, czy zauważyła jej senność. Zauważyła. Stara nigdy niczego nie przeoczyła; i nienawidziła Rolery.

Tak jak wszyscy Alterrowie, ta starszyzna farbornów, nienawidziła jej, bo kochała Jacoba Agata zaborczą miłością. Bo wziął ją za żonę. Bo ona była człowiekiem, a oni nie.

Jeden z nich mówił coś o Tewarze, coś tak dziwnego, że nie mogła dać temu wiary. Spuściła oczy, ale jej twarz musiała zdradzić przestrach, bo jeden z mężczyzn, Dermat Alterra, przestał przysłuchiwać się innym i spytał:

— Rolery, nie wiedziałaś, że Tewar padł?

— Ja ciebie słucham — szepnęła cichutko.

— Przez cały dzień nękaliśmy dziś ghalów wypadami od zachodu — zaczął jej wyjaśniać farborn. — Kiedy ghalowie zaatakowali Tewar, my uderzyliśmy na ich tabory i obozy rozbijane przez kobiety na wschód od lasów. Odciągnęliśmy ich tym trochę i części mieszkańców Tewaru udało się przedrzeć na Wzgórza, ale i oni, i nasi zostali rozproszeni. Niektórzy zdołali do tej pory dotrzeć tu, do Landinu, ale co z resztą — nie wiemy. Tyle tylko, że jest mroźna noc, a oni są gdzieś tam, w górach…:

Rolery milczała. Była bardzo zmęczona i nic nie rozumiała. Zimowe Miasto zdobyte, zniszczone? Czy to możliwe? Odeszła od swoich, a teraz oni wszyscy nie żyli albo błąkali się bezdomni między wzgórzami pośród mroźnej, zimowej nocy. Została sama. Twarde

głosy obcych wokół niej nie umilkły ani na chwilę. Na moment doznała złudzenia — zdając sobie jednocześnie sprawę, że to tylko złudzenie — że jej ręce od dłoni aż po łokcie pokrywa cienka warstewka krwi. Zrobiło jej się trochę niedobrze, ale poprzednia senność minęła bez śladu; tylko co jakiś czas czuła, jak na króciutką chwilę wkracza do pierwszego przedsionka Krainy Niebycia. Ta stara wiedźma Pasfal nie spuszczała z niej lśniących, zimnych oczu. Nie była w stanie się poruszyć. Nie miała gdzie się podziać. Wszyscy zginęli.

I nagle coś się zmieniło. Jakby w spowijającej ją kompletnej ciemności ujrzała gdzieś daleko błyskające małe światełko.

— Agat tu idzie — powiedziała na głos, choć tak cicho, że usłyszeli ją tylko najbliżej siedzący.

— Czy on do ciebie przemawia? — spytała ostro Alla Pasfal.

Rolery wpatrywała się przez chwilę w powietrze obok starej wiedźmy, która napawała ją takim strachem, ale wcale jej nie widziała.

— Idzie tutaj — powtórzyła.

— On chyba nie nadaje, Allo — powiedział farborn nazywany Pilotsonem. — Oni pozostają w czymś w rodzaju stałego kontaktu.

— Bzdura, Huru.

— Dlaczego? Mówił, że nadawał do niej, z całą mocą, tam, na plaży, i udało mu się przebić. Ona musi mieć wrodzoną zdolność porozumiewania się. To pozwoliło im nawiązać kontakt. Takie rzeczy już się zdarzały.

— Owszem, ale między parami ludzi — odparła stara. — Nie szkolone dziecko nie może odbierać ani wysyłać parawerbalnych przekazów, Huru; a wrodzone zdolności w tej dziedzinie to najrzadsza rzecz na świecie. A ona jest wifem, a nie człowiekiem!

W czasie tej wymiany zdań Rolery wstała, wymknęła się z kręgu siedzących i podeszła do drzwi. Otworzyła je. Na dworze było ciemno, pusto i zimno. Spojrzała w głąb ulicy i po chwili wyłowiła z mroku zarys sylwetki mężczyzny; biegł w jej stronę, słaniając się na nogach ze zmęczenia. Kiedy znalazł się w smudze żółtego światła padającego z uchylonych drzwi, wyciągnął do niej ręce i bez tchu wymówił jej imię. Jego uśmiech odsłonił brak trzech przednich zębów, głowę pod futrzaną czapką opasywał mu sczerniały bandaż, twarz miał poszarzałą z bólu i wycieńczenia. Walczył w górach od trzech dni i dwóch nocy, od chwili wtargnięcia ghalów do Dziedziny Askatewaru.

— Daj mi coś do picia, trochę wody — poprosiła cicho Rolery i dopiero wtedy wszedł do oświetlonego domu, gdzie natychmiast wszyscy otoczyli go zwartym kołem.

Rolery odnalazła kuchnię, a w niej metalową trzcinkę z kwiatkiem na górze, który trzeba było przekręcić, żeby z trzcinki

popłynęła woda — w domu Agata też było takie urządzenie. Ale nigdzie nie widziała żadnych misek ani czerpaków, więc nabrała wody w luźny rąbek skórzanej bluzy i tak ją zaniosła swemu mężowi do pokoju obok. Agat z absolutną powagą napił się z rąbka jej tuniki. Pozostali wytrzeszczyli tylko oczy, a wiedźma Pasfal rzuciła ostro: — W kredensie są kubki. — Ale na próżno; utraciła już całą swoją złą moc; jej złośliwość przeszyła powietrze jak chybiona strzała. Rolery klęczała obok Agata, zasłuchana w jego głos.

Rozdział 9
Wojna podjazdowa

Po tamtym pierwszym śniegu znów się ociepliło. Było słonecznie, północno-zachodni wiatr przyniósł przelotny deszcz, a w nocy lekki szron — niczym się to nie różniło od pogody, jaka panowała przez cały ostatni cykl księżyca Jesieni. Zima nie przyniosła wcale takiej wielkiej zmiany; aż trudno było uwierzyć w zapisy z poprzednich lat, mówiące o dziesięciostopowych opadach śniegu i całych cyklach księżyca, kiedy lód w ogóle nie topniał. Może to miało dopiero nadejść. Na razie najpoważniejszym problemem byli ghalowie…

Mimo paskudnych wyłomów, jakie poczynili w skrzydłach ich armii partyzanci Agata, plemiona z północy zdawały się nie zwracać na nich niemal żadnej uwagi. Szybkim przemarszem wlały się do Dziedziny Askatewaru, rozłożyły obozem na wschód od lasów i teraz, trzeciego dnia, zaatakowały Zimowe Miasto. Ghalowie przypuścili na nie szturm, ale nie po to, aby je zrównać z ziemią; widać było wyraźnie, że starają się ratować z pożarów zapasy żywności, stada haynn i chyba także kobiety. Tylko mężczyzn wycinali w pień. Może, tak jak donoszono, chcieli po zdobyciu miasta obsadzić je własnym garnizonem. Z nadejściem Wiosny powracający z południa ghalowie ciągnęliby już od miasta do miasta swego własnego imperium.

„To zupełnie niepodobne do wifów” — pomyślał Agat, leżąc w ukryciu pod ogromnym powalonym drzewem i czekając, aż jego mała armia zajmie pozycje przed ich własnym atakiem na Tewar. Od dwóch dni i nocy walczyli pod gołym niebem, dokonując nagłych wypadów i szybko wycofując się w bezpieczne miejsca. Żebro złamane tamtej nocy, kiedy pobito go w lesie, mimo ciasnego bandaża, mocno dawało mu się we znaki, tak jak i rana głowy, którą poprzedniego dnia zadał mu jakiś procarz ghalów. Przy pełnej odporności na zakażenia rany goiły się błyskawicznie, toteż Agat niemal zupełnie nie zwracał na nie uwagi. Tylko krwotok z tętnicy mógłby być dla niego groźny i tylko siła ciosu mogła powalić go na ziemię.

W tej chwili męczyło go pragnienie i ścierpły mu nogi od niewygodnej pozycji, ale ten krótki, wymuszony odpoczynek w najmniejszym stopniu nie osłabił przyjemnej czujności umysłu. To planowanie, to wybieganie myślami w przyszłość było zupełnie niepodobne do wifów. Oni nie postrzegali czasu ani przestrzeni liniowo, na imperialistyczną modłę jego własnego gatunku. Dla nich czas był jak latarnia świecąca jeden krok w przodzie, jeden krok w tyle — reszta rozpływała się w nierozróżnialnym mroku. Dla nich czas, to było dziś, to był ten jeden bieżący dzień nieogarnionego

umysłem Roku. Nie znali słów na określenie zaszłości historycznych — wszystko działo się albo „dziś”, albo w „przedczasie”. Jeśli wybiegali myślami w przyszłość, to nie dalej niż do następnej pory Roku. Nie patrzyli na czas jak na coś zewnętrznego, ale tkwili wewnątrz niego, jak lampa w ciemności nocy, jak serce w żywym ciele. Podobnie było z przestrzenią. Przestrzeń nie była dla nich płaszczyzną służącą do kreślenia granic, ale terenem, obszarem, dziedziną rozciągającą się zawsze wokół miejsca, gdzie w danej chwili przebywali — któreś z nich, cały ród, całe plemię. Wokół tej dziedziny rozciągały się tereny nabierające wyrazistości, gdy się do nich zbliżało, i zatracające wszelkie kontury, gdy się od nich oddalało. Im dalej, tym bardziej stawały się rozmyte. Ale żadnych krańców, żadnych granic. To budowanie planów, ta próba utrzymania podbitych terenów w czasie i przestrzeni była czymś zupełnie nietypowym. Wskazywała na… Właściwie na co? Czy ta zmiana wzorca kulturowych zachowań wifów nastąpiła samoistnie, czy też wzorzec ten został zainfekowany poprzez kontakty z dawnymi koloniami północnymi, najdalszymi zagonami Człowieka?

„Co za ironia — pomyślał Agat. — Byłby to pierwszy przypadek, kiedy czegokolwiek się od nas nauczyli. Jeszcze trochę i zaczniemy łapać ich przeziębienia. I wymrzemy od nich jak muchy. A im to, czego nauczyli się od nas, każe się nawzajem wymordować…”

W głębi duszy i raczej podświadomie czuł urazę do mieszkańców Tewaru za rozbitą głowę i skopane boki, za zerwanie przymierza, wreszcie za to, że musi patrzeć, jak na jego oczach dają się wyrzynać w pień w tym swoim idiotycznym miasteczku z błota. Był bezsilny wobec ich napaści na siebie, teraz był niemal równie bezsilny wobec napaści ghalów na nich. Nie mógł ścierpieć tego uczucia narzuconej bezsilności.

W tym momencie — Rolery zawracała właśnie do Landinu ze stadem haynn — z zagłębienia za plecami dobiegł go szelest zeschłych liści. Nie zdążył jeszcze przebrzmieć, gdy Agat wycelował w dół ze swej strzałówki.

Embargo Kulturowe, które urosło do rangi etosu wygnańców, zakazywało używania materiałów wybuchowych, ale w czasie pierwszych lat walk niektóre tubylcze plemiona posługiwały się zatrutymi strzałami i dzidami. Uwolnieni tym spod zakazów Embarga lekarze z Landinu wyprodukowali kilka skutecznych substancji nadal stosowanych w czasie polowań i walk. Były wśród nich środki obezwładniające, paraliżujące, trucizny zabijające powoli i szybko. Jego strzałka miała ostrze pokryte taką właśnie śmiertelną trucizną, która w ciągu pięciu sekund porażała system nerwowy dużego organizmu, takiego jak organizm ghala. Mechanizm strzałkówki był prosty i niezawodny, pozwalał zachować celność na odległość nieco

powyżej pięćdziesięciu metrów.

— Wyłaź! — zawołał do zagłębienia, w którym nie drgnął teraz nawet jeden liść, rozciągając opuchnięte wargi w nieprzyjemnym uśmiechu. Zważywszy na okoliczności, był gotów zabić jeszcze jednego wifa.

— Alterro?

Spomiędzy zeschniętych szarych krzaków porastających niewielki parów wyrosła na pełną wysokość sylwetka wifa z rękami opuszczonymi wzdłuż boków. Był to Umaksuman.

— Psiakrew! — zaklął Agat, opuszczając broń, ale nie do końca. Pohamowana agresja wstrząsnęła całym jego ciałem spazmatycznym dreszczem.

— Alterro — powiedział ochrypłym głosem Umaksuman — w namiocie mojego ojca byliśmy przyjaciółmi.

— A potem, w lesie?

Tubylec nic nie odpowiedział. Stał w milczeniu wielki i ociężały, jasne włosy kleiły mu się od brudu, na ziemskiej twarzy malowało się zmęczenie i wygłodzenie.

— Słyszałem twój głos pośród głosów innych. Jeśli już musieliście mścić się za siostrę, to mogliście przynajmniej robić to jeden po drugim, po kolei, a nie wszyscy naraz. — Agat nie zdejmował palca ze spustu, ale kiedy Umaksuman odpowiedział, wyraz jego twarzy uległ zmianie.

— Ja nie byłem jednym z nich. Poszedłem tylko za nimi, żeby ich powstrzymać. Pięć dni temu zabiłem Ukweta, mojego brata-siostrzeńca, który im przewodził. Od tamtej pory błąkam się po wzgórzach.

Agat zabezpieczył broń i spuścił z niego wzrok.

— Podejdź tutaj — powiedział po chwili. Dopiero w tym momencie dotarło do nich, że stoją i rozmawiają na cały głos na terenie, na którym aż roi się od zwiadowców ghalów. Kiedy Umaksuman wśliznął się do nory pod wielkim pniem drzewa, Agat zaniósł się bezgłośnym śmiechem. — Wróg, przyjaciel — a co mi tam! Masz — powiedział, podając mu pajdę chleba ze swojej torby. — Od trzech dni Rolery jest już moją żoną.

Umaksuman bez słowa wziął chleb i zaczął zajadać, jak tylko głodny potrafi zajadać.

— Na gwizd z lewej, o stamtąd, rzucamy się wszyscy razem do tamtej wyrwy w murach przy północnym narożniku, wpadamy do Tewaru i wyprowadzamy tylu mieszkańców, ilu się da. Ghalowie szukają nas koło Suchego Bagniska, gdzie byliśmy dziś rano, a nie tutaj. To nasza pierwsza i ostatnia wyprawa w obręb murów miasta. Chcesz iść z nami?

Umaksuman skinął głową. — Masz broń?

Podniósł swój topór. Nie odzywali się już więcej do siebie. Przykucnęli ramię w ramię w swojej kryjówce, obserwując miasteczko na wzgórzu na wprost nich, jego płonące dachy, nagłe wybuchy ruchu i bieganiny obróconymi w perzynę wąziutkimi uliczkami. Zwały szarych chmur przyspieszyły nadejście nocy, wiatr niósł gryzący swąd spalenizny.

Po lewej ręce rozległ się przenikliwy gwizd. Zbocza wzgórz na zachód i północ od miasta zaroiły się ludźmi. Małe, rozproszone figurki zbiegły przykulone do ziemi na dno doliny, wdrapały się błyskawicznie na stok Tewaru, wcisnęły się hurmą w wyłom w murach i wpadły między zgliszcza i ruiny miasta.

Spotkawszy się przy wyrwie w murach, wojownicy Landinu utworzyli drużyny liczące od pięciu do dwudziestu osób i od tej chwili członkowie tych oddziałków trzymali się już razem, czy to atakując plądrujące miasto watahy ghalów, czy zbierając wszystkie kobiety i dzieci, jakie udało im się znaleźć, i przebijając się z nimi do bramy. Swój wypad przeprowadzili tak błyskawicznie i pewnie, jakby go przedtem wielokrotnie przećwiczyli. Zaskoczenie ghalów, zajętych likwidowaniem ostatnich ognisk oporu w mieście, było kompletne.

Agat i Umaksuman gnali ramię w ramię wraz z ośmioma czy dziesięcioma innymi, którzy dołączyli do nich po drodze. Przebiegli przez plac Kamiennego Kręgu, wąskim tunelem-uliczką wydostali się na jakiś inny, mniejszy placyk i wpadli do jednego z wielkich domostw rodowych. Jeden po drugim zeskoczyli w dół wyciętych w ziemi schodów, w zalegający wnętrze mrok. W tej samej chwili z potwornym wrzaskiem zastąpiło im drogę dwóch wojowników o białych twarzach, z czerwonymi piórami wplecionymi w przywodzące na myśl rogi włosy; topory, którymi wymachiwali, wyraźnie świadczyły, że nie mają zamiaru oddać swego łupu bez walki. Strzałka Agata trafiła pierwszego z nich prosto w otwarte usta; Umaksuman jednym ciosem topora, jak drwal odcinający gałąź od pnia, odrąbał rękę drugiemu. Zapadła martwa cisza. W ciemności pod ścianą kuliło się w milczeniu kilka kobiet. Jakieś niemowlę zanosiło się płaczem.

— Chodźcie z nami! — zawołał Agat. Kobiety poderwały się z ziemi i zbliżyły, lecz ujrzawszy, kto je woła, stanęły jak wryte.

W mętnej plamie światła wpadającego przez otwór wejściowy zamajaczyła sylwetka Umaksumana, przygiętego pod jakimś ciężkim ładunkiem zarzuconym na ramiona.

— Chodźcie, zabierzcie dzieci! — ryknął potwierdzająco i na ten znajomy głos kobiety ożyły. Agat zebrał je przy schodach, otoczył dla ochrony własnymi ludźmi i dał sygnał. Wypadli z rodowego domostwa i co sił w nogach popędzili do bramy. Żaden ghal nie próbował zatrzymać tej dziwacznej grupki kobiet, dzieci i mężczyzn prowadzonej przez Agata, który ghalijskim toporem osłaniał

Umaksumana niosącego na ramionach duży, bezwładny tobół — starego wodza, swego ojca Wolda.

Dopadli bramy, prześliznęli się między dwoma oddziałami ghalów buszujących po starym obozowisku i wraz z innymi takimi samymi lotnymi drużynami wojowników z Landinu i uciekinierów z Tewaru pędzącymi przed i za nimi rozproszyli się po lesie. Cały wypad w obręb murów miasta nie trwał dłużej niż pięć minut.

Lecz las nie stanowił bezpiecznej kryjówki. Wzdłuż całej drogi do Landinu kręcili się zwiadowcy i wojownicy z regularnych oddziałów ghalów. Uciekinierzy i ich wybawcy rozsypali się pojedynczo i parami w szeroki wachlarz i zaczęli przemykać przez lasy w kierunku na południe. Agat pozostał z Umaksumanem, który ze starym wodzem na plecach nie byłby w stanie przed nikim się obronić. Przedarli się przez gęste poszycie. Żaden wróg nie zastąpił im drogi przez kolumnady drzew, pagórki, plątaninę powalonych pni, spróchniałych gałęzi i zeschniętych krzaków. Skądś z daleka, zza pleców dobiegał przeraźliwy kobiecy krzyk, nie milknący ani na chwilę.

Długo trwało, nim udało im się przedrzeć przez las szerokim kołem na południe i zachód, potem przez wzgórza i wreszcie znów na północ do Landinu. Kiedy Umaksuman ustawał, Wold próbował iść o własnych siłach, ale ledwie powłóczył nogami. Gdy wynurzyli się wreszcie z lasów, ujrzeli w oddali, w targanej wiatrem ciemności ponad morzem, płonące jasno światła Miasta Wygnania. Na wpół wlokąc starca za sobą, przebrnęli ostatni odcinek wzdłuż stoku wzgórza i podeszli do Bramy Lądowej.

— Wify! — obwieściły straże, nim znaleźli się w zasięgu dobrej widoczności, dostrzegłszy jasne włosy Umaksumana. Chwilę później zobaczono Agata i liczne głosy zawołały: — Alterro, Alterro!

Wyszli mu na powitanie i wprowadzili go do miasta — wszyscy ci, którzy walczyli u jego boku, wykonywali jego rozkazy, ratowali mu skórę przez te trzy dni wojny podjazdowej w górach i lasach.

Zrobili wszystko, co się dało, tyle, ile mogło zdziałać czterystu ludzi przeciwko armii wroga licznej jak chmara wędrownych zwierząt, nie mniej, według Agata, niż piętnastotysięcznej. Piętnaście tysięcy wojowników, sześćdziesiąt, siedemdziesiąt tysięcy wszystkich razem, z namiotami, saganami, ciągnionymi noszami, haynnami, derkami ze skór zwierząt, toporami, naramiennikami, kolebkami, hubkami, krzesiwami, z całym swoim skąpym dobytkiem, z całym strachem przed Zimą i głodem. Widział w obozowiskach ghalów kobiety jedzące suchy mech zeskrobany z pni drzew. Wydawało się zupełnie nieprawdopodobne, że ten zalew przemocy, mordu i głodu ominął jak dotąd niewielkie Miasto Wygnania, że stoi ono nadal nietknięte, z pochodniami płonącymi jasno nad bramami z okutego żelazem rzeźbionego drewna, i że ma go jeszcze kto powitać w domu:

— Wczoraj po południu udało nam się ich obejść i przedostać się na drugą stronę linii ich przemarszu — rozpoczął opowieść, próbując opisać wydarzenia ostatnich trzech dni, ale ujęte w słowa wydawały mu się one zupełnie nierzeczywiste, tak jak nierzeczywisty wydawał mu się ten ciepły pokój i znane od najwcześniejszego dzieciństwa twarze słuchających go ludzi. — Ziemia w wąskich dolinach, którymi zeszło z gór całe to ich mrowie, była… wyglądała jak po obsunięciu się zbocza. Czysty piach i skała. Nie zostało nic, kompletnie nic. Wszystko stratowane na pył, na proch…

— Jak oni dają radę posuwać się do przodu? Czym się żywią? — spytał przyciszonym głosem Huru.

— Zapasami z Zimowych Miast, które zdobywają. Pola są już zupełnie puste, zbiory zwiezione, zwierzyna odeszła na południe. Muszą łupić każde miasto, jakie napotkają po drodze, i dobrać się do każdego stada haynn, bo inaczej wyginą z głodu, nim wydostaną się poza granicę opadów śniegu.

— To znaczy, że przyjdą i tutaj — powiedział cicho któryś z Alterrów.

— Tak sądzę. Jutro albo pojutrze.

To była prawda, ale i ona wydawała się zupełnie nierzeczywista. Przesunął ręką po twarzy, wyczuwając pod palcami brud, napięcie mięśni i nie wygojone obrzmienie warg. Uważał za swą powinność złożenie raportu rządowi tego miasta, ale teraz ogarnęło go takie zmęczenie, że nie był w stanie powiedzieć już ani słowa więcej i przestało do niego docierać, co mówią inni. Odwrócił się do klęczącej obok niego Rolery.

— Powinieneś iść do domu, Alterro — powiedziała, nie podnosząc swych bursztynowych oczu.

Przez całe trzy ciągnące się w nieskończoność dni i noce walk, ucieczek, strzelaniny i ukrywania się w lasach ani razu o niej nie myślał. Znali się dwa tygodnie, może ze trzy razy rozmawiali nieco dłużej, raz ze sobą spali; wczesnym rankiem przed trzema dniami pojął ją za żonę w Gmachu Prawa, a godzinę później wyruszył z miasta ze swymi partyzantami. Prawie nic o niej nie wiedział, nie należeli nawet do tej samej rasy. A w ciągu kilku najbliższych dni oboje mieli pewnie zginąć. Roześmiał się tym swoim bezgłośnym śmiechem i ujął ją delikatnie za rękę.

— Tak, zabierz mnie do domu — powiedział. Milcząca, delikatna i obca, wstała z podłogi, czekając, aż pożegna się z innymi.

Powiedział jej, że Wold i Umaksuman wraz z około dwustoma jej rodakami uciekli lub zostali uratowani ze zdobytego Zimowego Miasta i przebywają obecnie w dzielnicy uchodźców w Landinie. Nie zapytała, czy może się z nimi zobaczyć. Kiedy wspinali się stromą uliczką z domu Alli do domu Agata, spytała:

— Dlaczego poszedłeś do Tewaru ratować ludzi?

— Jak to dlaczego? — Pytanie wydało mu się dziwne. — Bo sami nie mogli się uratować.

— To nie jest powód, Alterro.

Sprawiała wrażenie nieśmiałej, tubylczej żony, potulnie uległej woli swego pana i władcy. Tymczasem zaczął się przekonywać, że kieruje się własną wolą, jest uparta i dumna. Mówiła cicho i spokojnie, ale dokładnie to, co chciała.

— To jest powód, Rolery. Nie można siedzieć z założonymi rękami i przyglądać się, jak te dranie powoli wyrzynają wszystkich w pień. Chcę się bronić, walczyć, wet za wet…

— A co z twoim własnym miastem? Jak wykarmisz tych wszystkich ludzi, których tu sprowadziłeś, jeśli ghale przystąpią do oblężenia? I potem, w czasie Zimy?

— Mamy wszystkiego w bród. O żywność nie musimy się martwić. Potrzeba nam tylko ludzi.

Ze zmęczenia ledwie powłóczył nogami, ale rześki chłód nocy rozjaśnił mu myśli i poczuł, że wzbiera w nim fala radości, jakiej nie czuł już od dawna. Zdawał sobie niejasno sprawę, że tę ulgę, tę lekkość ducha przyniosła mu jej obecność. Od tak dawna dźwigał na swych barkach odpowiedzialność za wszystko, co się działo w mieście. Ona, nieznajoma, nieznana, istota z obcej krwi i ciała, nie wiedziała zupełnie nic o jego władzy, sumieniu, posiadanej wiedzy, o jego tułaczce. Nie mieli ze sobą nic wspólnego, a jednak poznali się i połączyli natychmiast i całkowicie poprzez otchłań dzielących ich różnic; zupełnie jakby to właśnie te różnice, ta wzajemna obcość doprowadziła ich do spotkania, a połączenie się przyniosło im wyzwolenie.

Weszli przez nie zamknięte frontowe drzwi. W wysokim, wąskim domu z ledwie obrobionego kamienia nie paliły się żadne światła. Stał tu od trzech Lat, stu osiemdziesięciu cykli księżyca; tu przyszedł na świat pradziadek Agata, jego dziadek, ojciec i on sam. Znał ten dom jak swoje własne ciało. Znalezienie się w nim z nią, kobietą z plemienia koczowników, której jedynym domem mógł być ten albo tamten namiot na tym czy tamtym wzgórzu albo duszna nora pod śniegiem, dostarczyło mu przedziwnej radości. Przepełniła go czułość, której zupełnie nie potrafił wyrazić. Bez zastanowienia wymówił jej imię, ale nie na głos, lecz w myślach. Natychmiast odwróciła się do niego w ciemności zalegającej hol; w tej głębokiej ciemności spojrzała mu prosto w oczy. Dom wokół nich i całe miasto tonęło w ciszy. Usłyszał w myślach cichutko swoje własne imię, niby szelest nocy, niby muśnięcie dłoni spoza bezdennej otchłani.

— Przemówiłaś do mnie — powiedział na głos, osłupiały z podziwu. Nic nie odpowiedziała, ale raz usłyszał wewnątrz siebie, we

krwi, w każdym zwoju nerwów, jej myśl sięgającą do jego myśli: Agat, Agat, Agat…

Rozdział 10
Stary wódz

Stary wódz był twardy. Przeżył napad na Agata, utratę władzy, wyczerpanie, zapomnienie i klęskę, zachowując nienaruszoną wolę i niemal niezmąconą jasność umysłu.

Niektórych rzeczy nie rozumiał, inne co jakiś czas ulatywały mu z pamięci. Był nawet rad, że udało mu się wyrwać z dusznej ciemności swego rodowego domostwa, gdzie siedzenie przy ogniu robiło z niego taką babę — tego jednego był zupełnie pewien. Podobało mu się — tak samo jak zawsze — to osadzone na skałach, pełne słońca, smagane wiatrem miasto farbornów, wzniesione przed przyjściem na świat najstarszych ludzi i trwające niezmiennie wciąż w tym samym miejscu. O ileż lepiej je zbudowano od Tewaru. Sam Tewar nie zawsze jasno rysował mu się w pamięci. Czasami stawały mu wyraźnie przed oczyma płonące dachy, porąbane, rozprute trupy wnuków i synów, w uszach dźwięczały mu przeraźliwe krzyki — a czasami nie. Wola przeżycia była w nim bardzo silna.

Nadal napływali nieliczni uciekinierzy, w tym kilku ze splądrowanych Zimowych Miast leżących dalej na północy, ale w całym mieście farbornów nie znalazłby więcej niż trzystu ludzi z rasy Wolda. Tak dziwnie było należeć do słabego, nielicznego plemienia, żyjącego na łasce pariasów, że niektórzy tewarczycy, zwłaszcza mężczyźni w sile wieku, nie byli w stanie tego znieść. Siadali ze skrzyżowanymi nogami, źrenice oczu kurczyły im się do rozmiarów maleńkiej kropki, jakby się natarli olejkiem gezinowym i pogrążali się w Niebyciu. Także kilka kobiet, które na własne oczy. widziały, jak ich mężów rozrąbywano na kawałki, i które straciły wszystkie dzieci, wpędziło się z żalu w chorobę lub odeszło do krainy pod morzem. Ale dla Wolda upadek tewarskiego świata był tylko częścią klęski jego własnego życia. Zdając sobie doskonale sprawę, że zaszedł już daleko na drodze ku śmierci, przyjmował każdy nowy dzień jak szczodry dar i z wielką życzliwością patrzył na wszystkich młodszych mężczyzn, tak ludzi, jak i farbornów — to na nich spadał teraz ciężar ciągnięcia walki.

Kamienne ulice tonęły w słońcu kładącym się jaskrawymi plamami na malowanych frontonach domów, choć ponad wydmami na północy mąciła niebo jakaś rozmazana, brudna smuga. Na wielkim placu, przed budynkiem zwanym. Thiatrem, w którym rozlokowano wszystkich ludzi, pozdrowił Wolda jakiś farborn. Potrwało dobrą chwilę, nim rozpoznał w nim Jacoba Agata. Zachichotał głośno i powiedział: — Alterro, byłeś kiedyś takim przystojnym mężczyzną! A

teraz wyglądasz jak szaman z Pernmeku, któremu wyrwano przednie zęby. Gdzie jest… (znów zapomniał, jak. ona się nazywa)… ta kobieta z mego rodu?

— W moim domu, Najstarszy.

— Wstyd i hańba. — Nic go nie obchodziło, czy obrazi Agata, czy nie. Agat był teraz oczywiście panem i wodzem, ale w niczym nie zmieniało to faktu, że to wstyd trzymać kochankę we własnym namiocie czy domu. Farborn czy nie, powinien przestrzegać fundamentalnych zasad przyzwoitości.

— Jest moją żoną. Czy to właśnie jest tą hańbą?

— Słabo słyszę, uszy mam już stare — powiedział ostrożnie Wold.

— Jest moją żoną.

Wold podniósł wzrok, po raz pierwszy spoglądając Agatowi prosto w twarz. Oczy Wolda były mętnożółte jak zimowe słońce, spod skośnych powiek nie widać było ani kawałka białek. Agata — ciemne, ciemne tam, gdzie tęczówki i tam, gdzie źrenice, okolone białymi kącikami w równie ciemnej twarzy — nieziemskie; ciarki chodziły po plecach pod spojrzeniem tych oczu.

Wold odwrócił wzrok. Ze wszystkich stron otaczały go wielkie kamienne domy farbornów, czyste, jasne i bardzo stare w promieniach słońca.

— Ja wziąłem sobie za żonę jedną z was, farbornie — powiedział w końcu — ale nigdy przez myśl mi nie przeszło, że ty weźmiesz sobie żonę ode mnie… Żeby córka Wolda poszła między niby-ludzi… nigdy nie urodzić dziecka…

— Nie masz nad czym lamentować, Najstarszy — odparł młody farborn, nieporuszony jak skała. — Jestem ci równy, Woldzie. We wszystkim prócz wieku. Miałeś farbornkę za żonę, teraz masz farborna za zięcia. Skoroś sam chciał pierwszego, to możesz jakoś przełknąć drugie.

— Ciężko będzie — odparł starzec z prostotą i uporem. Zapadła chwila milczenia. — Nie jesteśmy sobie równi, Jacobie Agacie. Moi ludzie wyginęli, ci, co przeżyli, są zupełnie załamani. Ty jesteś wodzem, panem. Ja nie. Ja jestem człowiekiem, ty nie. Niby co takiego nas łączy?

— Przynajmniej nic nas nie dzieli — odparł Agat, nadal nieporuszony. — Żadna uraza, żadna nienawiść.

Wold obrzucił go przeciągłym spojrzeniem i na koniec lekko wzruszył ramionami na potwierdzenie.

— Dobrze, że się ze mną zgadzasz, przynajmniej w zgodzie będziemy mogli razem zginąć — powiedział farborn i, ni stąd, ni zowąd, roześmiał się. Nigdy nie wiadomo, kiedy farbornowi przyjdzie do głowy się śmiać. — Wydaje mi się, Najstarszy, że ghalowie zaatakują nas w ciągu najbliższych godzin.

— Najbliższych godzin?

— W każdym razie już wkrótce. Może kiedy słońce stanie wyżej. — Stali obok pustej areny. U ich stóp leżał lekki dysk. Agat podniósł go i bez namysłu., jak mały chłopiec, posłał go na drugą stronę boiska. Wiodąc za nim wzrokiem, żeby sprawdzić, gdzie upadnie, powiedział: — Przypada ich ze dwudziestu na każdego z nas, więc jeśli przedrą się przez mury albo wyłamią bramę… Wysyłam wszystkie jesienne dzieci z matkami na Skałę. Po podniesieniu zwodzonych mostów nie sposób ją zdobyć, ma zapasy wody i żywności dla pięciuset ludzi na cały cykl księżyca. Ale z tym babińcem musi pójść kilku mężczyzn. Czy mógłbyś wybrać trzech czy czterech swoich ludzi i kobiety z małymi dziećmi i je tam zaprowadzić? Ktoś musi im przewodzić. Czy ten plan ci się podoba?

— Owszem, ale ja zostanę tutaj — odparł starzec.

— Doskonale, Najstarszy — powiedział Agat bez cienia sprzeciwu, z kamiennym wyrazem młodej, surowej, pokrytej bliznami twarzy. — Wskaż zatem mężczyzn, którzy mają towarzyszyć waszym kobietom i dzieciom. Muszą ruszać jak najszybciej. Naszą grupę poprowadzi Kemper.

— Pójdę z nimi — powiedział Wold dokładnie takim samym tonem co przedtem, co chyba lekko zbiło z tropu Agata.

A więc jednak można go było zbić z tropu. Ale i tym razem nie zaprotestował. Odnosił się do Wolda niezwykle uprzejmie, na pozór oczywiście — bo z jakiegoż to niby powodu miałby okazywać szacunek umierającemu starcowi, którego nawet własne, pokonane plemię nie uznawało już za swego wodza? — i trwał w tym uparcie, bez względu na to, jak głupio by Wold nie odpowiadał. Naprawdę był jak skała. Niewielu się takich spotykało.

— Panie mój, synu mój, bracie — powiedział starzec z uśmiechem, kładąc rękę na ramieniu Agata — poślij mnie tam, gdzie uważasz za stosowne. Jestem już do niczego, jedyne, co mogę zrobić, to umrzeć. Widziałem już lepsze miejsca do umierania niż ta wasza czarna skała, ale mogę to zrobić i tam, jeśli sobie tego życzysz…

— W każdym razie wyślij z kobietami kilku mężczyzn — powiedział Agat — i wybierz pewnych, takich, co nie pozwolą kobietom popadać w panikę. Muszę iść do Bramy Lądowej, Najstarszy. Chcesz pójść ze mną?

Szybki i gibki odwrócił się na pięcie i tyle go było. Wold zaczął powoli piąć się ulicami i stromymi schodami, wspierając się ciężko na farbornskiej włóczni z jasnego metalu. Ale doszedłszy ledwie do połowy drogi, musiał przystanąć dla zaczerpnięcia oddechu. Wtedy uprzytomnił sobie, że powinien wrócić i wysłać młode matki z dziećmi na Skałę, jak go o to prosił Agat. Zawrócił i ruszył z powrotem w dół. Kiedy spostrzegł, z jakim trudem powłóczy nogami po kamiennych

płytach, zrozumiał, że powinien usłuchać Agata i udać się z kobietami na czarną wyspę, bo tutaj mógłby tylko zawadzać.

Zalane słońcem ulice były zupełnie puste, tylko od czasu do czasu przemykał nimi jakiś spieszący dokądś farborn. Wszyscy byli gotowi albo właśnie kończyli przygotowania do objęcia wyznaczonych stanowisk i obowiązków. Gdyby jego rodacy w Tewarze byli tak przygotowani, gdyby wyruszyli na północ naprzeciw ghalom, gdyby zajrzeli w przód, w nadchodzący czas, tak jak to zdawał się czynić Agat… Nic dziwnego, że ludzie mieli farbornów za czarowników. Choć z drugiej strony to z winy Agata nie wymaszerowali. Dopuścił do tego, żeby między sprzymierzeńcami stanęła kobieta. Gdyby on, Wold, wiedział, że ta dziewczyna zamieniła z Agatem bodaj jeszcze jedno słowo, kazałby ją zabić za namiotami, a jej ciało wrzucić do morza, i Tewar stałby może do dziś…

Wyszła z jednego z wysokich kamiennych domów i ujrzawszy Wolda, znieruchomiała w progu. Spostrzegł, że choć związała włosy na plecach na sposób mężatek, nadal nosiła skórzaną tunikę i spodnie z wyciśniętym liściem trzykrotki, herbem jego rodu.

Nie spojrzeli sobie w oczy. Dziewczyna milczała.

— Idziesz na czarną wyspę czy zostajesz tutaj, kobieto z mego rodu? — spytał w końcu Wold, bo co było, to było, a i nazwał przecież Agata synem.

— Zostaję tu, Najstarszy.

— Mnie Agat wysyła na czarną skałę — powiedział nieco enigmatycznie, przenosząc ciężar sztywnego ciała z nogi na nogę. Stał w poplamionych krwią futrach w nie dającym ciepła słońcu, wsparty ciężko na włóczni.

— Agat obawia się chyba, że kobiety nie zechcą tam pójść, jeśli ty ich nie poprowadzisz, Najstarszy. Ty albo Umaksuman. A Umaksuman dowodzi naszymi wojownikami strzegącymi północnego muru.

Utraciła całe swoje trzpiotostwo, beztroskę, ujmującą zuchwałość; mówiła natarczywie, a zarazem łagodnie. Nagle zupełnie wyraźnie przypomniał ją sobie jako małe dziecko, jedyne dziecko na całych letnich terenach — córeczka Shakatany, urodzona w środku Lata.

— A więc zostałaś żoną Alterry? — powiedział ni z tego, ni z owego i nałożenie się tej myśli na jej wspomnienie jako rozbrykanego, roześmianego brzdąca zrobiło mu znów takie zamieszanie w głowie, że nie usłyszał, co odpowiedziała.

— Dlaczego wszyscy nie schronimy się na wyspie, skoro jest taka niezdobyta?

— Ma za małe zapasy wody, Najstarszy. Ghalowie zajęliby miasto, a my wymarlibyśmy na tej skale z pragnienia.

Ponad dachami Gmachu Ligi majaczył mu w oddali fragment wiaduktu. Był przypływ; za czarnym ramieniem warownej wyspy

skrzyły się w słońcu fale.

— Dom zbudowany na morskich wodach to nie jest miejsce dla ludzi — powiedział z chmurną miną. — Za blisko do podmorza… Słuchaj, miałem coś powiedzieć Arilii, to znaczy Agatowi. Zaraz, zaraz, co to takiego było? Zapomniałem. Nie słyszę już własnych myśli… — Za wszelką cenę próbował sobie przypomnieć, ale nic mu z tego nie wyszło. — No trudno, mniejsza z tym. Myśli starych są jak pył na wietrze. Do widzenia, córko.

Ruszył dalej, powłócząc ciężko nogami i przystając co kilka kroków dla zaczerpnięcia oddechu. Przeciął na ukos wielki plac i wszedł do Thiatru, gdzie rozkazał młodym matkom zabrać dzieci i iść za sobą. I poprowadził ostatnią w swoim życiu drużynę — stadko zastraszonych kobiet i jesiennych berbeci trzymających się tuż za nim oraz trzech młodszych mężczyzn, którzy zamykali ten pochód posuwający się ogromną, napowietrzną drogą, gdzie od każdego spojrzenia w dół kręciło się w głowie, ku czarnej, budzącej grozę skalnej warowni.

Panował w niej chłód i cisza. Do wysokich grobowców sal nie docierały żadne dźwięki poza szumem morza, ssącego i żującego w gębach fal skały w dole. Plemię Wolda zbiło się w ciasną gromadkę w jednym wielkim pokoju. Żałował, że nie ma przy sobie starej Kerly, byłaby mu wielką pomocą, ale stara Kerly leżała teraz martwa w Tewarze albo gdzieś w okolicznych lasach. Kilka odważniejszych kobiet poderwało wreszcie do życia całą resztę. Znalazły ziarno bhanu i wodę, żeby je w niej ugotować, i drewno do rozpalenia ognia. Kiedy dziesięciu farbornskich wojowników przyprowadziło swoje kobiety i dzieci, tewarczycy mogli ich poczęstować gorącym posiłkiem. Wszystkich razem było ich teraz w forcie pięć czy sześć setek, niemal tyle, ile mógł pomieścić, toteż rozbrzmiewał echem licznych głosów, a wszędzie pod nogami kręciły się małe brzdące, prawie dokładnie tak samo jak w kobiecej części rodowego domostwa w Zimowym Mieście. A przez wąskie okna z przezroczystego kamienia, który nie wpuszczał do środka wiatru, patrzyło się hen, w dół, na fale roztrzaskujące się z hukiem o skały, zasnuwające powietrze kłębami wodnego dymu.

Wiatr zmieniał kierunek, brudna smuga na północnym niebie rozpłynęła się w tuman mgły, który otoczył małe blade słońce wielkim bladym kręgiem — śnieżnym kręgiem.

To było to. To właśnie o tym miał powiedzieć Agatowi — że idzie śnieg. Nie kilka drobnych płatków, jakby kto solił strawę, jak za ostatnim razem, ale śnieg, prawdziwy śnieg. Zimowa zawieja, śnieżyca… Na to słowo, którego nie słyszał i nie wymawiał od tak dawna, ogarnęło go przedziwne uczucie. A więc po to, żeby umrzeć, musi powrócić przez jednostajny, lodowy krajobraz swego dzieciństwa, wkroczyć ponownie w biały świat śnieżnych burz.

Stał nadal przy oknie, lecz nie widział już huczących w dole fal. W pamięci odżył mu obraz Zimy. Nie na wiele zda się tym ghalom zdobycie Tewaru, a nawet i Landinu. Dziś, jutro wykarmią się mięsem haynn i zbożem. Ale co poczną, kiedy nadejdzie śnieg? Prawdziwy śnieg, którego zwały zasypią na równo lasy i doliny, gnany porywistym wiatrem, co mrozi do szpiku kości? Kiedy ten wróg na nich spadnie, będą czmychać co sił w nogach! Za długo mitrężyli na północy. Nagle zarechotał głośno i odwrócił się od okna, za którym zaczął zapadać zmierzch. Utracił wodzostwo, na jego oczach wymordowano mu synów, nie nadawał się już do niczego i przyszło mu umrzeć tu, na skale pośrodku morza; ale miał potężnych sprzymierzeńców, służyli mu mocarni wojownicy, z którymi ani Agat, ani nikt inny nie mógł się równać. Walczyły dla niego Zima i Śnieżyca, jeszcze dane mu będzie ujrzeć śmierć swoich wrogów.

Dowlókł się ciężko do kominka, rozsupłał mieszek z geziną, rzucił na węgle maleńką grudkę żywicy i wciągnął trzy głębokie oddechy. A potem ryknął tubalnym głosem:

— No, kobiety, czy ta breja już gotowa?!

Obsłużyły go potulnie, a on zjadł, po raz pierwszy od dawna z apetytem.

Rozdział 11
Oblężenie miasta

Przez cały pierwszy dzień oblężenia Rolery pomagała tym, którzy pilnowali, aby mężczyznom na murach i dachach nie zabrakło lanc — długich, szorstkich, szablowatych liści trawy holn ważących kilka funtów i ściętych z jednego końca w ostry szpic. Kto celnie rzucał, mógł nimi zabić, a ich grad posyłany nawet niewprawnymi rękami skutecznie zrażał grupę ghalów próbujących przystawić drabiny do wygiętego w łuk muru od strony lądu. Nosiła całe naręcza tych lanc po niezliczonych schodach; na innych schodach stała w łańcuchu podających je sobie w górę z rąk do rąk, biegała z nimi smaganymi wiatrem ulicami i do tej pory nie zdążyła wyciągnąć z rąk całej masy cieniutkich jak włos, kłujących drzazg. A dziś od samego świtu dźwigała pociski do katapult, dziwacznych urządzeń do miotania kamieni, czegoś w rodzaju wielkich proc, umieszczonych nad Bramą Lądową. Kiedy ghalowie podciągali tłumnie do bramy, żeby użyć swoich taranów, wielkie kamienie lecące na nich z góry z hukiem i świstem wciąż na nowo ich rozpędzały. Ale katapulty pożerały straszliwe ilości pocisków. Mali chłopcy bez chwili przerwy wyrywali kamienie z bruku pobliskich ulic, a jej kobieca drużyna woziła je po osiem, dziesięć na raz wojownikom obsługującym katapulty, dziwną skrzynią na okrągłych nogach. Osiem kobiet zaprzęgało się w długie liny, żeby ją pociągnąć, ale załadowana po brzegi ciężka skrzynia wydawała się nie do ruszenia. Kiedy jednak zaparły się ze wszystkich sił, małe okrągłe nóżki zaczynały się w końcu nagle obracać i cała skrzynia ruszała z grzechotem i turkotem pod górę. Wytężając siły, żeby się przypadkiem nie zatrzymała, wlokły ją spiesznie jednym ciągiem aż do bramy, tam, jeszcze rozpędzoną, wywracały do góry nogami, przystawały na chwilę dla złapania oddechu i odgarnięcia włosów z czoła, po czym wracały z pustym, roztrzęsionym wózkiem po następny ładunek. I tak przez cały ranek. Kamienie i liny raniły ręce do krwi. Rolery udarła dwa kawałki skóry ze swojej cienkiej skórzanej spódnicy i przywiązała je sobie do dłoni rzemieniami od sandałów. Pomogło. Reszta kobiet poszła w jej ślady.

— Szkoda, że zapomnieliście, jak się robi te erkary! — krzyknęła do Seiko Esmit za którymś razem, kiedy zbiegały ulicą tuż przed turkocącym, trudnym do kierowania wózkiem. Seiko nic nie odpowiedziała; może nie usłyszała. Harowała jak wszyscy inni, bo wśród farbornów trudno było znaleźć słabeusza, ale widać po niej było napięcie, w jakim żyli przez ostatnie dni — pracowała jak w transie.

Raz, kiedy zbliżały się do bramy, ghalowie rozpoczęli ostrzał

płonącymi żagwiami, które tliły się i dymiły na bruku ulic i dachówkach domów. Seiko szarpnęła się w linach uprzęży jak zwierzę schwytane we wnyki i przypadła do ziemi ze strachu przed przelatującymi nad głową ognistymi strzałami.

— Zgasną, to miasto się nie zapali — powiedziała cicho Rolery, ale Seiko tocząc wokół niewidzącym spojrzeniem powtarzała tylko raz po raz:

— Boję się pożaru, boję się pożaru…

Ale kiedy jakiś młody kusznik trafiony w twarz kamieniem z procy ghala runął z rozpostartymi rękami z wąskiej półki na szczycie muru i roztrzaskał się tuż obok nich, przewracając dwie z ciągnących wózek kobiet i zbryzgując im spódnice własną krwią i mózgiem, to właśnie Seiko podeszła do zabitego, położyła sobie na kolanach jego zmasakrowaną głowę i wyszeptała mu do ucha słowa ostatniego pożegnania.

— To był ktoś z twego rodu? — spytała Rolery, kiedy Seiko przywdziała na powrót uprząż i ruszyły dalej.

— W tym mieście wszyscy jesteśmy dla siebie jednym rodem — odparła farbornka — To był Jonkendy Li, najmłodszy z Rady.

Młody zapaśnik z areny na wielkim placu, który lśniąc od potu i tryskając radością z odniesionego zwycięstwa pozwolił jej chodzić po swoim mieście, dokąd zechce. Pierwszy farborn, z jakim rozmawiała w swoim życiu.

Jacoba Agata nie widziała od przedostatniej nocy, bo każdy, kto pozostał w mieście, człowiek czy farborn, miał wyznaczone stanowisko i zajęcie, a do Agata należało być wszędzie naraz, utrzymać półtoratysięczne miasto przed nawałą piętnastu tysięcy.

W miarę upływu dnia głód i zmęczenie zaczęły podkopywać jej siłę i coraz częściej widziała go rozciągniętego na zakrwawionym bruku, tam, po przeciwnej stronie miasta, przy Bramie Morskiej nad urwiskiem, w miejscu drugiego głównego szturmu ghalów. Jej kobieca drużyna przerwała na chwilę pracę, żeby posilić się chlebem i suszonymi owocami przywiezionymi małym wózkiem na okrągłych nogach przez jakiegoś roześmianego chłopca; mała poważna dziewczynka, dźwigająca wielki skórzany bukłak, dała im się napić wody. Posiłek pokrzepił trochę Rolery. Była pewna, że wszyscy zginą, bo z dachów domów widziała chmary wroga czerniące okoliczne wzgórza — nie było im końca, tak naprawdę oblężenie wcale jeszcze się nie rozpoczęło. Ale z tą samą pewnością wiedziała, że Agat nie zostanie zabity, a skoro on będzie żył, to przecież ona też. Co on miał wspólnego ze śmiercią? Był życiem, samym życiem — jej życiem. Rozsiadła się wygodniej na bruku ulicy, żując twardy chleb. O rzut kamieniem ze wszystkich stron otaczał ją mord, gwałt, masakra i koszmar, a oto ona siedziała tutaj, zajadając spokojnie chleb. Jak

długo będą się bronić ze wszystkich sił, z całego serca, tak jak to robili do tej pory, pozostaną bezpieczni przynajmniej przed strachem.

Jednak niedługo potem nastały bardzo ciężkie chwile.

Kobiety podciągały właśnie swój ciężki ładunek do bramy, gdy nagle turkot wózka i w ogóle wszystkie inne dźwięki utonęły w potwornym wyciu dobiegającym zza bramy, w ryku dudniącym jak łoskot trzęsienia ziemi, tak donośnym i głębokim, że się go nie słyszy, tylko czuje szpikiem kości. W następnej chwili brama drgnęła na zawiasach i zadygotała. Wtedy właśnie na moment zobaczyła Agata. Pędził z dalszej części miasta, prowadząc drużynę łuczników i strzałkarzy, wykrzykując w pędzie rozkazy do tych, którzy stali na murach.

Kobiety otrzymały rozkaz schronienia się na ulicach leżących bliżej centrum miasta i natychmiast się rozproszyły. „Łuuu-u! Łuu-u! Łuuu-u!" dochodził zza bramy ryk tłumu tak potężny, jakby dobywał się z gardzieli samych gór, jakby lada chwila miał unieść miasto ze szczytów urwiska i strącić je do morza. Wiatr przybrał na sile, zrobiło się przejmująco zimno. Drużyna Rolery rozbiegła się, wszędzie panowało potworne zamieszanie. Nie było żadnej pracy, którą by mogła zająć ręce. Zaczęło się ściemniać. Dzień był jeszcze młody, za wczesna pora na ten zmierzch. I nagle zrozumiała; że jednak zginie, uwierzyła w swoją śmierć. Przystanęła bez ruchu na pustej ulicy, pośród wysokich pustych domów, i zaniosła się cichym płaczem.

W jednym z bocznych zaułków kilku chłopców wyrywało kamienie z bruku i nosiło je w stronę Rynku, by podwyższyć barykady wzniesione na czterech prowadzących do niego ulicach i wzmocnić w ten sposób zamykające je bramy. Dołączyła do nich, żeby się rozgrzać, żeby nie stać bezczynnie, żeby coś robić. Harowali w milczeniu, w piątkę czy szóstkę, wykonując pracę przerastającą ich siły.

— Śnieg — powiedział naraz któryś z chłopców, przystając obok Rolery. Oderwała wzrok od kamienia, który wlokła krok za krokiem w dół ulicy, i ujrzała tuż przed sobą zasłonę z wirujących małych płatków, gęstniejącą z każdą chwilą. Wszyscy przerwali pracę. Wiatr ucichł, potworne wycie za bramą ustało jak nożem uciął. Śnieg i zmrok spadły razem na świat, przynosząc ciszę.

— Patrzcie! — zawołał z zachwytem jeden z chłopców. Sypało już tak gęsto, że koniec ulicy zniknął im z oczu. Światła Gmachu Ligi stojącego ledwie kawałek dalej zmieniły się w migotliwe żółte plamki.

— Będziemy mieli całą Zimę, żeby się na to napatrzyć — powiedział drugi. — Jeśli przeżyjemy. No dobra, idziemy! W Gmachu wydają już pewnie kolację.

— Idziesz z nami? — spytał Rolery najmłodszy z chłopców.

— Zdaje mi się, że my jadamy w tym drugim budynku, w Thiatrze.

— Nie, teraz wszyscy jedzą w Gmachu. W ten sposób oszczędza się wiele pracy. Chodź. — Chłopcy byli nieśmiali, małomówni, serdeczni. Poszła z nimi.

Noc zapadła wcześniej niż zwykle, dzień nastał później. Obudziła się w domu Agata, u jego boku, i otworzywszy oczy ujrzała szare światło padające na szare ściany, mrok sączący się przez szczeliny w okiennicach chroniących szyby w oknach. Najmniejsze drgnienie nie mąciło absolutnej ciszy. Ani z wnętrza domu, ani z dworu nie dobiegał żaden dźwięk. Czy to możliwe, żeby w oblężonym mieście panowała taka absolutna cisza? W tej tłumiącej wszystkie dźwięki szarówce brzasku i oblężenie, i sami ghalowie wydawali się czymś bardzo odległym. Tutaj było ciepło, tuż obok siebie miała pogrążonego we śnie Agata. Zastygła w bezruchu, żeby go nie zbudzić.

Pukanie na dole, walenie do drzwi, głosy. Czar prysł: najpiękniejsza chwila minęła. Wołali Agata. Zaczęła go budzić — trudne zadanie. W końcu zwlókł się z łóżka, wciąż jeszcze nic nie widząc na zaspane oczy, otworzył okno i okiennice i wpuścił do pokoju światło dnia. Trzeciego dnia oblężenia, pierwszego dnia śniegu. Zasłał już ulice grubo na stopę i sypał nadal, bezustannie, czasami równo i gęsto, najczęściej jednak gnany porywistym północnym wiatrem. Uciszył i zmienił cały świat. Góry, lasy i pola — wszystko zniknęło. Zniknęło całe niebo. Szczyty najbliższych dachów zlewały się i rozpływały w bieli. Był tylko śnieg, który spadł, i śnieg, który padał i to jedynie na wyciągnięcie ręki, bo dalej nie było już zupełnie nic.

Na zachód od miasta cichym sztormem powracał przypływ. Przęsła wiaduktu prowadziły w nicość. Skały nie było. Nie było nieba ani morza. Sypiący na ciemne urwiska śnieg skrywał piaski w dole.

Agat zatrzasnął okiennice i okno i odwrócił się do Rolery. Twarz miał nadal odprężoną snem, głos mu sennie chrypiał. — To niemożliwe, żeby odeszli — mruknął, bo tak właśnie wołano do niego z ulicy: — Ghalowie odeszli,. odstąpili od oblężenia, uciekają na południe…

Nie sposób to było sprawdzić. Z murów Landinu widać było tylko śnieg. Ale już kilka kroków za jego zasłoną mogły stać tysiące namiotów rozbitych po to, żeby go przeczekać — albo mogło nie być żywego ducha.

Z murów spuszczono na linach kilku zwiadowców. Trzech z nich powróciło z wieścią, że wspięli się na wzgórza do granicy lasu i nie natknęli się na ghalów; ale potem musieli wracać, bo z odległości stu jardów nie widzieli samego miasta. A jeden w ogóle nie wrócił — został schwytany przez ghalów czy zabłądził w śnieżycy?

W bibliotece Gmachu zwołano naradę Alterran. Jak to było w zwyczaju, mógł na niej być obecny każdy, kto chciał posłuchać i

zabrać głos w omawianej sprawie. Rada Alterrów składała się już nie z dziesięciu osób, lecz ośmiu. Jonkendy Li i Haris, najmłodszy i najstarszy, zginęli. Obecnych było tylko siedmiu, bo Pilotson pełnił wartę na murach, ale sala pękała w szwach od milczących słuchaczy.

— Nie odeszli… Odstąpili od murów… Ale nie wszyscy… nie wszyscy… — Alla Pasfal mówiła zduszonym szeptem, żyły wystąpiły jej na szyi, a twarz ziemiście poszarzała. Była najbieglejsza ze wszystkich farbornów w sztuce nazywanej przez nich słuchaniem myśli. Potrafiła słuchać czyichś myśli na większą odległość niż ktokolwiek inny, i umiała to robić tak, żeby ten ktoś wcale o tym nie wiedział.

— To zakazane — powiedział dawno temu (przed tygodniem?) Agat, występując przeciwko takiej próbie sprawdzenia, czy ghalowie nadal obozują w pobliżu Landinu. — Nigdy nie złamaliśmy tego zakazu, nigdy przez cały czas Wygnania. — Po czym dodał: — Jak tylko przestanie padać i tak dowiemy się, gdzie są. A do tego czasu możemy czuwać.

Ale pozostali nie zgodzili się z nim i ich głosy przeważyły. Rolery poczuła się zdezorientowana i zagubiona, kiedy ujrzała, że Agat ustępuje, godzi się z ich decyzją. Próbował jej wyjaśnić, dlaczego musiał tak postąpić; tłumaczył, że nie jest wodzem miasta czy rady, że wszyscy dziesięcioro Alterrowie zostali wybrani i rządzą wspólnie, ale Rolery nie potrafiła tego pojąć. Albo był wodzem, albo nie. A jeśli nie, to wszyscy byli zgubieni.

No i teraz ta stara kobieta wpatrywała się przed siebie niewidzącym spojrzeniem i dysząc ciężko próbowała wyrazić słowami to, co słowami było nie do wyrażenia — krótkie przebłyski kontaktu z umysłami obcych istot, myślących w obcej mowie, nieuchwytny odbiór zmysłem dotyku wrażeń obcych rąk trzymających jakiś przedmiot.

— Trzymam… trzymam… sz…sznur… linę… — wydusiła z siebie słowo po słowie.

Rolery wzdrygnęła się ze strachu i odrazy. Agat siedział odwrócony tyłem do Alli, zamknięty w sobie.

W końcu Alla uspokoiła się, spuściła głowę na piersi i na długą chwilę zastygła w bezruchu.

Seiko Esmit nalała wszystkim Alterrom i Rolery maleńką filiżaneczkę ceremonialnej ti. Każdy ledwie maczał usta i podawał ją następnemu, a ten dalej i dalej, aż filiżaneczka została pusta. Rolery jak urzeczona wpatrywała się w miseczkę, którą podał jej Agat, nim upiła herbaty i przekazała ją dalej. Błękitna, krucha jak liść, przepuszczała światło niczym jakiś klejnot.

— Ghalowie odeszli — odezwała się na głos Alla Pasfal, podnosząc umęczoną twarz. — Wyruszyli w drogę, posuwają się teraz

jakąś doliną między dwoma pasmami wzgórz. To odebrałam zupełnie wyraźnie.

— Doliną Giln-mruknął jeden z mężczyzn. — To jakieś dziesięć kilomów na południe od Suchego Bagniska.

— Uciekają przed Zimą. Mury miasta są bezpieczne. — Ale Prawo zostało złamane — przebił się przez ogólny szmer nadziei i rozradowania ochrypły głos Agata. — Mury można naprawić. No cóż, zobaczymy…

Rolery zeszła z nim po schodach do ogromnej Sali Zgromadzenia, zastawionej teraz stołami i długimi ławami, bo to tu właśnie, pod złotymi zegarami i kryształowym rysunkiem planet krążących wokół swoich słońc, urządzono komunalną jadalnię.

— Chodźmy do domu — powiedział na dole.

Nałożyli obszerne, podbite futrem płaszcze z kapturami, które wydano wszystkim mieszkańcom miasta z magazynów pod Starym Ratuszem, i wyszli razem w zadymkę szalejącą na Rynku. Nie zdążyli jednak ujść nawet dziesięciu kroków, gdy ze śnieżycy wypadła na nich jakaś groteskowa postać owinięta w pasy przesiąkniętej czerwienią bieli.

— Ghale przy Morskiej Bramie! — krzyknęła przeraźliwie. — Wdarli się do miasta! Przy Morskiej Bramie. Agat posłał Rolery jedno jedyne spojrzenie i zniknął w śnieżnej zawiei. W następnej chwili wysoko na wieży nad jej głową rozległo się huczące dudnienie metalu uderzanego o metal, głębokie, stłumione przez padający śnieg. Nazywali ten hałas dzwonem i jeszcze przed rozpoczęciem oblężenia wszyscy musieli się nauczyć jego sygnałów. Cztery, pięć uderzeń — cisza; znów pięć i jeszcze raz to samo: „Wszyscy mężczyźni do Morskiej Bramy! Wszyscy do Morskiej Bramy!”

Ledwie zdążyła odciągnąć posłańca na bok, pod kolumnadę Gmachu Ligi, gdy z drzwi zaczęli wypadać wojownicy, bez szub albo szamocący się, żeby nałożyć je w biegu, uzbrojeni i nie uzbrojeni. Pędzili co sił w nogach w kurzawę wirującego śniegu i rozpływali się w niej, nim dotarli na drugą stronę Rynku.

Nie pojawił się nikt więcej. Od strony Morskiej Bramy docierał jakiś zgiełk, tak stłumiony przez świst wiatru i sypiący śnieg, że zdawał się dochodzić z ogromnej dali. Posłaniec oparł się na niej ciężko w zaciszu kolumnady.

Krwawił z głębokiej rany na szyi i byłby upadł, gdyby go nie podtrzymała. Rozpoznała rysy jego twarzy — to był Alterra zwany Pilotsonem. Przemówiła do niego tym nazwiskiem, żeby choć trochę oprzytomniał i starał się trzymać na nogach. Zaczęła go taszczyć do wnętrza budynku. Zatoczył się bezwładnie i wciąż jeszcze próbując przekazać wiadomość, wybełkotał:

— Wdarli się… Są już w murach miasta… Ghalowie w mieście…

Rozdział 12
Obrona Rynku

Wysokie, wąskie skrzydła Bramy Morskiej zatrzasnęły się z hukiem, sztaby i rygle zaskoczyły na swoje miejsce. Bitwa w śnieżnej zawiei została zakończona. Ale kiedy obrońcy odwrócili się twarzą do miasta, ujrzeli przez sypiący śnieg jakieś cienie przemykające między spryskanymi krwią zaspami.

Zabrali swoich zabitych i rannych i pospiesznie wrócili na Rynek. W tej zadymce nie sposób było wypatrzyć drabin i wdrapujących się po nich napastników — widoczność zmalała do piętnastu stóp w każdą stronę murów. Jakiś ghal czy może nawet kilku wśliznęło się przez nie pod samymi nosami straży i otworzyło Bramę Morską grupie szturmujących. Szturm odparto, ale w każdej chwili i w każdym dowolnym miejscu mogli przypuścić następny, znacznie większymi siłami.

— Według mnie — powiedział Umaksuman, idąc obok Agata w stronę barykady między Thiatrem a Szkołą — większość ghalów odeszła dzisiaj na południe.

Agat skinął głową.

— Po prostu musieli. Jeśli stoją w miejscu, to głodują. Teraz mamy do czynienia z oddziałem okupacyjnym, który ma nas wykończyć i przetrzymać Zimę na naszych zapasach. Jak myślisz, ilu ich tu zostawili?

— Tam, przy bramie, było ich nie więcej niż tysiąc — odparł niepewnie tewarczyk. — Ale przecież może ich być znacznie więcej. I teraz wszyscy znajdą się w obrębie murów… Patrz, tam! — zawołał, wskazując przytulony do ziemi, przemykający szybko cień, który uniesione na moment kurtyny śniegu ukazały gdzieś w połowie ulicy.

— Ty tędy — mruknął i zniknął nagle po lewej. Agat okrążył ciąg domów z prawej strony i spotkał się z nim ponownie na ulicy.

— Nic z tego — powiedział.

— Owszem — odparł lakonicznie Umaksuman i pokazał wykładany kością ghalijski topór, którego nie miał jeszcze minutę temu.

Nad ich głowami dzwon na wieży Gmachu Ligi słał wciąż swój stłumiony przez śnieg, monotonny sygnał: raz, dwa… raz, dwa… — „Odwrót na Rynek! Odwrót na Rynek!” Wszyscy, którzy walczyli przy Morskiej Bramie, strzegli murów i Bramy Lądowej, spali w swych domach lub próbowali wypatrzeć coś z dachów, ściągali lub ściągnęli już do serca miasta, na plac między czterema wielkimi budynkami, przepuszczani pojedynczo przez barykady. W końcu podążył tam także

Umaksuman z Agatem, bo pozostawanie na ulicach, którymi przemykały cienie, było zwykłym szaleństwem.

— Idziemy, Alterro, trzeba iść — ponaglał go tubylec i Agat poszedł, choć mocno się ociągał. Ciężko mu było porzucać to miasto na pastwę wroga.

Wiatr wyraźnie się uspokoił. Czasami tłumiąca zasłona śniegu w jakiś niepojęty sposób przepuszczała z którejś ze spowitych w nią ulic brzęk tłuczonego szkła czy trzask drewna drzwi rozłupywanych uderzeniem topora. Sporo domów pozostawiono otwartych, nie zabezpieczonych w żaden sposób przed splądrowaniem, ale poza schronieniem przed śniegiem niewiele tam można było znaleźć. Już tydzień wcześniej każdy okruch żywności przekazano do wspólnej jadalni tu, w Gmachu. Poprzedniej nocy odcięto dopływ gazu i wody do wszystkich budynków poza czterema wokół Rynku. Fontanny Landinu stały suche, obwieszone soplami lodu, przywalone czapami śniegu. Wszystkie zapasy ukryte były pod ziemią, w piwnicznych spichrzach wykopanych przed pokoleniami pod Starym Ratuszem i Gmachem Ligi. Domy stały opuszczone, puste, wyziębione i pozbawione światła. Nie dawały najeźdźcom niczego.

— Samych naszych stad wystarczy im na cały cykl księżyca. I wcale nie muszą mieć dla nich paszy. Wyrżną haynny i ususzą mięso… — Dermat Alterra czekał na Agata u samych drzwi Gmachu Ligi. W jego głosie słychać było panikę i dezaprobatę.

— Najpierw będą musieli je wyłapać — odburknął Agat. — Jak to wyłapać?

— A tak to. Kilka minut temu, kiedy byliśmy przy Bramie Morskiej, otworzyliśmy obory i je wypuściliśmy. Paol Pasterz nadał panikę. Pognały jak oszalałe, prosto w śnieżycę.

— Wypuściliście haynny? Wszystkie stada?! A co będziemy jeść przez całą Zimę, jeśli ghalowie odejdą?!

— Czy ta panika, którą Paol nadał do haynn, podziałała i na ciebie?! — wybuchnął Agat. — Czy naprawdę myślisz, że nie zdołamy spędzić własnych zwierząt? A poza tym mamy jeszcze zapasy zboża, możemy polować, zbierać śnieżną trawę! Co się z tobą, u diabła, dzieje?

— Jacob — mruknęła cicho Seiko Esmit, stając między nim a starszym mężczyzną. Dopiero teraz dotarło do niego, że krzyczy na Dermata i że musi wziąć się w garść. Ale piekielnie trudno było wrócić z krwawej jatki, takiej jak obrona Morskiej Bramy i spokojnie radzić sobie z przypadkiem męskiej histerii. Głowa pękała mu od bólu, rana, którą odniósł w czasie jednego z wypadów na obozowiska ghalów, także wciąż jeszcze dawała o sobie znać, choć już dawno powinna się była zagoić. Z bitwy pod Bramą Morską udało mu się wyjść bez szwanku, ale aż lepił się od krwi innych. Za wysokimi oknami

biblioteki, za nie zamkniętymi okiennicami śnieg sypał bez końca i szeptał cicho. Było dokładnie południe, a wydawało się, że to już zmrok. W dole pod oknami leżał Rynek i jego dobrze strzeżone barykady, za nimi porzucone domy, pozbawione obrońców mury — miasto śniegu i cieni.

Tego dnia, dnia odwrotu do miasta w mieście, czwartego dnia oblężenia, nie ruszali się poza barykady; ale już tej samej nocy, kiedy śnieg na chwilę się przerzedził, przez dach Szkoły wymknęła się pierwsza grupa zwiadowców. Nad rankiem zawieja znów przybrała na sile, czy też może tuż po pierwszej śnieżnej burzy rozpętała się następna, i pod osłoną śniegu mężczyźni i chłopcy Landinu rozpoczęli wojnę partyzancką na ulicach własnego miasta. Wypuszczali się po dwóch, trzech i przemykali ulicami, dachami, przez pokoje pustych domów, polując na swą zdobycz — cienie pośród cieni. Używali noży, zatrutych strzałek, bolo i strzał. Wdzierali się do własnych domów i zabijali chroniących się tam ghalów albo ghalowie zabijali ich.

Agat, który nie wiedział, co to lęk wysokości, celował w gonitwie po dachach. Strome i oblodzone, stały się bardzo śliskie, ale pokusa trafienia kilku ghalów zatrutymi strzałkami była nie do odparcia, a ryzyko śmierci nie większe niż w innych odmianach tego sportu — ulicznej ciuciubabce czy chowanym po domach.

Szósty dzień oblężenia, czwarty śnieżycy. Tego dnia śnieg był drobny, rzadki, gnany wiatrem. Termometry w podziemiach Archiwum pod Starym Ratuszem, zamienionych teraz na szpital, wskazywały, że na zewnątrz jest -4°C, a szybkość wiatru w porywach znacznie przekracza sto km/h. Na dworze było strasznie, wichura biła człowieka w twarz tym drobnym śniegiem jak żwirem, wciskała go przez roztrzaskane szyby w oknach, zasypując nim podłogi usłane drzazgami z wyrwanych na ogniska okiennic. W całym mieście poza czterema budynkami przy Rynku nie sposób było znaleźć coś do jedzenia albo ciepły kąt. Ghalowie kulili się w pustych pokojach, palili na środku podłóg materace, porąbane drzwi, okiennice i skrzynie, próbując przeczekać burzę. Nie mieli żadnych zapasów — całą żywność zabrała ze sobą ich główna armia. Gdyby pogoda się zmieniła, mogliby zapolować, wykończyć mieszkańców, dobrać się do ich zimowych zapasów i o nich przetrwać do Wiosny. Ale póki śnieżyca trwała, przymierali głodem.

Zajęli wiadukt, ale niewiele im z tego przyszło. Czujki na wieży Gmachu Ligi widziały ich niepewny atak na Skałę, któremu szybko położył kres grad lanc i podniesienie zwodzonego mostu. Tylko bardzo nieliczni zapuszczali się na zalewowe piaski u podnóża urwisk Landinu; pewnie widzieli nadciągający z rykiem przypływ i nie mieli pojęcia, jak często się zdarza ani kiedy nastanie następny, wszak całe życie mieszkali w głębi lądu. Tak więc Skale nic nie groziło, a kilku

wprawnych parawerbalistów z miasta pozostawało w stałym kontakcie z przebywającymi na niej kobietami, dzięki czemu wiedziano, że wszystko tam w porządku i że ojcowie mogą być spokojni, bo żadne dziecko nie jest chore. O Skałę można się było nie martwić. Ale samo miasto zostało zaatakowane, zdobyte i zajęte, już ponad stu mieszkańców zginęło w jego obronie, a resztę oblężono w kilku zaledwie budynkach, zamknięto w potrzasku. Miasto śniegu, cieni i krwi.

Jacob Agat przykucnął w pokoju o szarych ścianach. Pokój był zupełnie pusty, tylko tu i ówdzie walały się strzępy zdartego z podłóg filcu i kawałki rozbitych szyb przysypane warstwą miałkiego śniegu. W całym domu panowała zupełna cisza. Tam, pod oknem, gdzie niegdyś leżał jego materac, spał jedną noc z Rolery, tam rankiem go obudziła. Skulony pod ścianą, włamywacz w swym własnym domu, myślał o Rolery z czułością zmąconą goryczą. Kiedyś — wydawało się to tak dawno, może przed całymi dwunastoma dniami — w tym właśnie pokoju powiedział, że nie może bez niej żyć. A teraz ani we dnie, ani w nocy nie miał chwili czasu, żeby o niej choćby pomyśleć. — Więc teraz daj mi o niej porozmyślać, choć porozmyślać! — warknął wściekły do ciszy. Ale jedyna myśl, jaka tłukła mu się po głowie, to to, że oboje urodzili się nie w porę. Nie można zaczynać miłości, gdy nastaje czas umierania.

Wiatr świstał ze złością na wybitych szybach. Agat poczuł, że chwytają go dreszcze. Przez cały dzień albo spływał potem, albo trząsł się z zimna. Termometr wciąż szedł w dół i wielu z tych, którzy walczyli na dachach, zaczynało się uskarżać na coś, co starzy ludzie nazywali odmrożeniami. Czuł się lepiej, kiedy się ruszał. Rozmyślania źle na niego wpływały. Z wyrobionego przez całe życie nawyku skierował się do drzwi, opamiętał się jednak w porę i podszedł cicho do okna, przez które się tu dostał.

Na parterze domu obok koczowała grupa ghalów. Jeden z nich stał tuż przy oknie, odwrócony do niego plecami. Byli biali i mieli jasne włosy; czernili je sobie i usztywniali jakąś mazią czy smołą, ale pochylona, muskularna szyja, którą widział ze swego miejsca Agat, była zupełnie biała. To dziwne, jak mało miał właściwie okazji, żeby przyjrzeć się swoim wrogom. Strzelało się z daleka albo zadawało cios i uciekało, albo tak jak przy Morskiej Bramie walczyło w zbyt dużym ścisku i pośpiechu, żeby przyglądać się przeciwnikom. Zastanawiał się, czy oczy mają żółtawe lub bursztynowe jak tewarczycy; wydawało mu się jednak, że chyba raczej szare. Nie była to najlepsza okazja, żeby to sprawdzić. Wyszedł na parapet za oknem, podciągnął się na rękach i opuścił swój dom via dach.

Drogę, którą zazwyczaj wracał na Rynek, miał odciętą — ghalowie także zaczęli się bawić we wspinaczkę po dachach. Dość

szybko zgubił wszystkich ścigających poza jednym, który uzbrojony w dmuchawę i strzałki deptał mu niemal po piętach i jednym potężnym susem przesadził ośmiostopową szczelinę między dwoma domami, która powstrzymała wszystkich pozostałych. Nie pozostało mu nic innego, jak zeskoczyć z dachu na jakąś uliczkę, pozbierać się natychmiast po upadku i gnać na złamanie karku do najbliższej barykady.

Wartownik przy barykadzie na ulicy Esmita wypatrujący takich właśnie uciekinierów rzucił mu sznurową drabinkę.

Agat błyskawicznie zaczął się po niej wspinać. Był już prawie na samej górze, gdy w prawej ręce utkwiła mu strzałka. Zjechał na piętach po wewnętrznej ścianie barykady, wyrwał strzałkę z dłoni, wyssał ranę i wypluł krew. Ghalowie nie zatruwali swoich strzałek ani strzał, ale zbierali strzałki używane przez mieszkańców Landinu, a wśród tych zdarzały się oczywiście zatrute. Była to dość dobitna demonstracja jednej z przyczyn wprowadzenia kanonicznego Prawa Embarga. Agat przeżył kilka fatalnych minut w oczekiwaniu na pierwsze objawy chwytających go konwulsji; po upływie odpowiedniego czasu uznał, że jednak miał szczęście, i dopiero wtedy zaczął odczuwać samą dość paskudną ranę na ręce. I to na tej, którą strzelał.

Pod złotymi zegarami w Sali Zgromadzenia wydawano obiad. Od świtu nie miał nic w ustach. Konał z głodu do chwili, kiedy usiadł przy jednym ze stołów z miską gorącego bhanu i kawałkiem peklowanego mięsa. Wtedy nagle poczuł, że nie jest w stanie niczego przełknąć. Na rozmowy także nie miał ochoty, ale wszystko było lepsze niż jedzenie, więc wdawał się w pogawędkę z każdym, kto do niego podszedł, aż dzwon na wieży znów ogłosił alarm przed kolejnym atakiem.

Jak zwykle przypuszczano go kolejno do wszystkich barykad; jak zwykle spełzł na niczym. W taką pogodę nikt nie był w stanie długo ciągnąć natarcia. W tych lotnych atakach o szarówce dnia chodziło im raczej o to, żeby przemycić jednego czy dwóch swoich wojowników przez którąś chwilowo nie strzeżoną barykadę, tak by znalazłszy się na Rynku mogli od wewnątrz otworzyć masywne, żelazne wrota na tyłach Starego Ratusza. Z zapadnięciem ciemności napastnicy zniknęli. Łucznicy w górnych oknach Starego Ratusza wstrzymali ostrzał i natychmiast obwieścili, że ulice są puste. Jak zwykle kilku obrońców zostało rannych lub zabitych: jeden kusznik, trafiony w swoim oknie strzałą z dołu, jeden chłopiec, który za mocno wychylił się za barykadę, by mieć lepszą pozycję do strzału, i dostał w brzuch okutą żelazem dzidą — kilka lżejszych obrażeń.

Każdego dnia ginęło lub odnosiło rany kilku następnych i coraz mniej zostawało zdolnych do walki i pełnienia straży. Coraz mniej z i tak już niewielu…

Z tej akcji Agat powrócił zlany potem i z dreszczami. Większość tych, których ogłoszenie alarmu zastało przy obiedzie, zasiadła z powrotem do stołów dokończyć posiłku. Agata natomiast jedzenie interesowało tylko o tyle, że za wszelką cenę chciał uniknąć jego zapachu. Ręka zaczynała krwawić od nowa za każdym razem, kiedy jej używał, co dało mu wymówkę, żeby zejść do podziemi pod Starym Ratuszem, do Archiwum, i poprosić nastawiacza kości o jej opatrzenie.

Było to duże, niskie pomieszczenie, w którym w dzień i w nocy utrzymywano stałą temperaturę i równe przyćmione światło — doskonałe miejsce do przechowywania starych instrumentów, map i dokumentów i równie dobrze nadające się do opieki nad rannymi. Na pokrytej filcem podłodze rozłożono prowizoryczne posłania, małe wysepki snu i bólu rozrzucone w ciszy długiej sali. Tak jak miał nadzieję, ujrzał między nimi podchodzącą do niego żonę. Jej widok, prawdziwy widok, nie wzbudził w nim tej zaprawionej goryczą czułości, która ogarniała go zawsze, kiedy o niej myślał; zamiast tego poczuł po prostu ogromną radość.

— Cześć, Rolery — wymamrotał i natychmiast odwrócił się do Seiko i nastawiacza Wattocka z pytaniem o Huru Pilotsona. Nie wiedział już, co się robi z tak wielką radością, zupełnie nie potrafił nad nią zapanować.

— Jego rana się powiększa — szepnął mu nad uchem Wattock. Agat drgnął, spojrzał na niego ze zdumieniem i dopiero wtedy uświadomił sobie, że Wattock mówi o Pilotsonie.

— Powiększa? — powtórzył, nie pojmując, co to znaczy, i podszedł do Pilotsona, żeby uklęknąć przy jego materacu. Pilotson wpatrywał się w niego z podłogi.

— No jak tam, Huru?

— Popełniłeś fatalny błąd — odparł ranny.

Znali się i przyjaźnili od najwcześniejszego dzieciństwa. Agat natychmiast i bezbłędnie domyślił się, o co Pilotsonowi chodzi — o jego małżeństwo. Ale zupełnie nie wiedział, co odpowiedzieć.

— Niewiele by zmieniło… — zaczął w końcu i urwał; nie miał zamiaru się usprawiedliwiać.

— Za mało, za mało… — wybełkotał Pilotson i dopiero w tym momencie Agat zdał sobie sprawę, że jego przyjaciel majaczy.

— Wszystko w porządku, Huru! — powiedział tak autorytatywnie, że Pilotson odetchnął z ulgą i zamknął oczy, jakby to ogólnikowe zapewnienie zupełnie mu wystarczało. Agat wstał i wrócił do Wattocka.

— Przewiąż mi to, dobrze? — poprosił. — Żeby przestało krwawić. No, co z tym Pilotsonem?

Rolery przyniosła płótno i plaster. Wattock kilkoma wprawnymi ruchami obandażował Agatowi rękę.

— Nie wiem, Alterro — powiedział. — Ghalowie muszą stosować trucizny, z którymi nasze antidota nie dają sobie rady. Próbowaliśmy już wszystkiego. Pilotson Alterra nie jest jedynym takim przypadkiem. Rany nie zamykają się, wdaje się opuchlizna. Spójrz na tego chłopca. Dokładnie to samo.

Chłopiec, szesnasto- czy siedemnastoletni partyzant z drużyny ulicznej, jęczał i miotał się jak w sennym koszmarze. Przebite włócznią udo nie krwawiło, ale rana wyglądała bardzo dziwnie, była gorąca w dotyku i na wszystkie strony biegły od niej pod skórą jakieś czerwone pręgi.

— Próbowaliście wszystkich odtrutek? — spytał Agat, odrywając wzrok od udręczonej twarzy chłopca.

— Wszystkich, Alterro. Powiem ci, że przypomina mi to tamtą ranę, którą ty sam odniosłeś wczesną Jesienią podczas polowania na kloisy. Pamiętasz? Może oni wyrabiają jakąś truciznę z krwi albo gruczołów kloisów. Może po jakimś czasie te rany same się zagoją tak jak twoja. Tak, to właśnie ta blizna… Kiedy był młodym chłopakiem, jak ten tutaj — wyjaśnił zwracając się do Seiko i Rolery — wszedł na drzewo za kloisem, który go nieźle podrapał. Zadrapania nie wyglądały zbyt groźnie, ale spuchły, zaogniły się i rozłożyły go na kilka dni. A potem same się wygoiły.

— Te się same nie wygoją — powiedziała cicho Rolery do Agata.

— Skąd wiesz?

— Przyglądałam się… zamawiaczce naszego rodu. Trochę się nauczyłam… Te pręgi, tu, na jego nodze — nazywają je ścieżkami śmierci.

— Czy to znaczy, że znasz tę truciznę, Rolery?

— Nie wydaje mi się, żeby to była trucizna. To się może zrobić przy każdej głębszej ranie. Nawet małej, jeśli nie krwawi albo się zabrudzi. To zły urok broni…

— Co za zabobon! — Przerwał jej gwałtownie stary nastawiacz.

— Na nas nie działają złe uroki, Rolery — wtrącił się pospiesznie Agat, odciągając ją obronnym gestem od zacietrzewionego starego lekarza. — My jesteśmy na nie…

— Ale na tego chłopca i Pilotsona Alterrę on działa! Patrz! — Podprowadziła go do jednego z rannych tewarczyków, pogodnego, niskiego mężczyzny w sile wieku, który z ochotą pokazał Agatowi miejsce, gdzie przedtem miał ucho, nim odrąbał mu je toporem jakiś ghal. Rana goiła się, ale nadal była opuchnięta, rozogniona, ciekła z niej jakaś wydzielina…

Agat odruchowo dotknął ręką własnej pulsującej, nie opatrzonej rany na głowie.

Wattock podszedł do nich spiesznym krokiem. Piorunując wzrokiem Bogu ducha winnego tubylca, powiedział: — To, co

miejscowe wify nazywają złym urokiem broni, to oczywiście infekcja bakteryjna. Uczyłeś się o niej jeszcze w szkole, Alterro. Ponieważ istoty ludzkie są w pełni odporne na zakażenie wszystkimi miejscowymi organizmami bakteryjnymi i wirusowymi, groźne dla nas są wyłącznie uszkodzenia ważnych dla życia organów, krwotoki i zatrucia substancjami chemicznymi, na które mamy odpowiednie antidota…

— Ale ten chłopiec umiera, Starszy — powiedziała Rolery cicho i nieustępliwie. — Jego rana nie została przed zaszyciem oczyszczona…

Stary lekarz zesztywniał z wściekłości.

— Wracaj do swoich! Nie będziesz mnie uczyła, jak się leczy ludzi!

— Dość tego — przerwał mu Agat. Cisza.

— Rolery — powiedział do swej żony — jeśli możesz się na chwilę stąd wyrwać, pomyślałem, że może poszlibyśmy… — chciał powiedzieć „do domu” — …może coś zjeść — dokończył enigmatycznie.

Nie jadła jeszcze obiadu; usiadł z nią w Sali Zgromadzenia i podziobał trochę w talerzu. Potem nałożyli podbite futrem płaszcze i przeszli razem przez nie oświetlony, smagany wichurą Rynek do Szkoły, gdzie do spółki z dwoma innymi parami zajmowali jedną z klas. Sypialnie w Starym Ratuszu były wygodniejsze, ale większość małżeństw, w których żona nie odeszła na Skałę, wolała choćby tę półprywatność, gdy przypadkiem nadarzała się okazja, żeby z niej skorzystać. Jedna z kobiet spała twardo za rzędem ławek, zwinięta w kłębek na własnej szubie. Przewrócone na bok stoły zasłaniały wybite okna, chroniąc przed kamieniami, strzałami i wiatrem. Agat i jego żona ułożyli sobie na gołej podłodze posłanie ze swych płaszczy. Nim pozwoliła mu zasnąć, zebrała z parapetu za oknem garść czystego śniegu i przemyła mu nim rany na głowie i ręku. Bardzo go to bolało, więc protestował gwałtownie, ze zmęczenia skory do gniewu, ale ona odparła łagodnie:

— Tak, tak, wiem, wiem, jesteś Alterrą, nigdy nie chorujesz… Ale to nie zaszkodzi, na pewno nie zaszkodzi…

Rozdział 13
Dzień ostatni

W zimnym mroku tego pokoju Agat mówił co chwila na głos przez niespokojny sen, a raz, kiedy i ona zasnęła, zaczął ją przyzywać jej imieniem z głębi swego snu, spoza otchłani bez światła, oddalając się od niej coraz bardziej i bardziej. Jego głos wyrwał ją z sennych marzeń i obudził. Było jeszcze ciemno.

Ranek wstał wcześniej niż zwykle, przez szpary wokół ustawionych pod oknami stołów wpadło pierwsze światło, kładąc się białymi smugami na suficie. Kobieta, którą zastali w klasie poprzedniego wieczoru, wciąż jeszcze odsypiała ogromne zmęczenie, ale małżeństwo, które dla uniknięcia przeciągów sypiało na jednym z biurek, już wstało. Agat usiadł, potoczył wokół oszołomionym spojrzeniem i powiedział swym ochrypłym głosem:

— Śnieżyca minęła… — Odsunąwszy trochę w bok jeden ze stołów, wyjrzeli na dwór i znów stanął im przed oczami świat: zdeptany Rynek, czapy śniegu na barykadach, fasady czterech wielkich budynków z zabitymi szczelnie okiennicami, ośnieżone dachy i przebłysk morza między nimi. Biało-błękitny świat, krystalicznie czysty, świat niebieskich cieni i oślepiająco białych plam wczesnego słońca na każdym wyższym punkcie, wzniesieniu i szczycie.

Było niezwykle pięknie; ale jednocześnie poczuli się tak, jakby chroniące ich do tej pory mury w ciągu tej nocy runęły.

Agat musiał myśleć o tym samym co ona, bo powiedział: — Lepiej wracajmy do Gmachu, nim dotrze do nich, że mogą po prostu wleźć na dachy i walić do nas jak do tarcz. — Możemy przechodzić z budynku do budynku piwnicami — podsunął ktoś z pozostałych.

— Tak będziemy robić — skinął głową Agat. — Ale barykady ktoś musi obstawiać…

Rolery zwlekała z wyjściem, dopóki nikogo już nie było w sali, po czym udało jej się nakłonić niecierpliwiącego się Agata, żeby jeszcze raz pozwolił obejrzeć sobie ranę na głowie. Było lepiej, a przynajmniej nie gorzej. Jego twarz nadal nosiła ślady pobicia przez jej rodaków, a i jej ręce pokrywały sińce i otarcia od kamieni i lin, jątrzące się od mrozu. Położyła te swoje poobijane ręce na jego poobijanej głowie i wybuchnęła śmiechem.

— Jak dwaj starzy, zaprawieni w bojach wojownicy — powiedziała. — Och, Jacobie Agacie, czy kiedy odejdziemy od krainy pod morzem, będziesz miał z powrotem swoje przednie zęby?

Spojrzał na nią, nie bardzo rozumiejąc, o czym mówi, i spróbował się uśmiechnąć, ale nic mu z tego nie wyszło. — A może farborni po

śmierci odchodzą do gwiazd, do tamtych innych światów? — powiedziała i śmiech zamarł jej na ustach.

— Nie — odparł wstając z podłogi. — Nie, zostajemy tutaj. Chodź, moja żono, trzeba iść.

Przy całej oślepiającej jasności, jaką zalewały świat słońce, niebo i śnieg, na dworze było tak mroźno, że oddychanie sprawiało ból. Spieszyli właśnie przez Rynek pod kolumnadę Gmachu Ligi, gdy usłyszeli za plecami jakiś hałas. Przystanęli gotowi w każdej chwili uskoczyć w bok i rzucić się do ucieczki, a Agat odbezpieczył strzałkówkę. W tej samej chwili zza barykady wyleciała łukiem z potwornym wrzaskiem jakaś dziwna postać, przekoziołkowała głową w dół i roztrzaskała się niecałe dwadzieścia stóp od nich — ghal z dwoma lancami sterczącymi mu spomiędzy żeber. Wartownicy na barykadzie wybałuszyli oczy i natychmiast podnieśli alarm, a strzelcy zaczęli w pośpiechu ładować swoje kusze, spoglądając nerwowo na mężczyznę, który krzyczał coś do nich z górnego piętra wschodniej części budynku tuż obok. Martwy ghal leżał w zbryzganym krwią, zdeptanym śniegu, w błękitnym cieniu barykady.

Jeden z obrońców podbiegł do Agata, wołając: — Alterro, to musi być sygnał do ataku!

— Nie — przerwał mu jakiś inny mężczyzna, wypadając z drzwi Szkoły. — Ja to widziałem! Widziałem, jak go goniło! Dlatego właśnie tak potwornie wrzeszczał…

— To? To znaczy co? Czy on tak sam, w pojedynkę, rzucił się na barykadę?

— On uciekał! Uciekał przed tym czymś! Próbował ratować życie! A wy tam, na barykadzie, nic nie widzieliście? Nic dziwnego, że tak się darł. To było białe, biegło jak człowiek, a kark miało… wielki Boże, o, taki! Wypadło za nim zza rogu, a potem zawróciło.

— Śniegołak — powiedział Agat i spojrzał na Rolery, szukając potwierdzenia. Rolery słyszała opowieści Wolda; skinęła głową.

— Biały, wielki i łeb mu chodzi na boki, o tak… — powiedziała, naśladując przerażający naśladowczy gest Wolda, na co mężczyzna, który widział to coś z okna, zawołał: — Dokładnie!

Agat wdrapał się na barykadę, chcąc sprawdzić, czy nie uda mu się zobaczyć bestii na własne oczy. Rolery została na dole, przyglądając się zabitemu, którego widok śniegołaka przeraził do tego stopnia, że próbował ucieczki wprost na lance wroga. Nie widziała jeszcze ghala z tak bliska, bo cały czas pracowała pod ziemią, przy rannych, a żadnych jeńców nie wzięto. Był niski i szczupły, natarty tłuszczem, aż skóra, jaśniejsza niż jej własna, błyszczała mu jak połeć słoniny; w sklejonych jakąś mazią włosach tkwiło kilka czerwonych piór. Źle ubrany, w podartym filcowym łachmanie za całe odzienie, leżał z rozrzuconymi rękami, tam gdzie spotkała go nagła śmierć, z

twarzą wtuloną w śnieg, jakby wciąż jeszcze próbował się ukryć przed białą bestią, która go goniła.

Rolery stanęła przed nim bez ruchu w jasnym, lodowatym cieniu barykady.

— Tam! — usłyszała nad głową krzyk Agata, wysoko na stromej wewnętrznej ścianie muru usypanego z bruku i skał z nadmorskiego urwiska. Zbiegł do niej z błyszczącymi oczyma i pociągnął ją szybko za sobą do Gmachu Ligi. — Mignął mi przed oczyma, kiedy przebiegał na drugą stronę ulicy Otake. Biegł i kołysał łbem w naszą stronę. Czy one polują w stadach?

Tego nie wiedziała; jedyne, co słyszała, to opowieść Wolda o tym, jak to sam, w pojedynkę, zabił śniegołaka w legendarnych śniegach zeszłej Zimy. Obwieścili nowinę i ponowili to pytanie w zatłoczonej jadalni. Umaksuman twierdził stanowczo, że śniegołaki często zbierają się w stada, ale farborni nie dowierzali słowu wifa i pobiegli to sprawdzić w swoich księgach. Ta, którą przynieśli, powiadała, że śnieżne bestie widziano po pierwszej wielkiej zawiei Dziewiątej Zimy grasujące w stadach po dwanaście, piętnaście sztuk.

— W jaki sposób te wasze księgi mówią? Nie wydają przecież żadnych dźwięków. Czy w myślach, tak jak ty przemawiasz do mnie?

Agat podniósł wzrok. Siedzieli przy jednym z długich stołów w Sali Zgromadzenia, pili gorącą, rzadką zupę z trawy, którą farborni tak lubili — ti, jak ją nazywali.

— Nie… To znaczy, trochę właśnie tak. Słuchaj, Rolery, za chwilę wychodzę. Wróć do szpitala. Nie zwracaj uwagi na humory Wattocka. Jest już stary i do tego przemęczony. Ale to bardzo mądry człowiek. Nie przechodź przez Rynek; jeśli będziesz musiała przedostać się do innego budynku — korzystaj z tuneli. Tu łucznicy ghalów, tam te śnieżne stwory… — Wydał z siebie coś w rodzaju śmiechu. — Ciekawe, co jeszcze nas czeka.

— Jacobie Agacie, chciałam cię o coś spytać.

Przez cały krótki okres ich znajomości nigdy nie była pewna, z ilu części składa się jego imię i których z nich powinna używać.

— Ja ciebie słucham — powiedział najzupełniej poważnie. — Dlaczego nie przemówicie do ghalów? Dlaczego nie każecie im, żeby… sobie poszli? Tak jak ty, tam na piaskach, kazałeś mi biec do Skały. Tak jak wasz pasterz kazał haynnom…

— Ludzie to nie haynny — odparł krótko; uzmysłowiła sobie, że ze wszystkich farbornów tylko on jeden mówił i o swoich, i o tewarczykach, i o ghalach „ludzie”.

— Ale przecież ta stara Pasfal słuchała ghalów, kiedy ich wielka armia odeszła na południe.

— Owszem. Ludzie, którzy mają ten dar, po odpowiednim treningu potrafią słyszeć czyjeś myśli, nawet na znaczną odległość i

bez wiedzy tego kogoś. To trochę tak, jak kiedy się jest w tłumie — człowiek bez słów wyczuwa strach czy radość innych. Słuchanie myśli to oczywiście coś więcej, ale także odbywa się bez słów. Natomiast przemawianie, odbieranie mowy myśli, to zupełnie inna sprawa. Niewyszkolony umysł, gdyby do niego przemówić, zatrzaśnie się przed tym, jeszcze nim się zorientuje, że w ogóle cokolwiek słyszał. Zwłaszcza jeśli to, co słyszy jest sprzeczne z tym, czego sam chce lub w co sam wierzy. Istoty niekomunikatywne mają zazwyczaj znakomite bariery obronne. Do tego stopnia, że nauka parawerbalnego porozumiewania się polega głównie na wytrenowaniu metod przełamywania swoich własnych barier.

— A co ze zwierzętami? Mówiłeś przecież, że one też słyszą.

— Do pewnego stopnia. To także odbywa się bez słów. Są ludzie, którzy posiadają zdolność nadawania do zwierząt. To bardzo przydatne przy polowaniu, spędzaniu stad. Chyba wiesz, że myśliwi farbornów zawsze mają szczęście.

— Wiem, dlatego właśnie nazywamy was magami. Ale czy to znaczy, że ja jestem jak haynna? Przecież cię słyszałam. — Tak. I przemówiłaś do mnie — raz, w moim domu…

To się czasami zdarza, że między dwojgiem ludzi znikają wszelkie mury, wszelkie bariery obronne. — Dopił swojej ti i spojrzał w zamyśleniu na rysunek słońca i wysadzanych klejnotami światów po przeciwnej stronie sali. — A kiedy to się zdarzy — powiedział po chwili — to muszą się oni kochać. Po prostu muszą… Nie mogę nadać ghalom swego strachu czy nienawiści, bo oni w ogóle by mnie nie usłyszeli. Ale gdybym je wysłał tobie, Rolery, to bym cię tym zabił. A ty mnie…

W tym momencie przybiegli po niego z Rynku i musiał ją zostawić. Zeszła do szpitala, żeby zająć się rannymi tewarczykami, co należało do jej obowiązków, a także pomóc umrzeć rannemu farbornskiemu chłopcu; to była straszna śmierć, konał cały dzień. Stary nastawiacz kości pozwolił jej się nim opiekować, rozgoryczony i wściekły, że cała jego wiedza na nic się nie zdała.

— My, ludzie, nie umieramy waszą paskudną śmiercią! — wybuchnął w pewnej chwili. — Ten chłopak musi mieć jakąś wrodzoną wadę krwi!

Rolery nie zwracała na niego uwagi, tak jak i ranny chłopiec, który umarł w męczarniach, ściskając ją kurczowo za rękę.

Przez cały dzień do wielkiej, cichej sali znoszono nowych rannych, po jednym, czasami po dwóch. Tylko po tym orientowali się, że tam, na górze, na zalanych słońcem śniegach musi toczyć się zażarta walka. Jednym z rannych był Umaksuman, nieprzytomny po trafieniu kamieniem z procy ghala. Leżał tak dostojny i mocarny, że Rolery popatrzyła na niego z dumą — oto prawdziwy wojownik, jej

brat. W pierwszej chwili sądziła, że jest o krok od śmierci, ale już wkrótce usiadł na posłaniu, potrząsnął głową i wstał. — Skąd ja się tu wziąłem? — spytał tubalnym głosem, a Rolery omal nie wybuchnęła śmiechem, nim mu odpowiedziała. Ród Wolda to twarde sztuki. To właśnie od Umaksumana dowiedziała się, że ghalowie przystąpili do ataku na wszystkie barykady naraz, nieprzerwanego szturmu, takiego jak tamten na Bramę Lądową, kiedy to wszyscy jednocześnie próbowali się wedrzeć na mury włażąc sobie nawzajem na plecy.

— To strasznie głupi wojownicy — powiedział rozcierając sobie wielki guz nad prawym uchem. — Gdyby obsiedli dachy wokół Rynku i przyłożyli się do łuków i kusz, to po tygodniu nie mielibyśmy kim obsadzić barykad. Ale oni potrafią tylko pędzić całą kupą i wyć, jakby ich kto obdzierał ze skóry… — Jeszcze raz potarł głowę, spytał: — Gdzie moja włócznia? — i poszedł walczyć dalej.

Zabitych nie znoszono na dół, lecz umieszczano ich w otwartej szopie na Rynku do czasu, kiedy będzie można ich spalić. Gdyby Agat zginął, w ogóle by się o tym nie dowiedziała. Kiedy noszowi schodzili z nowym pacjentem, spoglądała na nich z iskierką nadziei — jeśli rannym byłby Agat, znaczyłoby to przynajmniej, że żyje. Ale za każdym razem był to ktoś inny. Zastanawiała się, czy gdyby go zabili, zdążyłby przed śmiercią zawołać do niej w myślach i czy to wołanie by ją zabiło.

Pod wieczór tego ciągnącego się w nieskończoność dnia przyniesiono starą Allę Pasfal. Wraz z kilkoma innymi starymi farbornami i farbornkami zażądała przydzielenia do niebezpiecznego zajęcia, do noszenia broni obrońcom barykad, co oznaczało konieczność biegania przez Rynek bez żadnej osłony przed ogniem wroga. Lanca ghala trafiła ją z boku w szyję i przebiła ją na wylot. Wattock niewiele mógł dla niej zrobić. Mała, czarna i stara, umierała samotnie pośród młodych mężczyzn. Napotkawszy jej spojrzenie, Rolery podeszła do niej z misą pełną krwawych wymiocin. Stare oczy wpatrywały się w nią z napięciem, twarde, mroczne i pozbawione głębi — jak skała. I Rolery spojrzała prosto w te oczy, choć nie było to w zwyczaju jej rasy.

Z obandażowanego gardła dobył się charkot, wargi poruszyły się bezsilnie.

Przełamać własne bariery…

— Ja ciebie słucham — wypowiedziała drżącym głosem zwyczajową formułkę.

„Oni odejdą — rozległ się w jej myślach głos Alli Pasfal, wycieńczony i słaby. — Będą próbowali dogonić główną armię, która odeszła na południe. Boją się nas, boją się śniegołaków, boją się domów i ulic. Są przerażeni, odejdą po tym ataku. Powtórz to Jacobowi. Słyszę ich, słyszę ich… Powiedz Jacobowi, że oni odejdą…

jutro…”

— Powiem mu — odparła Rolery i wybuchnęła płaczem. Umierająca stara kobieta wpatrywała się w nią bez słowa i bez ruchu, oczami jak czarne kamienie.

Rolery wróciła do swojej pracy, bo ranni potrzebowali opieki, a Wattock nie miał żadnego innego pomocnika. A poza tym, jaki sens miałoby szukanie Agata tam, na górze, w zgiełku i wrzawie, pośród zakrwawionych śniegów, by powtórzyć mu, nim zostanie zabity, że jakaś obłąkana stara kobieta powiedziała tuż przed śmiercią, że przeżyją.

Zabrała się do roboty z twarzą wciąż jeszcze mokrą od łez. Jeden z farbornów, ciężko ranny, ale cierpiący już znacznie mniej po cudownym lekarstwie Wattocka, maleńkiej kulce, po połknięciu której ból zmniejszał się lub w ogóle ustępował, spytał: — Dlaczego płaczesz? — pytał sennie, z zaciekawieniem, jak pytają się nawzajem dzieci. — Nie wiem — odparła Rolery. — Śpij już. — A jednak wiedziała, dlaczego płacze, choć tylko mgliście; dlatego, że promień nadziei przedzierający się przez rezygnację, w której żyła od tylu dni, okazał się nieznośnie bolesny, a ból, jako że była tylko kobietą, wyciskał jej z oczu łzy.

Tu, na dole, nie sposób było to wiedzieć na pewno, ale dzień musiał się chylić ku końcowi, bo Seiko Esmit przyniosła na tacy gorący posiłek dla Rolery, Wattocka i tych rannych, którzy mogli jeść. Zaczekała, żeby zabrać z powrotem miski, więc Rolery powiedziała jej, że stara Pasfal Alterra nie żyje.

Seiko skinęła tylko głową. Na jej twarzy malowało się ogromne napięcie, wyglądała bardzo dziwnie.

— Strzelają żagwiami — powiedziała podniesionym głosem — i rzucają z dachów płonące deski. Nie mogą sforsować barykad, więc chcą spalić budynki i wszystkie nasze zapasy, żebyśmy wymarli na mrozie z głodu. Jeśli Ratusz się zajmie, to znajdziecie się tu w pułapce. Spłoniecie żywcem.

Rolery zabrała się do jedzenia i nic nie odpowiedziała.

Gorący bhan doprawiono sosem z mięsa i siekanymi ziołami. Farborni nawet podczas oblężenia gotowali lepiej niż oni w najlepszym okresie jesiennej obfitości. Zjadła całą swoją porcję, pół porcji, które zostawił jeden z rannych, wyskrobała resztki z kilku innych misek i odniosła tacę Seiko, żałując, że to już wszystko.

Bardzo długo nie pojawiał się nikt więcej. Ranni spali, pojękując przez sen. Było ciepło; gorące powietrze z płonącego gazu biło w górę przez ruszty ogrzewając dużą salę przyjemniej niż ognisko namiotu. Poprzez oddechy śpiących dochodziło ją czasami cichutkie tykanie okrągłych przedmiotów na ścianach; i po nich, i po szklanych szafkach, i po wysokich rzędach ksiąg pełgały złote i brązowe odblaski

płonących równo języczków gazu.

— Dałaś mu środek przeciwbólowy? — spytał szeptem Wattock. Wzruszyła ramionami na potwierdzenie i wstała z podłogi od jednego z rannych. Siadając obok niej przy stole służącym im do cięcia bandaży, stary nastawiacz kości wyglądał jakby mu przybyło pół Roku. Rolery uważała, że jest wspaniałym lekarzem. Żeby dać mu choć na chwilę zapomnieć o zmęczeniu i osłodzić mu gorycz zniechęcenia, spytała:

— Starszy, jeśli to nie od złego uroku broni gniją rany, to od czego?

— Och, to przez takie małe stworzonka. Tak maleńkie, że wcale ich nie widać. Mógłbym ci je pokazać tylko przez specjalne szkło, takie jak to w gablocie pod ścianą. Te stworzonka żyją prawie wszędzie — na broni, w powietrzu, na skórze. Jeśli dostaną się do krwi, organizm z nimi walczy i to właśnie ta walka wywołuje opuchliznę, zaczerwienienie i tak dalej. Tak powiadają księgi. Mnie jako lekarza nigdy to nic nie obchodziło.

— A dlaczego te stworzonka nie gryzą farbornów?

— Bo nie lubią cudzoziemców — odparł Wattock i prychnął śmiechem z tego swego małego dowcipu. — Musisz chyba wiedzieć, że jesteśmy cudzoziemcami. Bez zażywania co jakiś czas dawki pewnych enzymoidów nie trawilibyśmy nawet tutejszej żywności. Nasza struktura chemiczna różni się odrobinę od lokalnego wzorca organicznego, co ujawnia się w cytoplazmie… Nie wiesz, co to znaczy? Znaczy to, że jesteśmy zrobieni z nieco innego materiału niż wy.

— I dlatego macie ciemną skórę, a my jasną?

— Nie, to nie ma żadnego znaczenia. To zupełnie powierzchowne wariacje — kolor skóry, budowa oka i tak dalej. Nie, różnica występuje na niższym poziomie i jest bardzo mała — jedna molekuła w łańcuchu dziedziczności. — Wattock zapalił się i rozsmakował w swoim wykładzie. — To oznacza, że nie odbiegacie zbytnio od Ogólnego Typu Humanoidalnego. Tak napisali pierwsi koloniści, a oni wiedzieli. Ale różnica ta powoduje, że nasze organizmy nie mogą trawić miejscowego pożywienia organicznego bez specjalnej pomocy, że jesteśmy odporni na wasze wirusy… Choć szczerze mówiąc, z tymi enzymoidami to lekka przesada. Zwykła chęć wiernego naśladowania Pierwszego Pokolenia. A po części zwykły zabobon. Sam na własne oczy widziałem ludzi powracających z długich wypraw myśliwskich czy też uchodźców z Atlantiki zeszłej Wiosny, którzy nie brali zastrzyków ani pastylek z enzymoidami przez dwa i trzy cykle księżyca i nie mieli żadnych kłopotów z trawieniem. W końcu życie wykazuje zdolności adaptacyjne. — Wypowiedziawszy te słowa, zmienił się nagle przedziwnie na twarzy i spojrzał na nią szeroko

otwartymi oczyma. Rolery ogarnęło poczucie winy, bo nie rozumiała ani słowa z tego, co jej tłumaczył; żadne z kluczowych słów nie pochodziło z jej języka.

— Co życie wykazuje? — spytała nieśmiało.

— Zdolności adaptacyjne. Przystosowuje się. Reaguje. Zmienia! Przy odpowiedniej presji konieczności i odpowiedniej liczbie pokoleń zaczyna dominować forma o korzystniejszych zmianach dostosowawczych. Czy promieniowanie słoneczne może na dłuższą metę działać w kierunku dopasowania struktur biochemicznych do miejscowej normy?… W takim razie wszystkie poronienia i martwe porody byłyby wynikiem nadmiernej adaptacji albo niezgodności między matką a przystosowanym płodem… — Przestał wymachiwać nożycami do cięcia bandaży i pochylił się ponownie nad robotą, ale już w następnej chwili podniósł głowę i wpatrując się na powrót gdzieś przed siebie niewidzącym spojrzeniem, mruknął: — Dziwne, dziwne, bardzo dziwne… Czy wiesz, co z tego wszystkiego wynika? Że krzyżowe zapłodnienie może być jednak możliwe.

— Słucham cię jeszcze raz — szepnęła Rolery. — Że ludzie i wify mogę mieć ze sobą dzieci!

To wreszcie zrozumiała, ale nie wiedziała, czy Wattock stwierdza fakt, czy też tylko wyraża swoje nadzieje, a może obawy.

— Starszy, jestem za głupia, żeby cię usłyszeć — powiedziała.

— Rozumiesz go zupełnie dobrze — odezwał się tuż obok nich słaby głos. Pilotson Alterra odzyskał przytomność. — Więc uważasz Wattock, że w końcu zmieniliśmy się w takich jak oni? — Dźwignął się ciężko na łokciu, oczy pałały mu w wymizerowanej, rozpalonej gorączką twarzy.

— Jeśli ty i inni macie zainfekowane rany, to ten fakt trzeba jakoś wytłumaczyć.

— Niech piekło pochłonie takie przystosowanie! Niech pochłonie krzyżowe zapłodnienia i rodzenie dzieci! — zawołał ranny, patrząc na Rolery. — Dopóki sami się płodziliśmy, każdy z nas był Człowiekiem, Wygnańcem, Alterrą, istotą ludzką. Pozostawaliśmy wierni wiedzy i Prawom Ludzi. Jeśli zaczniemy się krzyżować z wifami, przed upływem Roku kropla naszej ludzkiej krwi rozpłynie się i zupełnie zaginie. Rozrzedzona, rozcieńczona tak, że nie pozostanie po niej nawet śladu. Nie będzie komu nastawiać tych instrumentów, nie będzie komu czytać tych ksiąg. Wnukowie Jacoba Agata będą siadać w kucki, walić kamieniem o kamień i wyć do siebie po kres dziejów… Niech was piekło pochłonie, głupi barbarzyńcy! Czy nie możecie nas zostawić samych?! Samych!!!

Dygotał z gorączki i wściekłości. Stary Wattock pomajstrował coś przy jednej ze swoich wydrążonych strzałek, napełnił ją, sięgnął wprawnym ruchem lekarza i wbił ją biednemu Pilotsonowi w ramię.

— Połóż się, Huru — powiedział, a ranny usłuchał z wyrazem oszołomienia na twarzy.

— Mogę sobie umrzeć na te wasze cuchnące infekcje — wychrypiał z coraz większym trudem. — Ale wasze cuchnące bękarty… Trzymajcie je z daleka ode mnie… trzymajcie je z daleka… od miasta…

— To go na jakiś czas uspokoi — powiedział Wattock i westchnął. Zapadł w milczenie, a Rolery wzięła się do cięcia bandaży. Szło jej to zręcznie i szybko. Stary lekarz przyglądał się jej z zadumą.

Kiedy po jakimś czasie oderwała się od pracy, żeby rozprostować plecy, zobaczyła, że on także zasnął — ciemna kupka skóry i kości skulona w rogu za stołem. Zabrała się z powrotem do bandaży, zastanawiając się, czy dobrze zrozumiała to, co mówił i czy mówił to poważnie-że będzie mogła urodzić Agatowi syna.

Zupełnie zapomniała, że przecież Agat może już w ogóle nie żyć. Siedziała tam pośród snu rannych mężczyzn, pod zrujnowanym miastem śmierci i dumała bez słów nad szansą życia.

Rozdział 14
Dzień pierwszy

Z nadejściem nocy chwycił jeszcze większy mróz. Nadtopiony w słońcu śnieg zamarzł na śliską lodową skorupę. Ukryci na pobliskich dachach i strychach ghalowie prowadzili swój ostrzał maczanymi w smole strzałami, które szybowały łukiem w zapadającym zmroku niby czerwono-złote ptaki ognia. Dachy czterech obleganych budynków były z miedzi, ich ściany z kamienia. Żaden nie dał się podpalić. Ataki na barykady ustały, przestano zasypywać je gradem żelaznych i ognistych strzał. Ze szczytu jednej z nich Jacob Agat lustrował wzrokiem opustoszałe, pogrążone w ciemności ulice opadające w dół między ciemnymi domami.

Z początku na Rynku spodziewano się nocnego ataku, bo ghalowie wyraźnie gotowi byli na wszystko, ale z chwili na chwilę robiło się zimniej, coraz zimniej. W końcu Agat rozkazał pozostawić na stanowiskach tylko minimalną obsadę wartowników i puścił całą resztę, żeby opatrzyli sobie rany, zjedli coś i odpoczęli. Skoro oni byli zupełnie wyczerpani, to i ghalowie musieli mieć dosyć, zwłaszcza że ludzie mieli chroniące przed mrozem ubrania, a oni nie. Nawet największa desperacja nie mogła ich wygnać na dwór, pod to straszliwie wygwieżdżone, krystalicznie czyste niebo, jedynie w strzępach filcu i skór. Tak więc obrońcy udali się na spoczynek, niektórzy na swoich stanowiskach, skuleni pod ścianami i oknami domów, przy ogniskach roznieconych w wysokich kamiennych salach; a ich zabici spoczywali sztywno na oblodzonym śniegu u podnóża barykad.

Agatowi nie chciało się spać. Nie mógł wejść do wnętrza budynku, nie mógł opuścić Rynku, na którym przez cały długi dzień walczyli o życie, a który leżał teraz taki cichy pod zimowymi konstelacjami. Drzewo, Strzała, pięciogwiazdowy Tor i sama Gwiazda Śniegu, jarząca się jaskrawo nad dachami na wschodzie — gwiazdy Zimy. Skrzyły się w głębokiej, mroźnej czerni nad głowami jak kryształy.

Czuł, że to ostatnia noc-może jego własna, może miasta, może ostatnia noc oblężenia; tego już nie wiedział. Gdy godziny płynęły jedna za drugą, Gwiazda Śniegu pięła się coraz wyżej na niebo, a ciszy Rynku i sąsiednich ulic nie mącił najdrobniejszy odgłos. Zaczęło go ogarniać coś w rodzaju radosnego uniesienia. Wszyscy wrogowie w murach tego miasta spali, a on czuł się tak, jakby tylko on jeden czuwał, jakby całe to miasto ze wszystkimi śpiącymi i zmarłymi należało wyłącznie do niego. To była jego noc.

Nie miał zamiaru spędzić jej w potrzasku wewnątrz Rynku. Rzuciwszy słowo do sennego wartownika, wdrapał się na barykadę na ulicy Esmita i zeskoczył na ziemię po jej drugiej stronie. — Alterro! — zawołał za nim ktoś ochrypłym szeptem, ale Agat odwrócił się tylko, pokazał na migi, że mają przygotować linę, po której mógłby się wspiąć z powrotem, i ruszył przed siebie samym środkiem ulicy. Miał tak niezachwiane poczucie własnej nietykalności, że każde wahanie musiałoby przynieść pecha. Zawierzył mu i ruszył ciemną ulicą pomiędzy swych wrogów, jakby wybierał się na poobiedni spacer.

Minął zaułek prowadzący do jego domu, ale nie skręcił w bok. Gwiazdy znikały zaćmiewane czarnymi szczytami domów i znów się pojawiały; ich odbicia skrzyły się w gładkim lodzie pod stopami. W pobliżu górnego końca miasta uliczka zwężała się, zataczała lekki łuk między domami opuszczonymi jeszcze przed narodzinami Agata, po czym wypadała nagle na niewielki placyk przed Bramą Lądową.

Wciąż jeszcze stały na nim wielkie katapulty, częściowo rozbite i rozszabrowane przez ghalów na opał, a przy każdej z nich leżała sterta kamiennych pocisków. Samą wysoką bramę po otwarciu znów zaryglowano potężnymi sztabami, które zamarzły teraz na mur. Wszedł po schodach jednej z wieżyczek bramy na platformę na szczycie muru. Pamiętał, jak z tej właśnie platformy, tuż przed nadejściem śnieżycy, obserwował całą armię ghalów, ryczący przypływ ludzi, jak ten na piaskach koło Skały. Gdyby mieli więcej drabin, wszystko skończyłoby się tamtego pierwszego dnia… Teraz nic się tam nie poruszało, nie dobiegał stamtąd najdrobniejszy szelest. Był tylko śnieg, cisza i poświata gwiazd na zboczach wzgórz zwieńczonych koroną martwych, oblodzonych drzew.

Przeniósł wzrok na drugą stronę, na Miasto Wygnania. Miał je całe przed sobą jak na dłoni — maleńkie skupisko dachów opadających w niełądzie od miejsca, gdzie stał, do murów na krawędzi nadmorskiego urwiska. Ponad tą garstką kamienia sunęły z wolna na zachód gwiazdy. Usiadł bez ruchu, zziębnięty mimo grubej futrzanej odzieży, i zaczął pogwizdywać cichutko jakąś skoczną melodię.

W końcu poczuł, że opuszcza go zmęczenie po całym ciężkim dniu i ruszył w dół ze swego posterunku. Schody były zupełnie oblodzone. Pośliznął się na przedostatnim stopniu i stracił równowagę; broniąc się przed upadkiem przytrzymał się szorstkiej ściany muru i w tej samej chwili dostrzegł kątem oka jakiś ruch po przeciwnej stronie placyku przed bramą.

W czarnej czeluści ulicy między dwoma domami poruszało się coś białego, kołysało się lekko jak fala widziana w ciemności. Agat otworzył szeroko oczy ze zdumienia. I wtedy to coś wybiegło w mętną, szarą poświatę gwiazd — wysokie, chude i białe pędziło ku niemu z szybkością człowieka, kołysząc lekko z boku na bok wielkim

łbem na długiej, wygiętej szyi. Biegnąc wydawało z siebie ni to pomruk, ni to ciche popiskiwanie.

Strzałkówki ani na chwilę nie wypuszczał z ręki, ale ręka zdrętwiała mu od rany, którą odniósł poprzedniego dnia, a rękawica krępowała ruchy. Strzelił i trafił, ale bestia już go dopadła, już sięgała krótkimi łapami o ostrych pazurach, już wysunęła do przodu rozkołysany łeb z rozwartą szeroko paszczą o potężnych zębach. Agat rzucił się na ziemię, próbując zbić monstrum z nóg i umknąć przed pierwszym ciosem tej kłapiącej paszczy, ale potwór był szybszy. W tym samym momencie, w którym Agat padał na ziemię, dokonał błyskawicznego skrętu całego ciała i chwycił go pazurami na pozór słabych przednich łap. Jednym szarpnięciem rozdarł wszystkie warstwy grubej skórzanej odzieży Agata i przyszpilił go do ziemi. Agat poczuł, jak straszliwa siła wygina go do tyłu, obnażając mu gardło; zdążył jeszcze ujrzeć gwiazdy wirujące na niebie wysoko ponad głową i stracił przytomność.

Kiedy ją odzyskał, na oblodzonych kamiennych płytach tuż obok siebie zobaczył wielki kłąb cuchnącego futra wijącego się w konwulsyjnych drgawkach. Dźwignął się powoli na czworakach. Tylko pięciu sekund potrzebowała trucizna, którą nasączono czubek strzałki, żeby zadziałać, i mało brakowało, a byłoby to o sekundę za długo. Okrągła paszcza nadal otwierała się i zatrzaskiwała, tylne łapy o płaskich, szerokich stopach, ułatwiających chodzenie po śniegu, wierzgały, jakby śniegołak nadal biegł. „Śniegołaki polują w stadach!” — odezwała się nagle alarmowym dzwonkiem pamięć, kiedy wstał, próbując złapać oddech i odzyskać zimną krew. „Śniegołaki polują w stadach…” Niezdarnie, ale starannie, załadował ponownie strzałkówkę i trzymając ją w pogotowiu, ruszył z powrotem ulicą Esmita. Nie biegiem, w obawie, żeby się nie pośliznąć, ale już nie spacerkiem. Ulica nadal była zupełnie pusta i idealnie spokojna, lecz tym razem wydała mu się bardzo długa. Dochodząc do barykady znów pogwizdywał.

Spał jak zabity w swojej klasie w Szkole, kiedy nadbiegł młody Szevik, najlepszy łucznik w mieście, i zaczął go tarmosić szepcąc gorączkowo: — Wstawaj, Alterro, no, obudź się, wstawaj, musisz zaraz tam iść… — Rolery nie przyszła na noc do Szkoły, pozostali współlokatorzy pogrążeni byli we śnie.

— O co chodzi? Co się stało? — wymamrotał Agat, zerwawszy się już na równe nogi i próbując wcisnąć na siebie podartą szubę.

— Musisz natychmiast iść na wieżę — odparł Szevik, nie wyjaśniając niczego więcej.

Agat ruszył za nim, z początku potulnie, oszołomiony snem, aż wreszcie rozbudził się zupełnie i coś mu zaczęło świtać w głowie. Przeszli na drugą stronę Rynku, szarzejącego w pierwszych zorzach

brzasku, wbiegli po kręconych schodach na wieżę Gmachu Ligi i spojrzeli z góry na miasto. Brama Lądowa była otwarta na oścież.

Ghalowie tłoczyli się do niej od wewnątrz i opuszczali Landin.

W tej szarówce przed świtaniem ledwie ich było widać. Z wieży wydawało się, że jest ich około tysiąca, może dwóch, ale ilu dokładnie — nikt nie wiedział. Byli tylko ciemnymi plamkami ruchu kłębiącymi się na śniegu pod murami. Wyciekali za bramę większymi i mniejszymi grupkami, jeden po drugim znikali pod murami, by pojawić się ponownie dopiero dużo dalej, na zboczu pierwszego Wzgórza, długą, postrzępioną nitką sunącą truchtem na południe. Nim odsadzili się od miasta na większą odległość, skryła ich ciemność przedświtania i fałdy Wzgórz; ale Agat nie przestawał patrzyć w ślad za nimi nawet wówczas, gdy cały wschód rozjarzył się już brzaskiem i chłodny blask wschodzącego słońca sięgnął połowy nieba.

Domy i strome uliczki miasta tchnęły w świetle poranka niezwykłym spokojem.

Ktoś zaczął bić w dzwon wiszący tam, na tej wieży, tuż nad ich głowami. Jednostajne, huczące dudnienie brązu uderzanego o brąz ogłuszało, siało zamęt w głowie. Przyciskając ręce do uszu, rzucili się biegiem w dół schodów i w połowie drogi napotkali grupę kobiet i mężczyzn wbiegających na wieżę. Wszyscy wybuchnęli śmiechem, zaczęli wołać za Agatem, próbowali go dogonić, ale on pędził dalej w dół rozkołysanych schodów i gnany radosnym uniesieniem bijącego dzwonu wpadł do Gmachu Ligi. W wielkiej, zatłoczonej, przepełnionej zgiełkiem sali, gdzie złote słońca kołysały się na ścianach, a złote zegary odmierzały czas kolejnych Lat, zaczął gorączkowo rozglądać się za tą obcą, nieznaną, nieznajomą — swoją żoną. W końcu znalazł ją, chwycił za ręce i zawołał: — Odeszli, odeszli, odeszli…

Dopiero wtedy odwrócił się i huknął co sił w płucach do wszystkich pozostałych: — Odeszli!!!

Odpowiedziała mu ogólna wrzawa, wszyscy zaczęli krzyczeć naraz, do niego i do siebie nawzajem, wybuchając śmiechem i płaczem.

— Chodź, idziemy do Skały — powiedział po chwili. Rozpierała go taka radość, był nią tak oszołomiony, że nie mógł usiedzieć na miejscu, musiał iść, pędzić przed siebie, pobiec do miasta, upewnić się, że naprawdę znów należy do nich. Byli pierwsi, przed nimi jeszcze nikt nie opuścił Rynku. Przechodząc przez zachodnią barykadę, Agat wyciągnął strzałkówkę.

— Miałem wczoraj w nocy przygodę — powiedział do Rolery.

— Wiem — odparła, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w rozdarcie jego szuby.

— Zabiłem go.

— Śniegołaka?

— Aha.

— W pojedynkę?

— Tak. Na szczęście on także był sam.

Powaga, jaka pojawiła się na jej twarzy, sprawiła mu taką radość, że patrząc, jak drobi nogami, nie mogąc za nim nadążyć, roześmiał się na cały głos.

Wyszli na wiadukt zawieszony na mroźnym wietrze między jasnym niebem a ciemną, spienioną wodą.

Wieści zostały już oczywiście przekazane sygnałem dzwonu i mową myśli, toteż zwodzony most opadł natychmiast, gdy tylko Agat postawił stopę na wiadukcie. Na spotkanie wybiegł im tłum mężczyzn, kobiet i małych, zaspanych, okutanych w futra dzieci i znów rozległy się okrzyki, posypały się pytania, znów wszyscy rzucili się sobie w objęcia.

W tyle za kobietami z Landinu pojawiły się kobiety z Towaru, zbite w gromadkę, wylęknione, nie okazujące żadnej radości. Agat zobaczył, że Rolery podchodzi do jednej z nich, młodej kobiety o zmierzwionych włosach i twarzy aż lepiącej się od brudu. Prawie wszystkie przycięły krótko włosy, były zupełnie rozczochrane i nawet mężczyźni wifów, którzy pozostali na Skale, wyglądali dziwnie niechlujnie. Zdegustowany tą brudną plamą na nieskazitelnie jasnym poranku zwycięstwa, Agat zwrócił się do Umaksumana, który zjawił się w ślad za nim, żeby zebrać swoich współplemieńców. Stali na zwodzonym moście, pod litą ścianą czarnego fortu. Wifowie otoczyli ciasnym wianuszkiem Umaksumana, więc Agat podniósł głos, żeby wszyscy mogli go słyszeć.

— Mężowie Towaru bronili naszych murów ramię w ramię z Mężami Landinu. Mogą je dziś opuścić, lecz z radością ujrzymy, że w nich pozostają; mogą zamieszkać z nami albo odejść-wedle swojej woli. Bramy mojego miasta będą stały dla nich otworem przez całą Zimę.

— Ja ciebie słyszałem — odparł Umaksuman, pochyliwszy jasnowłosą głowę.

— Ale gdzie jest Najstarszy? Gdzie jest Wold? Chciałem mu powiedzieć…

I w tym momencie zrozumiał nagle, co oznaczają te natarte popiołem twarze, te obcięte i potargane włosy. To była żałoba. Kiedy to pojął, przed oczyma stanął mu zastęp jego własnych zabitych, przyjaciół, krewnych, rodaków — i w jednej chwili opuściła go cała buta triumfu.

— Najstarszy mego rodu odszedł do krainy pod morzem w ślad za swymi synami, którzy zginęli w Tewarze — powiedział Umaksuman. — Wczoraj. Wznosili właśnie stos, by zapalić go o brzasku dnia, gdy usłyszeli dzwon i ujrzeli ghalów odchodzących na

południe.

— Chciałbym być przy zapaleniu tego stosu — powiedział Agat, prosząc Umaksumana o zgodę. Tewarczyk zawahał się, ale stojący obok niego starszy mężczyzna odparł stanowczo: — Córka Wolda jest, jego żoną. Ma do tego prawo rodu.

Tak więc pozwolili mu pójść, z Rolery i tą resztką rodu Wolda, jaka pozostała jeszcze przy życiu, na mały taras na szczycie Skały za wysoką galerią wychodzącą na morze. Tam na stosie porąbanych drew leżało ciało starca, zdeformowane wiekiem i potężne, zawinięte w czerwone płótno, bo czerwień to kolor śmierci. Jakieś małe dziecko podłożyło ogień, czerwonozłote płomienie liznęły stos, wprawiły w drżenie powietrze i przybladły w pierwszych, chłodnych promieniach słońca. Zaczął się odpływ, fale huczały i dudniły na głazach u podnóża czarnej, litej skały. Na wschodzie i zachodzie, nad górami Dziedziny Askatewaru i bezkresnym morzem, niebo było krystalicznie czyste. Ale na północy czaiła się w powietrzu błękitnawa mgiełka — Zima.

Pięć tysięcy zimowych nocy, pięć tysięcy zimowych dni — cała reszta ich młodości, a może cała reszta ich życia. Wobec tej odległej, błękitnej mgiełki ich zwycięstwo było niczym. Ghalowie wydawali się zwykłym robactwem, które już uciekło, pierzchając w popłochu przed prawdziwym władcą, białym władcą śnieżyc. Stojąc u boku Rolery przy dogasającym stosie, na szczycie obleganego przez morze fortu, Agat pomyślał nagle, że śmierć starca i zwycięstwo młodzieńca to dokładnie to samo. Ani żałoba, ani duma nie były tak prawdziwe jak radość, radość, którą rozedrgany był zimny wiatr między niebem a morzem, płomienna i ulotna jak ogień stosu. To był jego fort, to było jego miasto, to był jego świat — to byli jego rodacy. Nie był tu żadnym wygnańcem.

— Chodź — powiedział do Rolery, kiedy ostatnie węgle stosu rozsypały się w popiół. — Chodź, wracamy do domu.

KONIEC